

KAZIMIERZ WÓYCICKI

# ĆWICZENIA PORÓWNAWCZE DZIEDZINY POETYKI

I

W Y P I S Y

PODREČNIK DLA SZKOŁY I SAMOUKÓW  
POLECONY PRZEZ MIN. W. R. I O. P. DLA  
PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM WYŻSZEGO

WYDANIE CZWARTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



371.3: 884.380

18918

SKŁADY GŁÓWNE:  
„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.” — NEW-YORK  
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU” SP. AKC. — KATOWICE

DRUK KLAMKOWSKIEGO I RAJSKIEGO  
WARSZAWA, CIASNA 5 (przy Ś-to Jerskiej)

## PRZEDMOWA DO WYDANIA I.

Dwa cele przyświecały mi przy układaniu tej książki; po pierwsze chciałem rozwinąć w jej czytelniku zdolność widzenia obrazu poetyckiego i głębszego przeżywania utworów, po wtóre zaznajomić go z temi zasadniczymi pojęciami poetyki, których poznanie niezbędne jest z wielu względów dla każdego myślącego nieco o rzeczach sztuki, a więc wogóle myślącego człowieka. Dla osiągnięcia tych celów wybrałem metodę porównawczą, zastosowaną już przeze mnie częściowo w „Stylistyce i rytmice polskiej“, wydanej w roku 1917. Braki tej metody starałem się uzupełnić i błędy naprawić obecnie przez stosowanie porównań stałe, dokładne, krytyczne, przez formułowanie odpowiednich czynności cząstkowych i ułożenie porównań w system. W ten sposób powstała książka, współzawodnicząca z podobnymi pracami z zakresu malarstwa, którym też niejedno zawdzięcza.

Nie tu miejsce na uzasadnianie wartości metody porównawczej, olbrzymiego znaczenia czynności porównywania w rozwoju życia psychicznego dla umysłu, uczucia, woli, natomiast wobec kołających się wśród nas pewnych przesądów nastrojowych parę słów muszę powiedzieć w obronie analizy drobnostkowej dzieł poetyckich, której wymaga każde umiejętne porównanie. Ci, którzy narzekają na zgubną działalność analizy w przeżyciu estetycznym, powinni pamiętać, że analiza nie jest jakimś bezwzględny kresem przeżycia. Od intuicyjnego, syntetycznego, ale chaotycznego,



ale powierzchownego ujęcia początkowego poprzez analizę prowadzi droga do nowej syntezy, stokroć bogatszej, głębszej, spójniejszej. I takie rozpadanie się dzieła na szczegóły i zrastanie w całość dokonywa się w naszej duszy wielokrotnie. Ta właśnie możliwość czytania autora „w coraz głębszych głębiach“, jak mówi Norwid, jest dla nas żywym probierzem wartości dzieła. Tylko długotrwałe obcowanie z utworem ujawnia nam jego tajemnice i czary, tylko z niego rodzi się nasza miłość do dzieła i wdzięczność dla artysty — największa nagroda, na jaką zdobyć się może czytelnik. Idzie tylko o to, aby analiza szła w odpowiednim kierunku, aby była przystosowana do zawartości utworu, miała potrzebną subtelność i wielostronność. Do tego właśnie potrzebne jest ćwiczenie i wprawa, rzadko nabywana bez umiejętnego kierownictwa. Rola szkoły w procesie rozwoju kultury estetycznej osobnika jest — wszystko jedno: burząca czy budująca — niezwykle doniosła. Nauczyć patrzeć, widzieć, czuć, myśleć, poprzez sztukę sięgać w głębię życia etycznego, wyćwiczyć zdolność analizy i syntezy, wykształcić smak i sąd bez zadawania gwałtu przyrodzonym upodobaniom, otworzyć szeroko duszę młodzieży wpływom sztuki — oto jak rozumiem zadanie historyka i teoretyka literatury w szkole średniej. Tym celom w skromnym zakresie, w miarę swej wartości ma służyć i niniejszy podręcznik.

Załączony spis rzeczy wskaże czytelnikowi szczegółowo mój plan i sens układu całości. Na jedno muszę zwrócić uwagę. Za kardynalny błąd naszych poetyk i teorii literatury uważałem zawsze to, że, zajmując się wiele różnieniem epepei, poematu, gawędy, elegji, komedji i tragedji i t. p., pomijały prawie zupełnie zagadnienie utworu poetyckiego, jego składników, czynników jedności, kompozycji. To też poszedłem inną drogą. Część, zaniedbaną przez nasze poetyki, opracowałem najobszerniej, rozbiór zaś i określanie różnych gatunków i form poetyckich pozosta-

wilem historii literatury, której właściwem zadaniem badanie ich, jako wytworu poglądu na świat, usposobienia, smaku i tradycyj literackich różnych epok.

Podręcznik składa się z dwóch części: „Wypisów“, przeznaczonych dla ucznia, i „Ćwiczeń“ dla nauczyciela i samouka. W „Wypisach“ oprócz wyjątków i drobniejszych całości znajdują się tytuły większych utworów, przeznaczonych do badania. Przy takich tytułach zwykle zaznaczam w nawiasie najtańsze wydanie. Do każdego paragrafu „Wypisów“ „Ćwiczenia“ zawierają odpowiedni zasób pytań i wskazówek; formę pytania porzucałem nieraz, aby uniknąć monotonii, i poprzestawałem na notowaniu punktów rozbioru, sformułowanie pytań pozostawiając nauczycielowi. Wszędzie trzymałem się zasady, aby od rzeczy łatwiejszych przechodzić do trudniejszych. Jedyne wyjątek stanowi bajka początkowa, trudniejsza od innych, ale nadająca się szczególnie na wstęp do całości.

Przy analizie utworów i wyjątków nie należy śpieszyć się, wymuszać gwałtem spostrzeżeń czy rozstrzygnięć, ani też wmuszać swoich. Niech wnioski ucznia opierają się na ścisłym zetknięciu z utworem, na obserwacji osobistej, powtarzanej wielokrotnie, na głębszym namyśle, niech będą wynikiem dłuższego skupionego wysiłku. Ćwiczenia zgodnie z poziomem umysłowym klasy dzielić należy na ćwiczenia z inicjatywą (pytaniami szczegółowymi) i bez inicjatywy, wprowadzić porównanie z tekstem w ręce i porównanie pamięciowe, po uprzednim opowiedzeniu odczytanego fragmentu lub zakończone opowiadaniem. Jeżeli młodzież chwyci szybciej różnice, zwracać trzeba uwagę na podobieństwa i odwrotnie; ponieważ dziecko łatwiej dostrzega szczegóły niż całość, należy wyrabiać zmysł dla całości. Trzeba wymagać, aby uczniowie porządkowali spostrzeżenia, dzieląc różnice i podobieństwa na: istotne i podrzędne, jawne i ukryte, proste i skomplikowane, wewnętrzne i zewnętrzne.



Chcąc umożliwić nauczycielowi swobodę ruchów, każde niemal rozważane zagadnienie poetyki ilustrowałem kilkoma przykładami o różnym stopniu trudności. Podobnie nauczyciel może wybierać wśród pytań: uwzględniać jedno, pomijać inne, zmieniać ich porządek, dodawać nowe, pogłębiać je i różniczkować. Moje rozbiory wskazują tylko drogę. Tę poznać musi każdy, pragnący naprawdę z pożytkiem posil-kować się książką.

Pisownię zastosowałem wszędzie do uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie z dnia 15 stycznia 1918 roku.

Wszystkim, którzy nie szczędzili mi szczerzej zachęty, nie odmówili pomocy, gorące po staremu składam podziękowanie.

Kujawy Brzozowe — Ozorzyn 12/VIII 1918.

## SPIS RZECZY.

### CZĘŚĆ I.

Ćwiczenia wstępne. Spostrzeganie podobieństw i różnic.

Str.

1—11

### ROZDZIAŁ I.

Porównanie kilku utworów.

- |      |                                                                                                                                       |     |
|------|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| § 1. | Mickiewicz A., Dziady, cz. III.<br>Djabeł i zboże.                                                                                    |     |
|      | Gorecki A., Djabeł i zboże.                                                                                                           | 1—2 |
| § 2. | Krasicki I., Kruk i lis.<br>Gorecki A., Lis i kruk . . .                                                                              | 2—3 |
| § 3. | Krasicki I., Jagnię i wilcy .<br>Trembecki St., Wilk i baranek.                                                                       | 3—4 |
| § 4. | Potocki W. (wiek XVII). Nie<br>jest mądrego mówić: „nie<br>rozumiałem“.<br>Gorecki A., Kozioł i lis.<br>Mickiewicz A., Lis i kozioł . | 4—6 |
| § 5. | Potocki W., Golono, stry-<br>żono.<br>Mickiewicz A., Golono, stry-<br>żono. Żona uparta . . .                                         | 6—9 |

### ROZDZIAŁ II.

Porównanie w obrębie jednego utworu.

- |      |                                                 |       |
|------|-------------------------------------------------|-------|
| § 6. | Trembecki St., Myszka, kot<br>i kogut . . . . . | 10—11 |
|------|-------------------------------------------------|-------|



## CZĘŚĆ II.

Utwór poetycki. 12—191

## ROZDZIAŁ I.

## Składniki utworu poetyckiego.

## A. POSTACI.

- Charakterystyka  
bezpośrednia, ze-  
wnętrzną i we-  
wnętrzną. § 7. Żeromski St., Ludzie bezdom-  
ni. Swawolny Dyzio.  
Sienkiewicz H., Janko Muzy-  
kant. Janko. . . . . 12—13
- „ § 8. Sienkiewicz H., Pan Wołody-  
jowski. Setny chłop.  
Sienkiewicz H., Ogniem i mie-  
czem. Watażka . . . . . 13—15
- „ § 9. Mickiewicz A., Pan Tadeusz.  
Ostatni klucznik Horesz-  
kowa . . . . . 15—16
- Opis—charaktery- § 10. Sienkiewicz H., Ogniem i mie-  
styka. Opowiadanie. czem. Król i kanclerz . 16—18
- Charakterystyka § 11. Mickiewicz A., Pan Tadeusz.  
bezpośrednia i po- Podczaszyc.  
średnia. Niemcewicz J., Powrót posła.  
Szarmancki . . . . . 19—23

## B. POSTACI I AKCJA.

- Świat fantastyczny. § 12. Słowacki J., Balladyna. Wio-  
Forma dramatyczna. senne przebudzenie się  
Goplany . . . . . 23—25
- § 13. Sienkiewicz H., Potop. Po-  
jedynek Wołodyjowskie-  
go z Kmicicem.  
Sienkiewicz H., Ogniem i mie-  
czem. Pojedynek Wołody-  
jowskiego z Bohunem . 25—31
- § 14. Dębicki Zdz., Anno Domini.  
Zawistowska K., Ksieni.  
Konopnicka M., W zakrystji  
na Murano . . . . . 32—34

- § 15. Askenazy Sz., Książę Józef  
Poniatowski. Śmierć księ-  
cia Józefa.  
Lemański J., Zgon księcia  
Józefa Poniatowskiego.  
Dębicki Zdz., 1812—1912 . 34—37
- Historja i powieścio- § 16. Sienkiewicz H., Legjony. Dą-  
pisarstwo. browski słucha Liwjusza  
nad jeziorem Trzycymie-  
nskim.  
Smoleński Wł., Jan Henryk  
Dąbrowski. Dąbrowski w  
okresie tworzenia legjonów 37—42
- § 17. Wybicki Józef, Pieśń legjo-  
nów we Włoszech.  
Wybicki Józef, Mazurek Dą-  
browskiego . . . . . 42—44
- § 18. Witkiewicz St., Jan Matejko.  
Treść i istota polskiego su-  
mienia.  
Konopnicka M., Jeszcze Pol-  
ska nie zginęła! . . . . . 44—46
- § 19. Sienkiewicz H., Ogniem i mie-  
czem. Pogrzeb pana Lon-  
ginusa Podbiptę.  
Sienkiewicz H., Pan Woło-  
dyjowski. Pogrzeb pana  
Wołodyjowskiego . . . . . 46—51

## C. CZYN I DZIAŁANIE.

- Podniety, gra pobu- § 20. Mickiewicz A., Pan Tadeusz.  
dek, cel, czyn, reak- Spowiedź Jacka Soplicy . 51  
cja, działanie.
- Gra pobudek. Po- § 21. Sienkiewicz H., Ogniem i mie-  
stanowienie. czem. Walki duszne.  
Sienkiewicz H., Potop. Su-  
mienie . . . . . 51—62
- W świecie zwierzę- § 22. Wodzicki K., Zapiski orni-  
cym. Ptak—postacią tologiczne. Jastrząb gołę-  
główną. biarz.



|                                     |                                                                                                                                                                                                              |         |
|-------------------------------------|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
|                                     | Dygasiński A., W puszczy.<br>Życie i śmierć jastrzębia                                                                                                                                                       | 62—72   |
|                                     | D. ŻYCIE ZBIOROWE.                                                                                                                                                                                           |         |
| Zabawa.                             | § 23 Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Polonez.<br>Orzeszkowa E. Nad Niemnem. Krakowiak.<br>Sienkiewicz H., Pan Wołodyjowski. Tańce w for-<br>talicji chreptjowskiej .                                             | 72—79   |
| Walka.                              | § 24 Sienkiewicz H., Potop.<br>Pierwsze spotkanie Li-<br>twinów ze Szwedami .                                                                                                                                | 79—84   |
| Historja i powie-<br>ścopolisarstwo | § 25. Sienkiewicz H., Potop. Pod<br>Warką.<br>Kubala L., Wojna szwedz-<br>ka. Bitwa pod Warką.                                                                                                               | 84—91   |
|                                     | § 26. Konopnicka M., Raclawice.<br>Żuławski J., Raclawice .                                                                                                                                                  | 91—93   |
| Modlitwa Różnice<br>stylu.          | § 27. Mickiewicz A., Pan Tadeusz.<br>Najświętszej Panny<br>Kwietnej w Soplicowie.<br>Weyssenhoff J., Unja. Msza<br>w Wiszunach.<br>Reymont St., Chłopi. Na<br>świętego Piotra i Pawła<br>w Lipcach . . . . . | 93—98   |
|                                     | § 28. Reymont., Opis pielgrzym-<br>ki na Jasną Górę. Na<br>Jasną Górę.<br>Sienkiewicz H., Legjony.<br>Legjoniści zbliżają się<br>do Rzymu . . . . .                                                          | 98—103  |
| Praca. Napowierzch-<br>ni ziemi.    | § 29. Reymont St., Chłopi. Wio-<br>senne prace w polu.<br>Żeromski St., Ludzie bez-<br>domni. Kopalnia.                                                                                                      |         |
| „ W głębi ziemi.                    | Żeromski St., Ludzie bez-<br>domni. Fabryka cygar.                                                                                                                                                           | 103—112 |
| „ Zdala od ziemi.                   | § 30. Kraszewski J. I., Caprea<br>i Roma. Pożar Rzymu.                                                                                                                                                       |         |

|                                         |                                                                                                                                                                          |         |
|-----------------------------------------|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
|                                         | Sienkiewicz H., Quo vadis.<br>Pożar Rzymu . . . . .                                                                                                                      | 113—120 |
|                                         | E. PRZYRODA. KRAJOBRAZ.                                                                                                                                                  |         |
|                                         | Czynniki urozmaicenia krajobrazu: zmiany pór dnia, roku, zjawiska<br>atmosferyczne; zwierzęta, siedziby ludzkie.                                                         |         |
| Krajobraz polny                         | § 31 Orzeszkowa E., Nad Niem-<br>nem. Nad Niemnem.<br>Sienkiewicz H., Sielanka.<br>Obrazek leśny.                                                                        |         |
| „ leśny                                 | Witkiewicz St., Na przełę-<br>czy. W drodze na Za-<br>wrat . . . . .                                                                                                     | 120—125 |
| „ górski                                | § 32. Witkiewicz St., Na przełę-<br>czy. Potok górski.<br>Orzeszkowa E., Nad Niem-<br>nem. Niemen . . . . .                                                              | 125—128 |
| Wody bieżące.                           | § 33. Żeromski St., Popioły.<br>Staw w nocy.<br>Żeromski St., Popioły.<br>Staw o świcie . . . . .                                                                        | 128—129 |
| Szata roślinna<br>i niebo.              | § 34. Mickiewicz A., Pan Tade-<br>usz. Drzewa polskie i<br>polskie niebo.<br>Sienkiewicz H., Nervi. Dro-<br>ga do Nervi . . . . .                                        | 129—133 |
| Słońce.                                 | § 35. Mickiewicz A., Pan Tade-<br>usz. Zachód słońca<br>Malczewski A., Marja. Za-<br>chód słońca.<br>Sienkiewicz H., Nervi. Za-<br>chód słońca nad mo-<br>rzem . . . . . | 133—134 |
| Działanie oświetle-<br>nia.             | § 36 Mickiewicz A., Pan Tade-<br>usz. Zamek o poranku.<br>Sienkiewicz H., Słowacki—<br>Heljos. Akropol o św-<br>cie. Wenecja. Świt nad<br>Adriatykiem . . . . .          | 134—136 |
| Zjawiska atmosf-<br>eryczne. Zwierzęta. | § 37. Mickiewicz A., Pan Tade-<br>usz. Burza                                                                                                                             |         |



|                                                                                             |                                                                                            |         |
|---------------------------------------------------------------------------------------------|--------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
|                                                                                             | Reymont St., Chłopi. Bu-<br>rza wiosenna.                                                  |         |
| Przyroda i akcja.                                                                           | Reymont St., Chłopi. Bu-<br>rza letnia . . . . .                                           | 136—141 |
| Zmiany pór roku.                                                                            | § 38. Orzeszkowa E., Nad Niem-<br>nem. Jesień nad Niem-<br>nem.                            |         |
|                                                                                             | Żeromski St., Ludzie bez-<br>domni. Park jesienią . . . . .                                | 141—144 |
|                                                                                             | § 39. Reymont St., Chłopi. Śnieg.<br>Witkiewicz St., Na przełę-<br>czy. Kurniawa . . . . . | 144—147 |
|                                                                                             | § 40. Orzeszkowa E., Ad Astra.<br>Akt miłości . . . . .                                    | 147     |
| Siedziby ludzkie.<br>Charakterystyka<br>człowieka zapomo-<br>cą otoczenia, śro-<br>dowiska. | § 41. Orzeszkowa E., Nad Niem-<br>nem. Dwór korczyń-<br>ski.                               |         |
|                                                                                             | Mickiewicz A., Pan Tade-<br>usz. Dwór w Soplicowie<br>i pokój Zosi.                        |         |
|                                                                                             | Weyssenhoff J., Puszcza.<br>Wiejskie gniazdo.                                              |         |
|                                                                                             | Prus B., Lalka. Mieszka-<br>nie Łęckich . . . . .                                          | 147—155 |

## F. GŁÓWNE CHARAKTERY UCZUCIOWE SKŁADNIKÓW UTWORU.

|                                        |                                                                                                            |         |
|----------------------------------------|------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
| Piękno—brzydota<br>(krajobrazu).       | § 42. Krasiński Z., Przedświt.<br>Z „Przedświtu“.                                                          |         |
|                                        | Żeromski St., Ludzie bez-<br>domni. Okolice kopalni.                                                       | 154—155 |
| Piękno—brzydota<br>(postaci ludzkiej). | § 43. Sienkiewicz H., Pan Woł-<br>dyjowski. Ketling of<br>Elgin.                                           |         |
|                                        | Sienkiewicz H., Quo vadis.<br>Neron . . . . .                                                              | 155—156 |
| Wdzięk (postaci<br>ludzkiej).          | § 44. Mickiewicz A., Pan Tade-<br>usz. Młoda Litwinka.<br>Mickiewicz A., Pan Tade-<br>usz. Zosia . . . . . | 156—158 |

|                                  |                                                                                                                                          |         |
|----------------------------------|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
| Wzniosłość (kraj-<br>obrazu).    | § 45. Mickiewicz A., Widok gór<br>ze stepów Kozłowa<br>Nowicki F., Tatry . . . . .                                                       | 158—159 |
|                                  | § 46. Dobrowolski A., Wyprawy<br>polarne. Fiordy pod-<br>biegunowe.<br>Pięknopustynilodowej.<br>Rzeki Islandji . . . . .                 | 160—162 |
| Wzniosłość Boga.                 | § 47. Kochanowski J., Hymn.<br>Mickiewicz A., Arcymistrz.                                                                                | 162—164 |
| Śmierć bez tragizmu.<br>Tragizm. | § 48. Tetmajer K., Ksiądz Piotr.<br>Żeromski St., Siłaczka.                                                                              |         |
| Tragizm bez śmierci.<br>Komizm.  | Górski K., Bibljoman . . . . .                                                                                                           | 164     |
|                                  | § 49. Sienkiewicz H., Ogniem<br>i mieczem. Pan Zagłó-<br>ba w drodze pod Kon-<br>stantynów.<br>Pan Zagłoba zdobywa<br>sztandar . . . . . | 164—169 |
| Humor.                           | § 50. Prus B., Kamizelka . . . . .                                                                                                       | 159     |

## ROZDZIAŁ II.

## Kompozycja.

## A. STOSUNKI SKŁADNIKÓW.

|                                                                      |                                                                                                                        |         |
|----------------------------------------------------------------------|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
| Zgodność (rozstrze-<br>lonych rysów kraj-<br>obrazu).                | § 51. Tetmajer K., W lesie.<br>Staff L., Niewinność . . . . .                                                          | 169—171 |
| Zgodność (tła z po-<br>stacią).                                      | § 52. Słowacki J., W Szwajcarii.<br>W Szwajcarii. II . . . . .                                                         | 171     |
| Kontrast.                                                            | § 53. Konopnicka M., Nie miej-<br>że urazy.<br>A jak poszedł...<br>Mickiewicz A., Pomnik<br>Piotra Wielkiego . . . . . | 172—176 |
| Kontrast i zgodność.                                                 | § 54. Orzeszkowa E., Ogniwa . . . . .                                                                                  | 176     |
| Stopniowanie (ro-<br>snące) w opisie;<br>w uczuciach i my-<br>ślach. | § 55. Zieliński G., Kirgiz. Pożar<br>stepu.<br>Asnyk A., Szkoda!<br>Konopnicka M., Iskrę słoń-<br>ca masz...           |         |



|                          |                                                                             |         |
|--------------------------|-----------------------------------------------------------------------------|---------|
| Stopniowanie i kontrast. | Słowacki J., Rozmowa z piramidami . . . . .                                 | 177—180 |
| Powtórzenie.             | § 56. Konopnicka M., Jak sen. Kasprowicz J., Księga ubogich. XXXI . . . . . | 180—182 |

## B. BUDOWA CZĘŚCI I CAŁOŚCI.

Czynniki jedności utworu. Początek, zakończenie.

|                                                                    |                                                                                                                                                          |         |
|--------------------------------------------------------------------|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
| Czynniki wyodrębniające poszczególne części i łączące je w całość. | § 57. Mickiewicz A., Pan Tadeusz Ks. I, II, III, X, XI, XII. Sienkiewicz H., Ogniem i mieczem. Rozd. I, II, III t. 1 i XXIX, XXX i epilog t. 2 . . . . . | 182     |
| Pogląd na świat w utworze.                                         | § 58. Mickiewicz A., Rozum i wiara. Prus B., Sen . . . . .                                                                                               | 182—184 |
| Zgodność budowy rytmiczno-rymowej z układem treści.                | § 59. Mickiewicz A., Burza . . . . .                                                                                                                     | 184     |

## C. TWORZYWO I UTWÓR.

|                                                                                |         |
|--------------------------------------------------------------------------------|---------|
| § 60. Homer, Iljada. Pieśń XVIII i VIII. Asnyk A., Thetys i Achilles . . . . . | 184—191 |
|--------------------------------------------------------------------------------|---------|

## CZĘŚĆ III.

|                                                                                                                     |         |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
| Znaczenie przenośne utworów.                                                                                        | 192—198 |
| § 61. Mickiewicz A., Cisza morską. Ajudah. Asnyk A., Podczas burzy. Mickiewicz A., Przypowieść o okrętach . . . . . | 192—194 |
| § 62. Asnyk A., Limba. Konopnicka A., Obielit nam... . . . . .                                                      | 194—196 |
| § 63. Sienkiewicz H., Legenda żeglarska . . . . .                                                                   | 196—198 |

## CZĘŚĆ IV.

|                    |         |
|--------------------|---------|
| Rodzaje poetyckie. | 199—206 |
|--------------------|---------|

|                               |                                                                                      |         |
|-------------------------------|--------------------------------------------------------------------------------------|---------|
| Liryka.                       | § 64. Zaleski B., Śpiewak tęskniący. Konopnicka M., Fragmenty wiosenne III . . . . . | 199—201 |
| Liryka i epika.               | § 65. Konopnicka M., Pieśń o domu. Orzeszkowa E., Śmierć domu . . . . .              | 201—202 |
| Liryka i obraz dramatyczny.   | § 66. Asnyk A., Daremne żale. Orfeusz i bachantki . . . . .                          | 202—206 |
| Poezja epiczna i dramatyczna. | § 67. Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Fredro Al., Zemsta za mur graniczny . . . . .      | 206     |

## CZĘŚĆ V.

|                          |         |
|--------------------------|---------|
| Stosunek wzajemny sztuk. | 207—218 |
|--------------------------|---------|

|                     |                                                                                                           |         |
|---------------------|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------|---------|
| Poezja i malarstwo. | § 68. Matejko J., Bitwa pod Grunwaldem. Konopnicka M., Grunwald. . . . .                                  | 207—209 |
| " "                 | § 69. Grottger A., Lithuania. Konopnicka M., Z teki Grottgera . . . . .                                   | 209—213 |
| " "                 | § 70. Malczewski A., Marja. Andriolli E., Ilustracje do Marji Malczewskiego . . . . .                     | 209     |
| Poezja i śpiew.     | § 71. Weyssenhoff J., Unja. Święty Boże . . . . .                                                         | 214     |
| Poezja i muzyka.    | § 72. Weyssenhoff J., Unja. Polonez Szopena. Mickiewicz A., Pan Tadeusz! Gra Jankła na cymbałach. . . . . | 215—218 |



## CZĘŚĆ VI.

Znaczenie sztuki. 219—220

- Działanie poezji. § 73. Sienkiewicz H., Latarnik  
z Aspinwallu. . . . . 219
- Działanie sztuki i jej rola. § 74. Konopnicka M., Piosnika.  
Orzeszkowa E., Moment
- § 75. Asnyk A., W dzień złożenia  
zwłok Mickiewicza  
na Wawelu.
- Konopnicka M., Na śmierć  
Jana Matejki. . . . . 220

## C Z Ę Ś Ć I.

## ROZDZIAŁ I.

## a. Djabeł i zboże.

§ 1. Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,  
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;  
I rozkazał aniołom zboże przysposobić  
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.  
Przyszła Adam: znalazł je, obejrzał zdaleka  
I odszedł, bo nie wiedział, co ze zbożem robić.  
Aż w nocy przyszedł djabeł mądry i tak rzecze:  
„Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,  
„Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;  
„Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze“.  
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,  
Napłwał i ziemią nakrył, i przybił kopytem;—  
Dumny, rad, że Boże zamiary przeniknął,  
Całym gardłem rozśmiał się i ryknął, i zniknął,  
Aż tu wiosną na wielkie djabła zadziwienie  
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosa i nasienie!..  
O wy! co tylko na świat idziecie z północą,  
Chytróść rozumem, a złość nazywacie mocą,  
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,  
Myśli Boga oszukać—oszuka sam siebie.

## b. Djabeł i zboże.

Gdy Adam, coś tam bardzo zgrzeszywszy podobno  
Z swą połowicą nadobną,  
Musiał być z raj uchościć,  
Bóg, który umie słuszość z łitością pogodzić,



Stworzył zboże i wszędzie po drodze im rzucił.  
Widząc to, djabeł bardzo się zasmucił.

Przejrzał on bowiem miłosierdzie Boże,  
Że to z tego chleb być może,  
Że się znajdują ludzie potem,  
Którzy, gardząc djabła złotem,  
Za narzędzie ucisku nie dadzą się użyć,  
Woląc o suchym chlebie świętej prawdzie służyć.  
A więc pobiegł drogą skrytą  
I, tocząc wojnę z miłościwym Bogiem,  
Wszystką pszenicę, jęczmień, owies, żyto  
Zagrzebał pilnie do ziemi swym rogiem.  
Mniemał, że wiecznie pozbawił nas chleba;  
Ale właśnie to zrobił, co było potrzeba.  
Z podziwem jego ziarno z ziemi wschodzi  
I po dziś dzień chleb się rodzi.

O wy, co w więzach trzymając narody,  
Przyjaciół prawdy, światła i swobody  
Grzebiecie z katowskimi pomocnikami swymi  
Albo w wnętrznościach zamykacie ziemi!  
Zniszczyć dar Boży, wszak o to wam chodzi,  
Ale się na nic złość wasza nie przyda;  
Wkrótce obfity plon ich wolność wyda  
I właśnie z tych męczeńskich ziarenek się urodzi.

a. Kruk i lis.

§ 2.

Bywa często zwiedzionym,  
Kto lubi być chwalonym.  
Kruk miał w pysku ser ogromny;  
Lis niby skromny  
Przyszedł do niego i rzekł: „Miły bracie!  
„Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię.  
„Cóż to za oczy!  
„Ich blask aż mroczy!  
„Czyż można dostać  
„Takową postać!  
„A pióra jakie!  
„Sklniające, jednakie!

„A jeśli nie jestem w błędzie,  
„Pewnie i głos śliczny będzie”.  
Więc kruk w kantaty<sup>1)</sup>. Skoro pysk rozdziawił,  
Ser wypadł, lis go porwał i kruka zostawił.

b) Lis i kruk.

Usiadł na drzewie kruk z kawałkiem sera;  
Postrzegł to lisek i wnet się przybiera  
W minkę układną i w łagodnej mowie  
Tak do kruka powie:  
„Powabów wzorze,  
„Piękności zbiorze,  
„Ty, co wdziękami celujesz nad ptakił  
„O, gdybyś, panie, do piękności takiej  
„Jeszcze śpiewać umiał,  
„Wszystkichbyś zdumiał!”  
Kruk, pochwałą napuszony,  
Chciał pokazać dźwięczne tony,  
I, gdy coś miał zaśpiewać, ser z dziobu wypada;  
Lisek, co na to czekał, porywa i zjada.  
Głodno, chłodno, gdzie prawda mieszka przy rozumie:  
Dobrze temu, bogatym kto pochlebiać umie.

a. Jagnię i wilcy.

§ 3. Zawszy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie.  
Dwóch wilków jedno w lesie nadybali jagnię;  
Już je mieli rozerwać. Rzekło: „Jakiem prawem?”  
— „Smaczneś, słabe i w lesie!” Zjedli niezabawem.

b. Wilk i baranek.

Racja mocniejszego zawdy lepsza bywa:  
Zaraz wam tego dowiodę!  
Gdzie bieży krynica żywa,  
Poszło jagniątko chlupać sobie wodę.  
Wilk, tam naczczu nadszedłszy, szukając napaści,

<sup>1)</sup> jął śpiewać.



Rzekł do baraniego syna:

„I któż to zaśmiał ci waści,

„Że się tak ważysz macić mój napitek?

„Nie ujdzie ci bez kary tak bezecna wina”.

Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszytek:

„Ach, panie dobrodzieju! racz sądzić w tej sprawie  
Łaskawie!

„Obacz, że niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,

Nie mogę macić pańskiego napoju”.

— „Cóż! jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?

„Poczekaj, języku smoczy!

„I tak rokeś mię zelżył paskudnymi słowy“.—

„Cysiam <sup>1)</sup> jeszcze... i na tom poprzysiąc gotowy,

„Że mnie przeszłego roku nie było na świecie“!

— „Czy ty, czy twój brat, czy który twój krewny,

„Dość, że tego jestem pewny,

„Że wy mi honor szarpiecie:

„Psy, pasterze i z waszą archandryją <sup>2)</sup> całą

„Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie;

„Muszę tedy wziąć zemstę okazałą“.

Po tej skończonej perorze

Łapes jak swego i zębami porze.

a. Nie jest mądrego mówić:

„nie rozumiałem”.

§ 4. W studnię, chcący się napić po pragnieniu długiem,

Lis i kozioł pospołu wpadł jeden po drugim.

W radę, lecz darmo: żaden wyjścia nie znajduje.

Naostatek kozłowi lis wyperswaduje,

Żeby się, jako może, wspiał na nogi zadnie,

A on, będąc na wierzchu, wyzwoli go snadnie.

Ale, skoro wyskoczy <sup>3)</sup> lis po rogach z wody:

„Gdybyś tyle rozumu w głowie, co masz brody,

„Nie laźlbyś w studnię, wyjścia nie widzący—rzecze—

„Teraz czekaj mędrszego, że cię z niej wywlecze!”

<sup>1)</sup> cysiać — ssać. <sup>2)</sup> archandryja — gawiedz, zgraja. <sup>3)</sup> wysko-  
czył.

b. Kozioł i lis.

Lis i kozioł do wilczej razem wpadli jamy.

Lis rzecze: „Stąd się dobyć chyba tak zdołamy:

„Ja drabinkę przyniosę, lecz na tylne nogi

„Stań wprzód: ja wyskoczę, na twe wlażysz rogi“.

Stało się. Lis wyskoczył — i wnet zmyka w knieję:

Ani jemu tam w głowie, co się z kozłem dzieje;

A ten wszystko drabinki czeka przyniesienia.

Głupi ten, kto na lisa czeka przyrzeczenia.

c. Lis i kozioł.

Już był w ogródku, już witał się z gaską,

Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,

Gdzie wodę zbierano;

Ani pomyśleć o wyskoczeniu.

Chociaż wody nie było i nawet niegrząsko,

Studnia na półczwarta łokcia:

Za wysokie progi

Na lisie nogi.

Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia.

Postaw się teraz w tego lisa położeniu!

Linny zwierz pewno załamałby łapy

I bił się w chrapy,

Wołając gromu, żeby go dobił.

Nasz lis takich głupstw nie robił:

Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.

Zawsze maca wkoło zębem

A patrzy wgórę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,

Stojącego tuż nad zrębem

I patrzącego z ciekawością w studnię.

Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;

Chmoka mocno, głośno chłepce

I tak sam do siebie szepce:

„Oto mi woda! Takiej nie piliem jak żyję!

„Smak lodu, a czysta cudnie!

„Chce mi się całemu spłókać,

„Ale mi ją szkoda zbrukać,

„Szkoda!

„Bo co też to za woda!”



Kozioł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:  
 „Ej! — krzyknął zgóry — ej! ty ryży kudła,  
 „Wara od źródła!“  
 I hop w dół. Lis mu na kark, z karku na rogi,  
 A z rogów na drąg — i w nogi.

a. Golono, strzyżono.

§ 5. Idący gdzieś mąż z żoną po ławce<sup>1)</sup> przez wodę,  
 Ujrzą chłopca bez brody, co ongi miał brodę.  
 „Ba, wej<sup>2)</sup>, jak się nasz sąsiad wygolił“, — mąż powie.  
 A żona: Wzdyc to ostrzygł, a to znać po głowie!“  
 Znowu ten: „Ba, ogolił“, owa: „Ostrzygł“ — rzecze.  
 Tak długo między nimi było owej przecze,  
 Aż od słów przyszło do rąk, aż ją zepchnął z ławy.  
 Już tonie, już się baba napija Rudawy,  
 Już i z głową pod wodą na dnie łowi śliże<sup>3)</sup>,  
 Przecie palcami, rękę ukazawszy, strzyże.  
 Gdy się o tej sąsiedzi dowiedzą przygodzie,  
 Bieżą na dziw, a widząc, że przeciwko wodzie  
 Mąż jej szuka, wszyscy w śmiech, a ten rzecze: „Szkoda  
 „Dziwić się: wszystko, prawda, na dół niesie woda,  
 „Lecz niewiasta, tak sprzeczna we wszystkim z natury,  
 „I po śmierci, rozumiem, płynęła do góry“.

b. Golono, strzyżono.

U nas, kto jest niby chory,  
 Zwołuje zaraz doktory,  
 Lecz czując się bardzo słaby,  
 Prosi chłopca albo baby.  
 Ci ze swego aptekarstwa  
 Potrafią i podagrze,  
 I chiragrze, i głuchotom,  
 I suchotom, i głupotom  
 Radzić — a i u nich wszakże  
 Niemasz na upór lekarstwa.

<sup>1)</sup> po kładce. <sup>2)</sup> patrz. <sup>3)</sup> małe rybki, płotki.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,  
 Któremu zginęła suka,  
 Straż domostwa i śpichlerza.  
 Gdy jej z żalem i kłopotem  
 W okolicy całej szuka,  
 Wróciła się w tydzień potem.  
 Ledwie poznał, że to ona,  
 Bo była wpół ogolona.

„O zbójel! żeby ją skryli,  
 „Używając takich figli,  
 „Że biedaczkę wygolili!...“  
 „Powiedz raczej, że ostrzygli, —  
 Robi mu uwagę żona —  
 „Bo psów nie gola, lecz strzygą“.  
 „A no patrzajcież bo mi go, —  
 Odezwie Mazur z przekąsem —  
 „Jaka ty mi dyć uczona!  
 „Mając gołe jak pięść lice,  
 „Chcesz nauczać nas pod wąsem,  
 „Co jest brzytwa, co nożyce?  
 „A nasz pan, co mu łysina  
 „Przyświeca się, jak ta psina,  
 „Myślisz, że jest postrzyżona?...“  
 „A wąsiki ekonoma, —  
 Odpowiada zaraz żona —  
 „Co mu wiszą jak u sosny,  
 „A błyszczą jak namaszczone,  
 „Sąć golone czy strzyżone?...“  
 „Bierz ci lichu twego pana,  
 „I pana, i ekonoma!  
 „Dobrze, że suka jest doma,  
 „Choć też szpetnie ogolona“.  
 „Toć i jam się ucieszyła, —  
 Odpowiada zaraz żona —  
 „Że się suka powróciła,  
 „Choć też szpetnie ostrzyżona“.  
 „Głupiasz z twemi nożycami!“  
 „I ty z twojemi brzytwami!...“  
 „Że golona, przypatrzże się!“  
 „Że strzyżona, pokaże się!“



Tak się kłóca mąż i żona;  
Miasto Zgierz całe się zbiega,  
A krzyk wkoło się rozlega:  
„Ogolona! ostrzyżona!”

Idzie sąsiad. „Niechaj przyjdzie,  
„Niech się wpatrzy i przekona!”  
Idzie żyd. „Powiedzno, żydzie,  
„Czy golona, czy strzyżona?”  
Od żyda aż do plebana,  
Od plebana aż do pana,  
Sprawa zapieczętowana:  
Co sąsiad i żyd dowodził,  
Na to się ksiądz i pan zgodził,  
Że wygrała męska strona,  
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.  
Po drodze chłop pyta żony,  
Czy wyroku treść pamięta.  
Ona milczy jak zakłeta,  
U progu suka ich wita:  
„Pójdź tu, moja ogolona!”  
Woła mąż. A kobieta:  
„Pójdź tu, moja ostrzyżona!”

Mazur wściekły już nie gadał,  
Ani żonie odpowiadał,  
Tylko, wzięwszy pod rękawki,  
Wlecze ją wprost do sadzawki  
I topi, jak kadź ogórków.  
Ona, nienawykła nurków,  
Już się zachłysnęła nieraz;  
On, trzymając za ramiona,  
Gnębi krzycząc: „A no teraz;  
„Czy golona, czy strzyżona?”  
Biedaczka ze śmiercią w walce,  
Czuając skonu paraliż,  
Wytknęła tylko dwa palce  
I na odpowiedź palcami,

Jakby dwiema nożycami,  
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok uciekł z wody,  
Ona poszła do gospody;  
On się puścił aż do Zgierza  
I tam przystał za żołnierza.

### c. Żona uparta.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają strażę  
Nad rzeką. Niechno człowiek się pokaże,  
Co na afisze nie patrzy  
I od korzenników bladszy,  
Niedbale utrzewiczony  
I źle urękawiczony,  
Myślą, że się chce topić;  
A więc pełni zgrozy  
Ratują go od śmierci, a wiedą do kozy.

Taki to jakiś po Sekwany brzegu  
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu  
I urzędownie pyta o powody  
Tego biegu przeciw wody.  
„Nieszczęście! — woła biedak — Pomocy! ratunku!  
„Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,  
„Wpadła mi w rzekę”.  
A na to żandarm mu rzecze:  
„O, praw hydrauliki <sup>1)</sup> nieświadom człowiecze!  
„Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.  
„Ono zgóry wdół płynie wedle praw przyrody,  
„A ty za żoną biegniesz przeciw wody?”

„Boć to ciało — rzekł szukacz — było w życiu dziwne,  
„Zawždy wszystkiemu przeciwne;  
„I domyslać się mam pewne powody,  
„Że popłynęło z rzeką przeciw wody”

<sup>1)</sup> hydrodynamiki, części fizyki, traktującej o ruchu cieczy; tu  
praw ruchu cieczy.



## ROZDZIAŁ II.

Myszka, kot i kogut.

§ 6. Coby to była za szkoda!  
O kąsek nie zginęła jedna myszka młoda,  
Szczera, prosta, niewinna! Przypadek ją zbawił.  
To, co ona swej matce, ja wam będę prawił.  
„Rzuciwszy naszych pieczarów głębiny,  
„Dopałam jednej zielonej równiny,  
„Dyrdając, jako szczurek, kiedy sadło śledzi.  
„Patrzę, aliści dwoje żywiąt siedzi.  
„Jeden z nich trochę dalej z milczeniem przystojnem  
„Łagodny i uniżony;  
„Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:  
„W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,  
„Ogon, zadarty do góry,  
„Lśniącemi błyskotał pióry,  
„Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,  
„Jakby go kto powykrawał.  
„Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał  
„Albo na powietrze dźwigał.  
„Ja, lubo z łaski boskiej dosyć jestem śmiała,  
„Ażem mu srodze naklena,  
„Bo mnie z strachu drżączka wziena,  
„Jak się wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała;  
„Uciekłam tedy do jamy.  
„Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,  
„Co kozuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.  
„Minka jego nie nadęta,  
„I choć ma bystre ślipięta,  
„Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał.  
„Jak nasze, taką samą robotą ma uszka.  
„Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał.  
„Mój duszka!  
„Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi  
„Tej przyjacielskiej usługi,  
„Kiedy nagłego narobił kłopotu,  
„Wrzasnąwszy na mnie z fukiem: „Kto to tu! Kto to tu?“  
— „Stój — rzecze matka — córko moja luba!

„Aż mrowie przechodzi po mnie:  
„Wieszli, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?  
„Kot bestyja, narodu naszego zaguba!  
„Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta,  
„I przyjdą może te czasy,  
„Że z jego ciała będziem jeść frykasy,  
„A zaś kot nas może schrusta!  
„Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,  
„I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:  
„Nie sądź nikogo po minie,  
„Bo się w sądzeniu poszkapisz“.



## C Z Ę Ś Ć II.

### ROZDZIAŁ I.

#### a. Swawolny Dyzio.

§ 7. Mały Dyzio stał pośród sprawunków, nawalonych w przejściu między siedzeniami i, gwizdząc... przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznurkiem, uwiązany do niego w kształcie bata. Włosy tego chłopięcia były szare, a rosły jakoś naprzód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególnie oczy, włosy i ręce przypominały rysia czy żbika. Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakichś piekielnych walkach z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy wypchnięte na kolanach i przedziurawione, odślaniały nogi, okryte krwią i mnóstwem siniaków.

#### b. Janko muzykant.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie miała co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie, przepasanej krajką<sup>1)</sup>, i w słomianym „kapalusie“, z pod którego obdartej kani<sup>2)</sup> spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica<sup>3)</sup>, żyjąca z dnia na dzień, niby jaskółka

<sup>1)</sup> odciętym brzegiem sukna. <sup>2)</sup> skrzydeł, runda u kapelusza. <sup>3)</sup> kobleta, siedząca u kogoś na komornem, nie mająca własnej chaty.

pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała „odmieńcem“. W ósmym roku chodził już jako potrzódka<sup>1)</sup> za bydłem lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i, jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Niewiadomo, skąd się to takie ujęło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrośł, tak już o niczem innem nie myślał...

#### a. Chłop setny.

§ 8. Młody pan Nowowiejski zmienił się wielce przez ostatnich lat kilka; bo najprzód wierzchnia jego warga już zacięła się mocno wąsem krótkim, białych, wilczych zębów nie przysłaniającym, ale pięknym i kręconym. Po wtóre, zawsze chłop był duży, ale teraz rozrósł się prawie w olbrzyma. Zdawało się, że tak gęsta i zwichrzona czupryna tylko na tak ogromnej głowie rosnąć może, a tak ogromna głowa tylko w tak bajecznych barkach należyta znajduje podporę. Twarz miał zawsze czarną, wichrami spaloną, oczy jarzące, jak węgle; zawadziactwo jakby wypisane na twarzy. Gdy chwycił spore jabłko, ukrywał je tak łatwo w swojej potężnej dłoni, że mógł się w „zgaduj zgadula“ bawić, a gdy garść orzechów położył sobie na udzie i ręką przycisnął, to potem tabakę wydobywał. Wszystko poszło w nim w siłę, bo zresztą chudy był i brzuch miał wpadnięty, jedno piersi nad nim jak kaplicę.

Podkowy łamał z łatwością, niebardzo się naprężając; toż pręty żelazne żołnierzom na szyi zawiązywał, a wydawał się jeszcze większy, niż był w istocie; gdy stąpił, trzeszczały pod nim deski, a gdy przypadkiem o ławę zawadził, to szczapę z ławy odłupywał.

Słowem, był to chłop setny, w którym życie, zdrowie, odwaga i siła kipiały, jak kipi war w saganie, nie mogąc się

<sup>1)</sup> pomocnik pastucha.



w tak nawet ogromnem ciele pomieścić. Zdawało się, że płomień ma w piersi i w głowie, i mimowoli patrzyłeś, czy mu się już z czupryny nie dymi. Jakoż dymiło się często, bo i do wypitki był dobry. Do bitwy szedł ze śmiechem, przypominającym rzenie końskie, i walił tak, że żołnierze po każdym spotkaniu wszystkie trupy jego oglądali, aby nadzwyczajne cięcia podziwiać. Zresztą od dziecka do stepu, stróżowania i wojny nawykły, mimo całej zapalczywości, czujny był i przeorny: znał wszystkie tatarskie fortele, a po panu Wołodyjowskim i Ruszczycu uchodził za najlepszego zagończyka.

b. Watażka <sup>1)</sup>.

Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał mołojca smukłego jak topola, z obliczem smagłym, zdobnem w bujny, czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebijała przez ukraińską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czoło miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte w równe ząbki nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieżny, ale wogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadjackiej. Nad podziw świetny ubiór wyróżniał także typowego mołojca od przybranych w kozuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan <sup>2)</sup> z cienkiej lamy <sup>3)</sup> srebrnej i czerwony kontusz <sup>4)</sup>, którą to barwę nosili wszyscy kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach <sup>5)</sup>, ale i szabla i ubiór gasły przy bogactwie tureckiego kindżału <sup>6)</sup>, zatkniętego za pas, którego głównia tak była nasadzona kamieniami, że aż skry sypały się od niej. Tak przybranego każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko „wysoko-

<sup>1)</sup> przywódca drużyny wojskowej albo bandy rozbójniczej kozackiej. <sup>2)</sup> suknię męską długą z wąskimi rękawami, w pasie przy biodrach ku tyłowi fałdowaną, zapinaną z przodu pod szyję na gęste haftki lub kostki i pętelki. <sup>3)</sup> tkaniny, przetykanej srebrem. <sup>4)</sup> zwierzchnią suknię, przywdziewaną na żupan (tur. kontosz, węg. kontös). <sup>5)</sup> paskach z taśmy albo sznurków. <sup>6)</sup> długiego noża obosiecznego (persk. chandžér).

kiego rodu, niż za kozaka, zwłaszcza, że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniere nie zdradzały niskiego pochodzenia.

Ostatni klucznik Horeszkowa.

§ 9. Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury, Wyjął papier, ołówek i kreślił figury. Wtem, spojrzawszy w bok, ujrzał o dwadzieścia kroków Człowieka, który, równie miłośnik widoków, Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie, Zdawało się, że liczył oczyma kamienie. Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy. Szlachcic to był, służący dawnych zamku panów, Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów; Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową, Marszczkami pooraną, posępną, surową. Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości słynął; Ale od bitwy, w której dziedzic zamku zginął, Gerwazy się odmienił i już od lat wielu Ani był na kiermaszu, ani na weselu; Odtąd jego dowcipnych żartów nie słyszano I uśmiechu na jego twarzy nie widziano. Zawsze nosił Horeszków liberyję dawną: Kurtę z połami żółtą, galonem oprawną, Który, dziś żółty, dawniej zapewne był złoty. Wkoło szyte jedwabiem herbowe klejnoty, Półkozice, i stąd też cała okolica Półkozicem przezwała starego szlachcica. Czasem też od przysłowia, które bezustanku Powtarzał, nazywano go także Mopanku; Czasem Szczercbcm, że całą łysinę miał w szczerbach; Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach Niewiadamo. Klucznikiem siebie tytułował, Iż ten urząd na zamku przed laty piastował. I dotąd nosił wielki pęk kluczy za pasem, Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem. Choć nie miał co otwierać, bo zamku podwoje Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje, Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,



I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił. W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie; Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie, Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym, Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym.

### Król i kanclerz.

§ 10. We dworze toporowskim, w bawialnej komnacie siedziało wieczorem trzech panów, zamkniętych na tajemnej rozmowie. Kilka świec jarzących paliło się na stole pokrytym mapami, przedstawiającemi okolicę, obok nich leżał wysoki kapelusz z czarnem piórem, perspektywa, szpada z perłową rękojeścią, na którą narzucona była koronkowa chustka i para łosiowych rękawiczek. Za stołem, w wysokiem poręczowem krześle siedział człowiek, mający lat około czterdziestu, dość drobny i szczupły, ale silnie zbudowany. Twarz miał śniadą, żółtawą, zmęczoną, czarne oczy i takąż szwedzką perukę z długimi lokami, spadającemi na plecy i ramiona. Rzadki czarny wąs, zaczesany przy końcach ku górze, zdobił jego górną wargę, dolna zaś razem z brodą wystawała silnie naprzód, nadając całej fizjonomji charakterystyczny rys lwiej odwagi, dumy i uporu. Nie była to twarz piękna, ale wysoce niepospolita. Wyraz zmysłowy, oznaczający skłonność do uciech, łączył się w niej w dziwny sposób z pewną martwością i chłodem. Oczy były jakby przygasłe, ale odgadywałeś łatwo, że w chwili uniesienia, wesołości i gniewu mogły rzucać błyskawice, które niekiedy wzrok zdołałby wytrzymać. Jednocześnie zaś malowała się w nich dobroć i łagodność.

Czarny ubiór, złożony z atlasowego kaftana i koronkowej kryzy, z pod której wyglądał złoty łańcuch, podnosił dystynkcję tej niezwyklej postaci. Wogóle mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było w nim coś majestatycznego. Jakoż był to sam król, Jan Kazimierz Waza, niespełna od roku następca po bracie Władysławie.

Nieco zanim w półcieniu siedział Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński, człowiek niski, gruby, rumiany, z tłustą i bezczelną twarzą dworaka, a naprzeciwno za stołem trzeci pan wsparty na łokciu patrzył na mapy, przedstawiające okolice, podnosząc kiedy niekiedy wzrok na króla.

Oblicze jego miało w sobie mniej majestatu, ale prawie więcej jeszcze urzędowej godności, niż królewskie. Była to poorana troskami i myślą, chłodna i rozumna twarz męża stanu, której surowość nie psuła nadzwyczajnej piękności. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku delikatną; polski wspaniały strój, szwedzka strzyżona broda i wysoki chochoł nad czołem dodawały jeszcze jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysom senatorskiej powagi.

Był to Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i książę Rzymskiego państwa, mówca i dyplomata, podziwiany przez dwory europejskie, sławny przeciwnik Jeremiego Wiśniowieckiego.

Nadzwyczajne jego zdolności wcześniej zwróciły nań uwagę poprzednich panowań i wcześniej wyniosły go do najwyższych urzędów, na mocy których sterował całą nawą państwową, w obecnej chwili bliską ostatecznego rozbicia.

A jednak kanclerz był jakby stworzony na sternika takiej nawy. Pracowity, wytrwały, rozumny, patrzący w dalszą przyszłość, obrachowujący na długie lata, wiódłby każde inne państwo z wyjątkiem Rzeczypospolitej do bezpiecznej przystani pewną i spokojną ręką; każdemu innemu zapewniłby się wewnętrzną i długie lata potęgi... gdyby tylko był samowładnym ministrem takiego naprzykład monarchy, jak król francuski lub hiszpański.

Wychowany poza granicami kraju, wpatrzony w obce wzory, mimo całej wrodzonej bystrości i rozumu, mimo dłużej praktyki nie mógł przywyknąć do bezsilności rządu w Rzeczypospolitej i nie nauczył się z nią przez całe życie rachować, chociaż to była skała, o którą rozbiły się wszystkie jego plany, zamiary, usiłowania—choć z jej przyczyny teraz już widział w przyszłości przepaść i ruinę, a później umierał z rozpaczą w sercu.

Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem—i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpierzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, siedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teorii zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski.



Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nie-tylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundjom <sup>1)</sup>, nadużyciom, swawoli szlacheckiej, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa.

Wstał ze stepów Chmielnicki i urosł w olbrzyma. Na Rzeczpospolitą zwały się kłęski Żółtych Wód, Korsunia i Piławiec. Na pierwszym kroku tenże Chmielnicki połączył się z wrogią, krymską potęgą. Grom padał za gromem—pozostawała tylko wojna i wojna. Straszliwy żywioł należało przedewszystkiem zgnieść, by móc w przyszłości z niego korzystać—a kanclerz, zapatrzony w swą myśl, jeszcze paktował i zwłóczył—i wierzył jeszcze—nawet Chmielnickiemu.

Siła rzeczy zdruzgotała jego teorie; z każdym dniem okazywało się jaśniej, że skutki usiłowań kanclerskich są wprost oczekiwanym przeciwnie—aż wreszcie przyszedł Zbąra i stwierdził to najdowodniej.

Kanclerz upadał pod brzemieniem zgryzot, goryczy i nienawiści powszechnej.

Więc czynił tak, jak czynią w dniach niepowodzeń i kłęsk ludzie, których wiara w siebie jest silniejsza nad wszelkie kłęski: szukał winnych.

Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale kto z obawy, by skała, leżąca na skłonie góry, nie runęła w przepaść, pragnie ją wtoczyć na wierzch, a nie policzyć się z siłami, ten przyspieszy tylko jej upadek. Kanclerz uczynił więcej i gorzej, bo do pomocy wezwał rwący, straszliwy potok kozaczy, nie bacząc, że pęd jego może tylko podmulić i powyrywać grunt, na którym skała spoczywa.

Więc gdy on szukał winnych—wzajem i na niego zwracały się wszystkich oczy, jako na sprawcę wojny, kłęsk i nieszczęść.

Ale król wierzył w niego jeszcze i wierzył tem bardziej, że głos powszechny, nie oszczędzając powagi majestatu—obwiniął i jego samego narówni z kanclerzem.

<sup>1)</sup> Wielkim dobrom ziemskim.

#### a. Podczaszyc <sup>1)</sup>.

§ 11. Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko, Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie <sup>2)</sup> Przyjechał pan Podczaszyc na francuskim wózku, Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku. Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem <sup>3)</sup>, Zazdroszczono domowi, przed którego progiem Stała Podczaszyca dwukonna dryndulka, Która się po francusku zwała karyjulka. Zamiast lokajów w kielni <sup>4)</sup> siedziały dwa pieski, A na kozłach Niemczyśko chude nakształt deski; Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki, W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki; Peruka z harbajtelem <sup>5)</sup>, zawiązanym w miechu. Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu, A chłopci żegnali się, mówiąc, że po świecie Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie. Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo; Dosyć, że się nam zdawał małą lub papugą W wielkiej peruce, którą do złotego runa <sup>6)</sup> On lubił porównywać, a my do kołtuna. Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie Piękniejsze jest, niż obcej mody małpowanie, Milczał, boby krzyczała młodzież, że przeszkadza Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza. Taka była przesadów owoczesnych władza!

Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować, Cywilizować będzie i konstituować: Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni

<sup>1)</sup> syn podczaszego, pierwotnie jednego z urzędników dworu królewskiego; w czasach późniejszych był to tylko tytuł honorowy. <sup>2)</sup> na Litwie. <sup>3)</sup> jeden z rzadszych gatunków ptaka drapieżnego z rodziny sokołów, używany w Polsce do łowów. <sup>4)</sup> rodzaju skrzyni na drobne pakunki pod siedzeniem wóznicy lub na tylnej części pojazdu. <sup>5)</sup> pękiem włosów z tyłu peruki (z niem. Haarbeutel). <sup>6)</sup> runo — skóra pokryta wełną; złote runo — w podaniu greckiem skóra cudownego barana, po którą bohaterowie greccy (Argonauci od imienia budowniczego okrętu) zrobili wyprawę.



Zrobili wynalazek, iż ludzie są równi <sup>1)</sup>.  
Choć o tem dawno w Pańskim pisano zakonie,  
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.  
Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!  
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,  
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,  
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.  
Podczaszyc mimo równość wziął tytuł markiza.  
Wiadomo, że tytuły pochodzą z Paryża,  
A natenczas tam w modzie był tytuł markiza.  
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,  
Tenże sam markiż przybrał tytuł demokracy,  
Wreszcie z odmienną modą pod Napoleonem  
Demokrata przyjechał z Paryża baronem.  
Gdyby żył dłużej, może nową alternatą <sup>2)</sup>  
Z barona przechrzciliby się kiedyś demokratą,  
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,  
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

b. Szarmancki.

*Szarmancki i Walery.*

SZARMANCKI (ufryzowany, z wielkim halsztukiem, we fraku  
eleganckim rzuca się na Walerego i całuje go).  
Pozwól się, przyjacielu, na łono twe rzucić,  
Ucałować, przypomnieć tej przyjaźni świętej,  
W młodych leciech w konwikcie tak czule powziętej,  
Wiek minął, jakeśmy się z sobą rozdzielili.  
Panowie tu na nowo Polskę przerobili,  
Lędziem ją poznał, kiedym wrócił z zagranicy.  
Lecz jakto? lato całe strawiłem w stolicy,  
Nigdzie nie spotkać!

WALERY.

Mocno tego żałowałem.

Moje zabawy, domy, które uczęszczałem,  
Może, że nie te były, kędyś Waćpan bywał.

<sup>1)</sup> 26 sierpnia 1789 Francja rewolucyjna ogłosiła Deklarację praw  
człowieka, której pierwszy artykuł brzmiał: „Ludzie rodzą się i żyją  
wolni oraz równi w prawach”. <sup>2)</sup> zmianą.

SZARMANCKI.

Wtenczas u Kolsonowej najwięcej przebywał  
W ulicy Ujazdowskiej. Wpółśród pracy takiej  
Jakżeś też nie wyjechał i razu na raki?

WALERY

Prawdziwie, że się tego nieskończenie wstydę,  
Lecz słodzę stratę, kiedy dziś Waćpana widzę.  
Jak długo odwiedzałeś waćpan cudze kraje?

SZARMANCKI.

Rok tylko, alem przejął wszystkie ich zwyczaje.  
Prawdziwie, już nie mogłem w ojczyźnie usiedzieć!  
Naprzód ojciec mi kazał w sprawach się swych biedzić,  
Jeździć po trybunałach. To śliczne zabawy!  
Wolałem przegrać dobra, niż pilnować sprawy.  
W rok zdało mu się oddać mnie do gabinetu.  
Porzuciłem: nie umiem dochować sekretu.  
Dalej, próbując mojej w żołnierce ochoty,  
Nabył dla mnie chorągiew w rejmentcie <sup>1)</sup> piechoty.  
I to mi się sprzykrzyło. Przecież Opatrzności  
Zdało się ojca mego przenieść do wieczności!  
Zobaczywszy się panem znacznego majątku,  
Z radości nie wiedziałem, co robić z początku.  
(poprawiając halsztuka i desynując się <sup>2)</sup>)  
To prawda, że Bóg człeka stworzył dosyć ładnie.  
Żebym jednak wykształcił figurkę dokładnie,  
Chciałem Paryż odwiedzić. Dobra więc dzierzawą  
Puściwszy, rozstałem się z kochaną Warszawą.

WALERY.

To się Waćpan podówczas w Paryżu znajdował,  
Gdy rewolucja, gdy się ów zapal zajmował?

SZARMANCKI.

To mię też zamieszanie z Francji wypędziło.

<sup>1)</sup> Regiment — nazwa jednostki w organizacji dawnego wojska  
polskiego, odpowiadającej pułkowi. <sup>2)</sup> wdłużać się.



WALERY.

Właśnie wtenczas w tym kraju zostać się godziło,  
Patrząc na naród dzielny, długo uciskany,  
Który poznawał siebie i rwał swe kajdany;  
Jak na gruzach tyranji wyniósł rząd swobodny,  
Był to widok człowieka rozsądnego godny.  
Pewnieś się Waćpan starał widzieć i być wszędy,  
Zwazałeś ich ustawy, a nawet i błędy.

SZARMANCKI.

Wyznam Waćpanu, nie wiem, co się z niemi stało,  
Bo mnie wszystkie ich czyny obchodziły mało.  
Dziękuję za tę sławną i wolność i trudy,  
Nie uwierzysz, w Paryżu jakie teraz nudy.  
Nic na świecie tak wielkiej nie nagrodzi szkody!  
Panienek ani ujrzysz, teatru, ogrody,  
Bulwary i foksale <sup>1)</sup> są prawie bez ludzi;  
Człowiek nie ma co robić, cały dzień się nudzi.  
Raz pamiętam, wyszedłem kupować guziki  
Do ponsowego fraka; kupcy, czeladniki,  
Jakgdyby ich umyślnie obrano z rozsądku,  
Na warcie strzegli w mieście dobrego porządku.  
Tak mię to rozgniewało, żeś się wraz zawinał  
I czem prędzej przez Kale do Anglii popłynął.

WALERY.

Przynajmniej ten kraj sławny, tak rozsądnie wolny,  
Zastanowić uwagę Waćpana był zdolny.  
Rząd jego, rękodziela i ustaw tak wiele  
Dłużej go zatrzymały.

SZARMANCKI.

Trzy tylko niedziele

Bawiłem w Anglii: srodze powietrze niezdrowe.  
Kupiłem dwie par sprzączek i szpadę stalową;  
Byłem na parlamencie; tak jak u nas, krzyki,  
Lecz zato co za sklepy, łańcuszki, guziki!

<sup>1)</sup> miejsca zabaw za miastem (z ang. Vauxhall).

Kursa koni! to w świecie najlepsza ustawa.  
Ach przyjacielu! co to za szczęście, zabawa!  
Tych się cudzoziemcowi opuścić nie godzi.  
Co to za dziwowski! Człek w głowę zachodzi,  
Nie możesz pojąć, jeden za drugim jak leci,  
Na takich koniach ot tak prawie małe dzieci.  
Pamiętam, dnia jednego, śmiech mię bierze pusty,  
Anielczyk jeden z małą peruczką i tłusty,  
Przegrał niezmierny zakład; w zapalczym gniewie  
Chciał koniowi w łeb strzelić; przypadam szczęśliwie,  
Daję sto funtów i tak od śmierci niebogę  
Uwalniam biedną klaczkę gniadą białonogę.  
Potem, fraszek kupiwszy moc na darowizny,  
Powróciłem nareszcie do matki ojczyzny.

Wiosenne przebudzenie się Goplany.

§ 12. (Las. Widać jezioro Gopło. Skierka i Chochlik  
wchodzą).

SKIERKA.

Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

CHOCHLIK.

Śpi jeszcze w Goplu.

SKIERKA.

I woń sosnowa,

I woń wiosenna nie obudziła  
Królowej naszej! woń taka miła!  
Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami  
Czarne jaskółki biją w jezioro  
Tak, że się całe zwierciadło plami  
W tysiące krązków?

CHOCHLIK.

Zanadto skoro

Zbudzi się jędra i będzie  
Do pracy nas zaprzęgać. To w puste żołądziej  
Wkładać jaja motylic — to pomagać mrówkom,  
Budującym stolicę, i drogi umiać,



Do mrownika wiodące... to majowym krówkom  
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;  
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi  
Czytać prawa ulowe lub rotę przysięgi  
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczółki;  
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki  
I uczyć budownictwa pierworoczne matki.  
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,  
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,  
Naprzekór ptasznikowi; już to pani sroce  
Ciągłe trąbić do ucha naukę: „Nie kradnij!”  
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,  
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą.  
Pracuj, jak koń pogański, pracuj całe lato,  
A zimą śpij u chłopca za brudnym przypiekiem  
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem!

SKIERKA.

Bo też ty jesteś leniwy, Chochliku!  
(patrzy na jezioro).

Ach, patrz! na słońca promyku  
Wytryska z wody Goplana;  
Jak powiewny liść ajeru,  
Lekko wiatrem kołysana;  
Jak łabędź, kiedy rozwinie  
Uśnieszony żagiel steru,  
Kołysze się — waha — płynie.  
I patrz! patrz! lekka i gibka  
Skoczyła z wody jak rybka,  
Na niezabudek warkoczu  
Wiesza się za białe rączki,  
A stopą po fal przezroczu  
Brylantowe iskry skrzesza.  
Ach, czarowna! któż odgadnie,  
Czy się trzyma fal obrączki,  
Czy się na powietrzu kładnie,  
Czy dłonią na kwiatkach się wieszał.

CHOCHLIK.

Ona ma wianek na głowie...  
Czy to kwiaty, czy sitowie?

SKIERKA.

O nie... to na włosach wróżki  
Uśpione leżą jaskółki.  
Tak powiązane za nóżki,  
Kiedys, w jesienny poranek  
Upadły na dno rzeczutki.  
Rzeczutka rzuciła wianek,  
Wianek czarny jak hebany  
Na złote włosy Goplany.

CHOCHLIK.

Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany,  
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać.  
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła  
Biednemu młynarzowi, lub każe spowiadać  
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła  
Za kradzież słodkich miodów... lub malować pawie.

SKIERKA.

Więc uciekaj... ja się bawię...  
Promienie słońca przenikły  
Jaskółeczek mokre piórka...  
Ożyły — pierzechły — i znikły,  
Jak spłoszonych wróbli chmurka.  
Królowa nasza bez ducha  
Zadziwiona stoi, słucha;  
Nie śmie wiązać i zaplatać  
Kos rozwianych, nie wie, czemu  
Wianeczkowi uwiędłemu  
Przyszło ożyć, skąd mu latać.  
Goplano! Goplano! Goplano!  
(Wchodzi Goplana).

a. Pojedynek Wołodyjowskiego z Kmicicem.

§ 13. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistem pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.



— Dobrze się dzień zaczyna—rzekł pan Wołodyjowski—ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życzyć, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie—zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty—a skoczyć po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane w czasie bitwy pochodnie, i po jakimś czasie blisko pięćdziesiąt czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

— Patrz waść, istny kondukt<sup>1)</sup>!

A Kmicic odparł odrazu:

— Pułkownika chowają; to i pompa być musi.

— Srogi smok z waścił...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokoło rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieszcili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cisza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone osuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był, jak szczygieł w pogodny ranek.

— Zaczynaj waść! — rzekł Kmicic.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął jakby z niechęcia, pan Kmicic odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali. Kmicic atakował z furją, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę wtył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie niezauważalne; zdawało się, że chciał siebie tylko ochronić, a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok wtył, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz, próbujący ucznia, i coraz spokojniejszy; wreszcie ku wielkiemu zdumieniu szlachty przemówił:

<sup>1)</sup> orszak pogrzebowy.

— Pogawędźmy — rzekł, — nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to ta orszańska metoda?... widać tam sami musicie groch młócić, bo waćpan machasz, jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliż to naprawdę w Orszańskim najlepszy? Ten cios jeno u pacholków trybunalskich w moździerzu... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędzać. Zważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkoło, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i, nim patrzący zrozumieli, co znaczy „podnieś“ — już szablą Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyluskiwać szablę.

Kmicic stał błądzący z obłąkanemi oczyma, chwiejący się, zdumiony niemniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i, ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi:

— Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, już gotów był do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunawszy rękę do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośnie poczęły się zrywać w kole patrzących, i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrwały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza na mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą, i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął z za pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów<sup>1)</sup>. Kmicic pieniał się, rzeził, наконец chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

— Kończ... waść!... wstydu oszczędź!...

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski.

<sup>1)</sup> Szerokich spodni.



Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje — rzekł Wołodyjowski — nie padł nawznak! I, zagiąwszy połą Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

#### b. Pojedynek Wołodyjowskiego z Bohunem.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzeczce, która płynęła wśród zarośli i głógów, dzikich róż, terek i choiny. Listopad postrzącał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa tak była zbita, że czarniała, jakby wstęga kuru, het przez puste pola, aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew i rozświecało żółte wydmy piaszczyste, ciągnące nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku owym wydmom.

— Tam się zatrzymamy! — rzekł Zagłoba.

— Zgoda! — odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, nakoniec zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

— Panie Michale...

— A co?

— Na miłość Boską, Panie Michale, starajże się! W twoich teraz rękach los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady!

— To czemuś go waść wyzywał?

— Słowo się rzekło... Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładysz może skakać, jak cyga<sup>1)</sup>. Cięty to ogar, panie Michale.

— Postaram się! — rzekł mały rycerz.

— Boże ci dopomóż. Nie trać ducha!

— Zaś tam!

W tej chwili zbliżył się ku nim jeden z panów Sielickich.

— Ciężka jakaś sztuka ten wasz kozak — szepnął — tak

<sup>1)</sup> Bąk, fryga.

sobie z nami poczyną, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazja! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzeć!

— El! — rzekł Zagłoba — prędzej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

— I mnie się tak widzi — rzekł Wołodyjowski.

— Stawajmy! — zawołał nagle Bohun.

— Stawajmy, stawajmy!

Stanęli. Szlachta półkolem, Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie. Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy; poczem rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać i widać było, że sprawy nie lekceważył. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najslawniejszym, o którym lud pieśni śpiewał, i którego imię — jak Ruś szeroka — aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał: albo śmierć sławną, albo równie sławne zwycięstwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego także niezwykłą miał w twarzy powagę, którą dojrzawszy Zagłoba aż przeląkł się.

— Traci fantazję! — pomyślał — już po nim, a zatem i po mnie!

Tymczasem Wołodyjowski, zbadawszy dokładnie grunt, począł odpinać kurtę.

— Chłodno jest — rzekł — ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubranie tak, że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach — następnie poczęli zawijać na prawej ręce rękawy.

Ale jakże marnie wyglądał mały pan Michał przy rośłym i silnym atamanie! <sup>1)</sup> prawie go nie było widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś kozaka, na olbrzymie muskuły, widne z pod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się, jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła mu się tak, iż czarna grzywa zdawała się do brwi

<sup>1)</sup> dowódcy kozaków.



sięgać; i szabla drgała mu w ręku — oczy drapieżne utkwił w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrzał jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtymi wąsikami i stanął w pozycji.

— Jatki tu proste będą! — mruknął do Sielickiego Charłamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

— W imię Boże, zaczynajcie!

Świsnęły szable, i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskoczył wtył kilka kroków, i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe zygzaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za nimi nadążyć — zdało się im, iż pan Michał całkiem jest niemi otoczony, pokryty, i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać z pod tej nawałności piorunów. Ciosy zwały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarze. Furja watażki wzrastała; ogarniał go dziki szal bojowy, i parł przed sobą Wołodyjowskiego jak huragan — a mały rycerz cofał się ciągle i tylko się bronił: wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bezustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola, i chwycił szalone cięcia Bohunowe, ostrze podstawiał pod ostrze, odbijał i znów się zasłaniał, i jeszcze się cofał, oczy utkwił w oczach kozaka i wśród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy — i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

— Broni się jeszcze! — pomyślał.

— Broni się jeszcze! — szeptali panowie Sieliccy i Charłamp.

— Już przyparty do wydmy — dodał cicho Kuszel.

Zagłoba znów otworzył oko i spojrzał.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydmy, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

— Przecie i z pana Michała gracz nad gracz — pomyślał — a i tamten znuży się nareszcie.

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło, ale upór podniecał tylko jego wściekłość; kły błysnęły mu z pod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

Nagle, poczuwszy za sobą wydmy, zebrał się w sobie — już patrzącym zdało się, że padł, on tymczasem pochylił się, skurczył, przysiadł — rzucił całą swoją osobą niby kamieniem w pierś kozaka

— Atakujel! — wykrzyknął Zagłoba.

— Atakujel! — powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz, poznawszy już całą siłę przeciwnika, nacierał tak zwa-wo, że świadkom dech zamarł w piersi; widocznie poczynął się rozgrzewać — małe oczki sypały iskry, przysiadł się i zrywał, zmieniał w jednym mgnieniu pozycję, zataczał kręgi naokół watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

— O mistrz! mistrz! — zawołał Zagłoba.

— Zginiesz! — ozwał się nagle Bohun.

— Zginiesz! — odparł jak echo Wołodyjowski.

Wtem kozak sztuką, najbieglejszym tylko szermierzom znaną, przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał, jakby piorunem rażony, padł na ziemię.

— Jezus, Marja! — krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie, i właśnie dlatego szabla Bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się, jak dziki kot, i całą niemal długością ostrza ciał straszliwie w odkrytą pierś kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatnim wysiłkiem dał ostatnie pchnięcie, pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochyłony łeb — szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna, i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eljaszeńko, obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.



a. Anno Domini <sup>1)</sup>).

§ 14. Benedyktyńska cicha praca  
Pergaminowy skrypt <sup>2)</sup> wzbogaca...  
W klasztornej celi, w słodkiej ciszy  
Mnich czas, kroczący wolno, słyszy,  
Słyszy, jak puka w drzwi i w ściany,  
W rękopis patrzy malowany,  
Kędy od złota i purpury  
Cudowne błyszczą minjatury <sup>3)</sup>).

Przez pochylone ramię mnisze  
Patrzy <sup>4)</sup>, jak ręka starca pisze:  
„Pańskiego roku tysiąc dwieście  
„Zaraza była w naszym mieście,  
„Z wyroków Bożych zagnała wszczęta,  
„Pokotem brała pacholeta,  
„Ubogie głód pustoszył wioski,  
„Nieodwrócony dopust boski.

„Aż księżę, pan mój i wódz męski,  
„Ku zażegnaniu wielkiej klęski  
„Fundował klasztor nasz w tem mieście.  
„Pańskiego roku tysiąc dwieście.  
„Na pierwszy dźwięk naszego dzwona  
„Zaraza była odwrócona,  
„A w ziemi tajne drgnęły siły,  
„I pola bujnie obrodziły.

„Niebo pogodne miało lice,  
„Zazieleniły się winnice,  
„Oliwne słodko kwitły gaje,  
„A z krajów, kędy słońce wstaje,  
„Przebywszy morskich wód odmęty,  
„Ładowne zbożem szły okręty,  
„I radość wielka była w mieście  
„Pańskiego roku tysiąc dwieście.

<sup>1)</sup> roku pańskiego. <sup>2)</sup> zeszyt zapisany, rękopis. <sup>3)</sup> w dawnych rękopisach głoski początkowe, ozdabiane malowanymi kwiatami, liśćmi i t. p. (z włosk. minjatura od farby minia). <sup>4)</sup> czas patrzy.

„A klasztor-rósł na chwałę Bożą,  
„Murów oplótszy się obrozą...  
„Płynęły lata jako woda,  
„W modlitwie była tu ośłoda,  
„A w zbożnej pracy treść żywota.  
„Jako jedyna prawda złota,  
„Co ziemię z niebem w jedno sprzęga,  
„Niech świadczy o tem ona księga“.

Powoli w ciszy, w celi białej  
Mnich od starości posiwiaty,  
Nad pergaminem chyląc głowę,  
Spisuje dzieje przedwiekowe.  
Illuminuje <sup>1)</sup> lśniąca skórę,  
Tu cudną kładzie minjaturę,  
Ówdzie inicjał <sup>2)</sup> piękny tworzy  
Ku nieśmiertelnej chwale Bożej.

b. Ksieni.

Na marginesach sztywnych psalterzy  
Ksieni szlak zdobny okrasza złotem,  
Barwi strzelistych lilij opłotem,  
Jasnością skrzydeł anielskich śnieży.

Na marginesie sztywnych psalterzy  
Dostojnych Magów zgrzybiałe ręce  
Pieszczą różane ciało dziecięce,  
Rozśmiane oczom, jak owoc świeży.

Na marginesach sztywnych psalterzy  
Uczona ksieni dłoń spiera białą  
I usta wtula w różane ciało,

Rozśmiane oczom, jak owoc świeży...  
I po złożonych kart pergaminie  
Bolesne srebro łez cichych płynie.

<sup>1)</sup> ozdabia farbami (z łac. illuminare). <sup>2)</sup> duża litera ozdobna, zaczynająca dzieło lub rozdział (z łac. initialis=początkowy).



## c. W zakrystji na Murano.

Stary, dębowy pulpit, stara na nim księga,  
Przed pulpitem mnich siedzi, podparty w zadumie,  
Gałąź akacji, w cichym chwiejająca się szumie,  
W otwarte okno bije i do wnętrza sięga.

Na mozaikach podłogi leży słońca wstęga,  
Pszczoła brzęczy i tonie w gwiazdzistym arumie,  
Morze gra, niby organ w odległym gdzieś tumie <sup>1)</sup>,  
Traw skoszonych woń bije ożywcza i tęga.

Mnich głowę podniósł, oko wypuścił daleko,  
Patrzy w lazur słoneczny zmrużoną powieką,  
Na usta mu powraca młodości pieśń złota...

A pątnik, co tu przyszedł oglądać Madonnę,  
Widział cud! Widział serce kwitnące i wonne  
Na kolczastej gałęzi zeszlęgo żywota.

## a. Śmierć księcia Józefa.

§ 15. Wstał zimny, pochmurny ranek 19 października.  
Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nad-  
rzeczka, rozkładała po ogromnej równinie, przesycała opara-  
mi świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzie niegdzie, przejmuj-  
ącym do szpiku jesiennym deszczem, z dymem palących się  
przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabi-  
nowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było wi-  
dzieć. Już cała prawie armja na drugą stronę przeszła, kiedy  
wtem, po 11-ej z rana, przedwcześnie wysadzony został w po-  
wietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Jó-  
zef, mając przy sobie kilkuset ledwie ludzi, nagle został od-  
cięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia  
lipskiego Borny na czele szczupłej eskorty kirasjerów i kra-  
kusów, szarżując raz po razie nacierających rojami tyralje-  
rów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał po-  
strzał w rękę, lecz owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał.  
Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski  
i inni wobec zamkniętego odwrotu i niemożności dłuższej obro-

<sup>1)</sup> kościołe katedralnym, katedrze.

ny błagali go, aby się poddał, osobę swą dla kraju zachował.  
On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, znużony był,  
wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany,  
napół przytomny; odpowiadał na wszystko: „Trzeba umrzeć  
mężnie“ (il faut mourir en brave). Rzucił się wpław do Pleis-  
sy, ale, już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prą-  
du. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Blé-  
champ, w chwili, gdy uwalniał się od tonącego konia, i wy-  
dobył na brzeg przeciwny. Ruszył księżę dalej pieszo do  
Elstery przez błotniste ogrody, już wszędzie napełnione tyra-  
ljką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę  
w bok, slaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących  
mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność,  
dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się  
na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie,  
śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błaga-  
nia towarzyszków nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniew-  
nem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze.  
Wtem na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty po-  
rwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery. Tu  
ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty nawylot, osuwa  
się z konia i po krótkim pasowaniu się—znika pod wodą.

Tak .. umarł Józef ks. Poniatowski.

## b. Zgon księcia Józefa Poniatowskiego.

Napoleona broniąc arjergardy <sup>1)</sup>,  
Pełen dla śmierci i dla życia wzgardy,  
W ranach, choć mdlejąc i chociaż krwią brocząc,  
Walczył wódz — księżę, z wrogiem się szamocząc.

Polska, choć cesarz umknął z placu boju,  
Do ostatniego niech walczy naboju.  
Niech wroga szablą spęklą żga po żebrze,  
Póki sił, i niech... pardonu <sup>2)</sup> nie żebrze.

Kłęska! Nad wojskiem bolejąc pobitem,  
Pchnął ranny księżę konia do Elstery,  
Wezbranej mętnem, wzburzonem korytem,

<sup>1)</sup> straży tylnej (z franc. arrière-garde. <sup>2)</sup> przebaczenia, prośby  
darowanie życia (z franc. pardon).



Wpadł i jak junak rozstał się z tym bytem.  
Gdy go dobyli bracia bohaterzy,  
Duch zeń już uszedł w niebieskie etery.

c. 1812 — 1912.

Przez rdzę zjedzona stara szpada  
I oficerski mundur dziada,  
I szlifa na nim wpół oddarta—  
W łachmanach, w strzępach dziejów karta...

Przechowywana z czią w rodzinie,  
Krwią wspomnień żywych jeszcze płynie  
I ogromnego krzyku szuka  
W niesytym bólu, w łzach prawnuka...

Za oknem huczy wiatr i burza,  
Z przeszłości słońce się wynurza  
I nieśmiertelną chwałą świeci  
Na krwawem niebie dwóch stuleci...

Na ścianie błyszczy stara szpada,  
W łachmanach, w strzępach mundur dziada...  
W daleką wizję patrzą oczy,  
We mgłę postaci rój się tłoczy...

Grzmi bębnow łoskot... Gwardji starej  
Świetne rozwiały się sztandary,  
Za pułkiem pułk, od złota lśniące,  
Zwycięskim szlakiem idą w słońce...

W litewskich borach trąbka dzwoni,  
Jadą ułani lekkokonni,  
W tętencie kopyt, w armat skrzypie  
Wiosna im drogę kwieciami sypie...

Cerkiewne głucho biją dzwony,  
W proch upadł Smoleńsk zwyciężony,  
Pożarów łuny błyszczą wdali —  
To Moskwa dworce swoje pali...

W łachmanach, w strzępach mundur dziada  
Stu bitew dzieje opowiada,  
Umarłych wspomnień wskrzesza zgłiszczę,  
Za oknem huczy wiatr i świszcze,

Kurzawa śnieżne sypie kopce,  
A na dalekie drogi obce  
Wychodzi smutna dusza wnuka  
I śladów sławy w zaspach szuka...

a. Dąbrowski słucha Liwjusza <sup>1)</sup> nad jeziorem  
Trazymeńskim <sup>2)</sup>.

§ 16. Na tarasie uciszyło się, bo jednak wszyscy ciekawo byli usłyszeć nad Trazymenem opis trazymeńskiej bitwy. Zdala dochodziły tylko głosy wartowników. Niebo nad tarasem nabite było gwiazdami; w powietrzu wielki spokój.

Marek spojrział naprzód na rozświetloną toń jeziora, którą widać było doskonale, następnie na lampy, koło których kręciły się čmy nocne, i począł czytać wzruszonym, młodym głosem, co następuje:

„Przybywszy do jeziora poprzedniego dnia o zachodzie słońca, Flaminius ruszył nazajutrz naprzód, zanim pierwszy brzask rozwidnił okolicę, i nie wysławszy dla jej rozeznania żadnych podjazdów. Gdy po przejściu wawozów kohorty <sup>3)</sup> na szerszej nieco równinie poczęły się rozwijać, spostrzegł tylko tych nieprzyjaciół, których miał przed sobą. Zasadzki ztyłu i nad głową uszły całkiem jego baczności. A wtem Kartagińczyk, ujrawszy, że stało się, czego sobie życzył, i widząc Rzymian, zamkniętych między górami i jeziorem, a zarazem otoczonych przez swe wojska, daje znak wszystkim naraz do ataku. Ci pędzą wprost, jak komu najbliżej. Mgła, gęstsza w dolinie, niż na wzgórzach, czyni ów atak

<sup>1)</sup> Titus Livius (59 przed Chr. — 17 po Chr.) historyk rzymski, autor „Historji rzymskiej“, z której doszło do nas tylko 35 ksiąg, obejmujących dzieje Rzymu od założenia miasta do 168 r. przed Chr. <sup>2)</sup> jezioro Trazymeńskie we Włoszech środkowych. Tu 217 r. przed Chr. Hannibal pobił konsula Gajusa Flaminius w czasie drugiej wojny punickiej (218—201). <sup>3)</sup> oddziały piechoty, odpowiadające dzisiejszym bataljonom.



bardziej nagłym i niespodziewanym. Kartagińczycy, rozstawieni na wyniosłościach, widzą się lepiej i pędzą wódł jednocześnie. Rzymianin tylko z krzyków, rozlegających się ze wszystkich stron, poznaje, że jest otoczony. Bitwa, nim legionista zwał się w szyki, nim za broń chwycił, nim wyciągnął miecze, rozpoczyna się z przodu, z boków, z tyłu.

Wśród ogólnego przerażenia sam tylko konsul serca nie traci, a gdy w zmieszanych szeregach każdy zwraca się w tę stronę, z której dochodzą wraski najsrozsze, on, o ile może, zbiera żołnierzy, ustawia szeregi, napomina, rozkazuje stać twardo i walczyć mężnie. „Nie czas — woła — ślubować, nie czas błagać bogów: siła tylko i odwaga może was zbawić. Drogę przez nieprzyjaciół toruje jeno żelazo, a im mniej bojaźni, tem ratunek pewniejszy“. Niestety, wśród wrasku i skrzętu nie słyszano ni rad, ni rozkazów. Żołnierz nie mógł odnaleźć swego znaku, swego szeregu, swego miejsca. Przytomności starczyło ledwie do chwycenia za broń. Niektórym zbroja raczej brzemieniem była, niż obroną. W głębokim mroku słuch służył lepiej od oczu. Więc zwracali wzrok i oblicza w stronę, skąd szły jęki rannych, dźwięk zderzających się zbroi, okrzyki triumfu i trwogi... Tym, co uciekali, zagradzał drogę zbity tłum żołnierzy, tych, co wracali do bitwy, porywał prąd uciekających. Więc, gdy na nic był wszelki wysiłek, gdy z jednej strony góry, z drugiej jezioro, a z tyłu i z przodu nieprzyjaciół — zrozumiał Rzymianin, że zbawienie jeno w prawicy i w żelazie. Zaczem nowa rozszała bitwa: nie taka w ordynku, którą rozpoczyna prymak<sup>1)</sup>, a toczą dalej włócznicy i groźne trzeciaki, i nie taka, w której przedchorągiewni biją się w przodku znaków, a za nimi uderza szyk główny, ale bezładna, gdzie żołnierz, walcząc nie w swoim legione, nie w swej kohorcie i rocie, sam sobie przewodnikiem i wodzem. Tak wielka zaś była zaciekłość wojsk obu, że nikt nie odczuł strasznego trzęsienia ziemi,

<sup>1)</sup> Szyk rzymski manipularny (manipule od 60 do 120 ludzi) składał się z trzech linii bojowych: pierwszą tworzyli najmłodsi żołnierze „kopińnicy“ (hastati), drugą oddziały starszych i doświadczonych wojowników „celniejszych“ (principes). Trzecia linia składała się z mniejszych o połowę oddziałów weteranów, „trzeciorzędowych“ (triarii) zbrojnych w włócznie (pilum). Hastati i principes nazywali się antesignani, jako poprzedzający sztandary (signa), oddane pod opiekę triarjów.

które zburzyło mnóstwo miast w Italji, góry zrównało z ziemią, odwróciło biegi rzek i wepchnęło w ich koryta fale morskie...“

Marek odetchnął i przerwał, nie wiedząc, czy ma czytać dalej. Słuchali w skupieniu oficerowie; mniej biegły w łacinie Kniaziewicz pochylił głowę i otoczył dłonią ucho, by żadnego słowa nie stracić, pułkownika Gautier'a, który był w czasie czytania zasnął, zbudziła cisza, więc począł pykać ze zgastej fajki, a wreszcie zabrał głos Dąbrowski.

Po francusku już, lubo niezbyt poprawnym językiem, jał opowiadać o śmierci konsula z ręki usumbryjskiego jeźdźca i o ostatniej klęsce Rzymian. Wywołana opowiadaniem złowroga, ale olbrzymia postać Hannibala stanęła jakby żywa przed oczyma słuchaczy, okrutna, nieubłagana, zwycięska. Dąbrowski mówił dalej:

— Nie był to jenjusz, jak Aleksander lub Cezar, albowiem brakło mu wzniosłych pomysłów, które zmieniają życie człowieczeństwa, ale i Aleksander, i Cezar, gdyby im przyszło z nim walczyć, mogliby byli bitwy przegrywać. Nie umiał może myśleć i czynić planów na dłuższe lata, ale natomiast na placu wobec nieprzyjaciela nikt nie zdołał mu wyrównać. Wspomnijcie, że po bitwie trazymeńskiej przyszły Kanny.

— Tak, jenerale—przerwał Tremo—a jednak na Rzym po Kannach nie uderzył i Rzymu nie zburzył.

— „Umiesz zwyciężać, Hannibale, korzystać ze zwycięstwa nie umiesz“ — zacytował słowa Maharbala<sup>1)</sup> Drzewiecki. Poczem dodał:

— Hannibala mogę podziwiać, ale nie mogę się do niego przekonać.

— Przekonać się trudno,—odpowiedział Dąbrowski—albowiem brakło mu nietylko wzniosłych pomysłów, lecz i wspaniałomyślności. Nigdy mu serce nie zadrgało miłosierdziem, nigdy dobrocią. To dusza innej rasy. Ale tę swoją Kartaginę kochał jednak do ostatniego tchu życia, i gdy nadeszła chwila, w której rozumiał, że na nic trud i cel życia, na nic niesłychane zwycięstwa, że Rzym, tylekroć przez niego zdeptany, triumfuje, a ojczyzna ginie i zginąć

<sup>1)</sup> dzielnego podkomendnego Hannibala. Słowa z XXII ks. 51 rozdziału Historji: „Vincere scis, Hannibal, victoria uti nescis“.



musi, wówczas był to człek chyba najbardziej nieszczęsny na ziemi. Widzę go oto jako tułacza na obcej ziemi — po Zamię<sup>1)</sup> — i schylam przed nim głowę, chociaż na Kapitolu nie był i Rzymu nie zburzył.

To powiedziawszy, umilkł i dopiero po chwili rzekł.

— Ale już późno, więc może pójdziemy rzucić okiem na dawne pole bitwy.

Ruszyli wszyscy z wyjątkiem pułkownika Gautier'a, który odezwał się z żołnierskim humorem:

— Mój jenerale, Hannibal mógł być wielkim wodzem, ale w Rzymie nie był, a ja byłem, więc idę spać.

I, przyłożywszy palce do skroni, zawrócił na miejsce i poszedł do swojej kwatery.

A oni udali się nad jezioro i szli wolnym krokiem, mając przed sobą i za sobą po pięciu żołnierzy. Księżyc wysunął się już z poza Apenin, rozświetlił kortońskie wzgórza i położył się szerokim srebrnym mostem na cichej toni. Noc była jasna jak dzień, żadnego powiewu, i mgły, zwykłe nad Trazymenem, nie przestaniały widoku. Na tle skażanych w białym niemal blasku zboczy rysowały się czarne wpadliny i wąwozy, w których czaili się swego czasu Kartagińczycy. Oficerowie to zatrzymywali się chwilami dla rozmowy, to szli dalej, rozglądając się dookoła. Niejeden mówił też sobie w duszy: „Hej! gdzieśmy to doszli! Śladami Hannibala aż nad trazymeńskie wody“. I tak myśląc, spoglądali na migające w oddaleniu ogniska polskich biwaków.

Dąbrowski znów zabrał głos, ale mówił cicho, jak się mówi w kościołach albo na cmentarzach:

— Musiało się tu dużo zmienić. Zwietrzało dużo skał, porozsypywały się wzgórza, ale to było tu. Tu piętnaście tysięcy legionów, cała siła Rzymu, leżało pokodem we krwi.

— A Rzym czekały jeszcze Kanny, zauważył Kniażewicz.

Tremo zaś rzekł:

— Jednakże się ostał i zwyciężył.

Na to Dąbrowski odkrył głowę, przyłożył dłoń do czoła i trwał tak przez chwilę, a potem począł zwolna mówić:

<sup>1)</sup> po-bitwie pod Zamą w Afryce r. 202, w której Rzymianie pod wodzą konsula Scypiona, przezwanego później Afrykańskim, pobił na głowę Hannibala i Kartagińczyków.

— Bo nigdzie miłość ojczyzny nie gorzała tak wielkim płomieniem... Nigdzie obywatel nie był tak gotów na śmierć pro aris et focis<sup>1)</sup>... Ach! w Rzymie nie mogło być Targowicy, Rzym mógł być zgłodzony, ale nie mógł być rozdarty między sąsiadów... Rzym to nie... Polska...

I dalsze słowa uwięzły mu w ustach, a tym, którzy go słuchali, przysięgnął dusze jako niezmierny ciężar. Zapadła cisza — i pochyliły się wszystkie głowy. Ściśnięte serca zalała wielka gorycz...

• Wtem zdala wśród głuchej nocy doszedł ich na tem trazymeńskim pobojuwisku od strony ognisk i biwaków polskich żołnierski głos śpiewający:

„Jeszcze Polska nie umarła,

„Póki my żyjemy...“

— Słyszysz, jenerale? — zapytał Tremo.

A Dąbrowski podniósł zażawione oczy ku księżycowi.

— Daj to Bóg! — rzekł.

## b. Dąbrowski w okresie tworzenia legionów.

Liczył czterdziesty trzeci rok życia.

Wzrostu słusznego, barczysty i przysadzisty, głowę miał dużą, czaszkę olysiałą, policzki mięsiste, nos wydatny, gruby, usta nieco wydęte. Niekształtny i niepiękny, ujmował jednak melancholijnym wyrazem twarzy, zadumą czoła wyniosłego i rzewnością spojrzenia. Silny fizycznie, lecz ociężały w ruchach, robiłby wrażenie skromnego rentjera<sup>2)</sup> lub przytyłego za ładą<sup>3)</sup> handlu korzennego kupca małomiasteczkowego, gdyby nie pewna w postawie uroczystość z domieszką pozy bohaterskiej i majestatu ludzi, przywykłych do rozkazywania. Zresztą brylowatość fizyczną ożywiał puls nie zmordowanej czynności, ubarwionej gadatliwą jowialnością<sup>4)</sup>.

„Wystaw sobie — powiada o Dąbrowskim wieloletni towarzysz jego trudów legionowych — bohatera, objaśnionego słońcem Rzymu, zatrącającego okropnie niemczyzną, przybranego w kurtkę sarmacką, któraby piwniczemu Batorego

<sup>1)</sup> w obronie ołtarzy i ognisk domowych. <sup>2)</sup> człowieka, utrzymującego się ze stałego rocznego dochodu, z majątku lub kapitału (franc. rentier). <sup>3)</sup> stołem sklepowym (niem. Lade). <sup>4)</sup> wesołością, żartobliwością (z łac. jovialis — wesoły).



ledwie do kroju przypadła. I w tej kurcie mówiącego znowu językiem Petrarke, rozumującego z wyższym smakiem o cudach sztuk Italji. W każdym kroku chcącego kopjować Czarnieckiego, w każdym czynie patrzącego na historję. Chciwego sławy, nie znaczenia zwykłego. Najbieglejszego historyka i znawcę dziejów ojczystych, najtrafniejszego obserwatora charakteru narodowego, kobiet naszych. Prawiącego ciągle tysiące śmiesznych dykteryjek o Polakach. Wiecznie podciągającego stare pludry<sup>1)</sup>. Zwinnego czasem lisa, zwłaszcza z cudzoziemcami. Nakoniec kochającego Polskę szczerze jako pole swej sławy, jako drogę do wielkiego imienia...

Ze szkoły wojskowej niemieckiej zaczerpnął wyniosłość hierarchiczną<sup>2)</sup>, co odstręczało od niego „kor<sup>3)</sup> oficerski“, wychowany w równości szlacheckiej, nieprzywykły do subordynacji poza służbą. Nie mając przyjaciół i daru oceniania ludzi, dawał do siebie przystęp pochlebcom. Sam zacny i prawy, nie podejrzewał innych o złą wolę i nikczemność.

Był romantykiem<sup>4)</sup> zarówno z upodobań literackich (z dziełami Szyllera nie rozstawał się w pościgu za nieprzyjacielem i w ogniu bitew), jak z poczynań polityczno wojskowych. Zdumiewał bujnością pomysłów i uporem czynu. W środkach nie przebierał. Pragnął w interesie Polski pobudzić Francję i Prusy przeciwko Rosji i Austrii, później Francję i Austrię przeciwko Rosji i Prusom. Gotów był sprzymierzyć się z siłą nieczystą, byleby z jej pomocą osiągnąć cel. Do raz powziętej koncepcji<sup>5)</sup> powracał wielokrotnie, nie zrażając się niczem.

#### a. Pieśń legjonów polskich we Włoszech.

§ 17.

Jeszcze Polska nie umarła,  
Kiedy my żyjemy.  
Co nam obca moc wydarła,  
Szablą odbijemy.

<sup>1)</sup> spodnie workowate (z niem. Pluderhosen). <sup>2)</sup> wyniosłość płynąca z poczucia stopnia urzędu, władzy (z gr. późn. hierarchja). <sup>3)</sup> zastęp, grono (z fr. corps). <sup>4)</sup> uczuciowym, z bogatą wyobraźnią. <sup>5)</sup> pomysłu (z łac. conceptio).

Marsz, marsz, Dąbrowski,  
Do Polski z ziemi włoskiej,  
Za twoim przewodem  
Złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania  
Wracał się przez morze  
Dla ojczyzny ratowania  
Po szwedzkim rozbiorze,  
Marsz, marsz, etc.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,  
Będziem Polakami,  
Dał nam przykład Bonaparte,  
Jak zwyciężać mamy.  
Marsz, marsz, etc.

Niemiec, Moskal nie osiedzie,  
Gdy, jawszy pałasza,  
Hasłem wszystkich zgoda będzie  
I ojczyzna nasza.  
Marsz, marsz, etc.

Już tam ojciec do swej Basi  
Mówi zapłakany:  
„Słuchaj jeno, pono nasi  
„Biją w tarabany“.  
Marsz, marsz, etc.

Na to wszystkich jedne głosy:  
„Dosyć tej niewoli —  
„Mamy raclawickie kosa,  
„Kościuszkę Bóg pozwoli“.

#### b. Mazurek Dąbrowskiego.

Jeszcze Polska nie zginęła,  
Kiedy my żyjemy,  
Co nam obca przemoc wzięła,  
Szablą odbierzemy.



Marsz, marsz, Dąbrowski,  
Z ziemi włoskiej do Polski,  
Za twoim przewodem  
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,  
Będziem Polakami,  
Dał nam przykład Bonaparte,  
Jak zwyciężać mamy.  
Marsz, marsz, etc.

Jak Czarniecki do Poznania  
Po szwedzkim zaborze,  
Dla ojczyzny ratowania  
Wrócim się przez morze.  
Marsz, marsz, etc.

Mówił ojciec do swej Basi,  
Cały zapłakany:  
„Słuchaj jeno, pono nasi  
„Biją w tarabany“.  
Marsz, marsz, etc.

a. Treść i istota polskiego sumienia.

§ 18. „Jeszcze Polska nie zginęła“. Są to największe, najdonioślejsze słowa, jakie od stu lat usta polskie wymówiły.

Jest to treść i istota polskiego sumienia.

Na dymiących się pobojuwiskach, wśród pożogi miast zdobywanych, ponad cichemi polami wsi polskiej, przy huku kół i młotów warsztatu, przy pracy badaczy naukowych, w szczęściu i niedoli, z kajdanami na nogach czy z blaskiem zwycięstwa na czole, wszędzie i zawsze, gdziekolwiek jest Polak, niesie z sobą ducha tych czterech wyrazów... Są one nieodłączne dla wszystkich narodów od wyrazu: Polak. Wrogowie zrobili z nich wyraz pogardy i obelgi, przyjaciele — szczerne streszczenie naszego bohaterstwa i wierności.

Mazurek Dąbrowskiego, ta skromna żołnierska piosenka, urodzona wśród legjonów na włoskiej ziemi, stała się

potężnym hymnem narodowym, który w dniach wielkich brzmi, jak potężny huragan dusz, a w dniach powszednich dźwięczy nieustannie w duszy jak słodka, kojąca mękę życia nadzieja.

Niech każdy z nas zajrzy w głąb duszy i niech ją wyobrazi bez tych słów, bez tej myśli... Przerazi się tą pustką rozpaczliwą, beznadziejną, jakąby w niej ujrzał, gdyby pamiętać tych słów zagasła.

Życie rozprasza nas po świecie od bieguna do bieguna, lecz wszędzie idą z nami te słowa cudowne, strzegą sumienia i polskości duszy, działają z oddalenia, jak siła, skupiająca rozproszone atomy narodu, siła, która krzepi i „powiększa“ nasze dusze.

Słowa te to nasz największy, najpotężniejszy skarb narodowy, i człowiek, który je wypowiedział; powinien być czczony narówni z największymi genjuszami, jacy Polsce przyświecają <sup>1)</sup>.

b. „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Jako w polu przeoranem  
Siew runieje wiosną,  
Tak i w mężnych polskich sercach  
Znow nadzieje rosną.

Śpiewa żołnierz na widocie <sup>2)</sup>,  
Śpiewa u ogniska,  
A ojczyzny imię drogie  
Jak gwiazda mu błyska!

Aż z nadziei urodzona  
Piosenka wionęła  
Nad legjony nasze dzielne —  
„Jeszcze nie zginęła!“

<sup>1)</sup> Twórcą „Mazurka Dąbrowskiego“ jest Józef Wybicki (1747—1822), konfederat barski, autor utworów patriotycznych, poseł na sejm czteroletni, uczestnik powstania Kościuszkę, pomocnik Dąbrowskiego w organizowaniu legjonów. Pieśń powstała we Włoszech najprawdopodobniej w r. 1797, muzykę do niej skomponował M. K. Ogiński (1765—1833). <sup>2)</sup> placówce.



Kto ją pierwszy tam wyśpiewał,  
Nikt już dzisiaj nie wie —  
Ale żyje duch legjonów  
W tym nadziei śpiewie.

Przeleciała piosnka góry,  
Przeleciała morza —  
Zaświtała w ziemi polskiej,  
Jak nadziei zorza.

Choć nas przemoc gnębi wroga,  
Choć nam głos odjęła.  
Łała piosnka nad polami:  
— „Jeszcze nie zginęła!”

a. Pogrzeb Longinusa Podbiپیęty.

§ 19. Do wieczora zbito trumnę, i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Stało wszystko duchowieństwo ze Zbaraża prócz księdza Żabkowskiego, który, w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon, bliskim był śmierci; przyszedł książę<sup>1)</sup>, zdawszy dowództwo staroście krasnostawskiemu, i regimentarze, i pan chorąży koronny, i chorąży nowogrodzki, i pan Przyjemski, i Skrzetuski, i Wołodyjowski, i Zagłoba, i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się rozpoczęła.

Noc była cicha, gwiazdzista, pochodnie paliły się równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stojących wokoło rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach mirry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wzniosł rękę na znak, iż почина mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze chwilę, potem utkwiał oczy w gwiazdzistych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

<sup>1)</sup> Jeremi Wiśniowiecki.

— „Co tam za stukanie słyszę po nocy w niebieskie podwoje? — pyta sędziwy klucznik Chrystusowy, ze smaczno snu się zrywając.

— „Otwórz, święty Pietrze, otwórz! jam Podbiپیęta.

— „Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża<sup>1)</sup>, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbiپیęto, tak zacnego furtjana<sup>2)</sup> inkomodować<sup>3)</sup>? Jakiemże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne, jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu<sup>4)</sup> nawet purpury jeszcze same przez się wolnego wstępu nie dają? dokąd nie gościńcem szerokim w poszóstnej karecie z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspiąć się trzeba?

— „Ach, otwórz, święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł commiliton<sup>5)</sup> i drogi towarzysz nasz, pan Podbiپیęta — aż wreszcie przyszedł nagi jako Łazarz, przyszedł, jako święty Sebastjan, strzałami podarty, jak Hiob biedny, jako dziewczeczka, która męża nie znała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmały grzechowej, z ofiarą krwi, dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej.

„Puść go, święty Pietrze, bo jeżeli jego nie puścisz — kogóż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności?!

„Puść go, święty kluczniku, puść tego baranka: niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża...”

W taki to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydawał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, który najmniejszych skromnością, największych cnotą przewyższał. Bili się tedy w piersi wszyscy, i coraz większa ogarniała ich żałość, i coraz wyraźniej widzieli, jaki to paroksyzm<sup>6)</sup> ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i, gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów

<sup>1)</sup> stopień wojskowy. <sup>2)</sup> odzwierne. <sup>3)</sup> niepokoić (z łac. incommodare). <sup>4)</sup> Majestat, tu — monarcha panujący. <sup>5)</sup> współżołnierz, towarzysz broni (z łac. commilito). <sup>6)</sup> atak choroby, choroba.



i wojska, sam się rozplakał i mówił, szlochając, jak Zagłoba: „Zegnaj nam, bracie, zegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancji<sup>1)</sup> odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizję<sup>2)</sup> i opresję<sup>3)</sup>—pewnie tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmiłszy!“

Płakali za zacnym księdzem wszyscy, i ksiązę, i regimentarze, i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy Requiem aeternam dona ei Domine<sup>4)</sup> — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie, zahartowani na śmierć i codzienną praktyką oddawna do niej przywykli.

W chwili, gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłoby trudno było od niej oderwać, jakby mu brat albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Ksiązę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: Anima ejus<sup>5)</sup> — zahurgotały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami — i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbiپیęty urósł wysoki kopec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

#### b. Pogrzeb pana Wołodyjowskiego.

W kolegiacie<sup>6)</sup> stanisławowskiej stał na środku kościoła wysoki katafalk<sup>7)</sup>, rzęsiście obstawiony świecami, a na nim leżał w dwóch trumnach: ołowianej i drewnianej, pan Wołodyjowski. Wieka były już zabite, i właśnie odprawiano pogrzeb. Życzeniem serdecznym wdowy było, by ciało spoczęło w Chreptjowie, lecz że całe Podole było w rękach nieprzyjacielskich, więc tymczasowo miano je pochować w Stanisławowie, do tego bowiem miasta odesłani zostali pod konwojem tureckim kamienieccy „exules“<sup>8)</sup> i tu wydani w ręce wojsk hetmańskich.

<sup>1)</sup> sądu (z łac. instantia). <sup>2)</sup> nędzy (z łac. miseria). <sup>3)</sup> ucisk (z łac. oppressio). <sup>4)</sup> wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie! <sup>5)</sup> Dusza jego. <sup>6)</sup> kościele, przy którym jest kapituła, rada starszych duchownych; katedrze bez własnego miejscowego biskupa (z łac. śrw. collegiatus). <sup>7)</sup> wzniesienie z drzewa na stopniach pod trumną z ciałem zmarłego dla żałobnego obchodu (wł. catafalco, fr. catafalque). <sup>8)</sup> łac. wygnańcy.

Wszystkie dzwony biły w kolegiacie. Kościół zapelniony był tłumem szlachty i żołnierzy, którzy ostatni raz chcieli rzucić okiem na trumnę „Hektora kamienieckiego“ i pierwszego Rzeczypospolitej kawalera. Szeptano, że sam hetman ma na pogrzeb przyjechać, że jednak nie było go dotąd widać, a lada chwila mogli nadejść czambułem<sup>1)</sup> Tartarzy, przeto postanowiono nie odkładać caremonji.

Starzy żołnierze, przyjaciele lub podkomendni niebo-szczyka, stanęli wieńcem koło katafalku. Byli między innymi obecni: pan Muszalski łucznik i pan Motowidło, i pan Snitko, i pan Hromyka, i pan Nienaszyniec, i pan Nowowiejski, i wielu innych, dawnych oficerów ze stannicy<sup>2)</sup>. Dziwnym trafem prawie nie brakło nikogo z tych, którzy niegdyś zasiadali wieczorami ławy przy ognisku chreptjowskiem; wszyscy wynieśli cało głowy z tej wojny, tylko ów, który im był wodzem i wzorem, ów rycerz dobry i sprawiedliwy, straszny dla nieprzyjaciół, słodki dla swoich, tylko ów szermierz nad szermierze z sercem gołębia — leży oto wysoko wśród światła, w chwale niezmiernej, ale w ciszy śmierci. Zatwardziałe przez wojnę serca kruszyły się z żalu na ów widok; żółte błyski od świc oświecały srogie, strapione twarze wojowników i odbijały się błyszczącymi skrami we łzach, płynących z oczu. W środku żołnierskiego koła leżała krzyżem na podłodze Basia, a obok niej stary, zniedołężniały, złamany i trzęsący się pan Zagłoba. Ona tu przybyła piechotą z Kamieńca za wozem, wiozącym najdroższą trumnę, a teraz właśnie przyszła chwila, że trzeba było tę trumnę oddać ziemi. Przez całą drogę, idąc nieprzytomna, jakby nie do tego świata należąca — i teraz, przy tym katafalku, powtarzała bezświadomością usty: „Nic to!“ — powtarzała, bo tak jej kazał ten ukochany, bo to były ostatnie wyrazy, które jej przesłał; ale w tem powtarzaniu i w tych wyrazach były tylko dźwięki bez treści, bez znaczenia i otuchy. Nie „nic to“ było, jeno żal, ciemność, rozpacz, martwota, jeno nieszczęście niepowrotne, jeno życie zabite i złamane, jeno błędna świadomość, że już niema nad nią ni miłosierdzia, ni nadziei, a jest tylko pustka i będzie pustka, którą wypełnić może jeden Bóg, kiedy śmierć ześle.

<sup>1)</sup> oddziałem, gromadą (tatar. czapu(t), ukr. czambuł). <sup>2)</sup> osady kozackiej (ukr. stannycja).



Dzwony biły; u wielkiego ołtarza kończyła się msza. Nakoniec zabrzmiał wysoko, jakby z otchłani wołający, głos księdza: „Requiescat in pace“<sup>1)</sup>. Drgnienia febryczne wstrząsnęły Basią, a w nieprzytomnej głowie zerwała się tylko jedna myśl: „Już, już mi go zabiorą!“ Lecz nie był to jeszcze koniec ceremonji. Rycerstwo przygotowało liczne mowy, które miały być wypowiedziane przy spuszczeniu trumny w dół, tymczasem zaś wyszedł na ambonę ksiądz Kamiński. ten sam, który dawniej w Chreptjowie często przesiadywał i który w czasie choroby Basi na śmierć ją dysponował<sup>2)</sup>.

W kościele poczęli ludzie chrząkać i kaszlać, jako zwykle przed kazaniem, poczem ucichli i wszystkich oczy zwróciły się na ambonę.

Wtem z ambony ozwało się warczenie bębna.

Zdumieli się słuchacze. Ksiądz Kamiński zaś bił w bęben jakby na trwogę; nagle urwał, i nastała cisza śmiertelna. Poczem warczenie ozwało się po raz drugi, trzeci; nagle ksiądz Kamiński cisnął pałeczki na podłogę kościelną, podniósł obie ręce wgórę i zawołał:

— Panie pułkowniku Wołodyjowski!

Odpowiedział mu krzyk spazmatyczny Basi. W kościele uczyniło się poprostu straszno. Pan Zagłoba podniósł się i na współkę z panem Muszalskim wynieśli omdlałą niewiastę z kościoła.

Tymczasem ksiądz wołał dalej:

— Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum<sup>3)</sup> grają! wojna! nieprzyjacieli w granicach! a ty się nie zrywasz? szablami nie chwytasz? na koni nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Zaliś swej dawnej przepomniawszy cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?

Wezbrały rycerskie piersi, i płacz powszechny zerwał się w kościele i zrywał się jeszcze kilkakrotnie, gdy ksiądz cnotę, miłość ojczyzny i męstwo zmarłego wysławiał, a i kaznodzieję porwały własne słowa. Twarz mu pobladła, czoło okryło się potem, głos drżał. Uniósł go żal nad małym rycerzem, żal nad Kamieńcem, żal nad zgubioną rękoma wy-

<sup>1)</sup> Niech spoczywa w pokoju. <sup>2)</sup> przygotowywał na śmierć, udzielał ostatnich sakramentów (łac. disponere). <sup>3)</sup> alarm, sygnał wojenny, wzywający do broni.

znawców księżycą Rzeczpospolitą, i taką wreszcie kończył swoją mowę modlitwą:

— Kościoły, o Panie, zmieniają na meczety<sup>1)</sup> i koran<sup>2)</sup> śpiewać będą tam, gdzieśmy dotychczas Ewangelię śpiewali. Pograżyłeś nas, Panie, odwróciłeś od nas oblicze Twoje i w moc sprośnemu Turczynowi nas podałeś. Niezbadane Twoje wyroki, lecz kto, o Panie! teraz opór mu stawia? jakie wojska na kresach wojować go będą? Ty, dla którego nic nie jest w świecie zakryte, Ty wiesz najlepiej, że nie masz nad naszą jazdą Która ci, Panie, tak skoczy, jako nasza skoczyć potrafi? Takichże obrońców się pozbywasz, za których plecami całe chrześcijaństwo mogło wysławiać imię Twoje? Ojciec dobrotliwy! nie opuszczaj nas! okaż miłosierdzie Twoje! ześlij nam obrońcę! ześlij sprośnego Mahometa pogromcę, niech tu przyjdzie, niech stanie między nami, niech podniesie upadłe serca nasze, ześlij go, Panie!...

W tej chwili rum uczynił się przy drzwiach i do kościoła wszedł pan hetman Sobieski. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, dreszcz wstrząsnął ludźmi, a on szedł z brzękiem ostróg ku katafalkowi, wspaniały, z twarzą Cezara, ogromny...

Zastęp żelaznego rycerstwa szedł za nim...

— Salvator! <sup>3)</sup> — krzyknął w proroczym uniesieniu ksiądz.

A on klęknął przy katafalku i począł się modlić za Wołodyjowskiego.

## Spowiedź Jacka Soplicy.

### § 20. A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, ks. X.

#### a. Walki duszne.

§ 21. Książę, wódz, zwycięzca leżał w prochu w swojej kwaterze przed krucyfiksem i toczył jedną z najzaciętszych walk w swym życiu.

Straże na zamku zbaraskim odbywały północ, a Jeremi ciągle jeszcze rozmawiał z Bogiem i z własną duszą wy-

<sup>1)</sup> świątynie mahometańskie (arab. tur. mesdzid). <sup>2)</sup> świętą księgę praw u mahometan (arab. al koran — czytanie, wygłaszanie), <sup>3)</sup> zbawca.



niosła. Rozum, sumienie, miłość dla ojczyzny, duma, poczucie własnej siły i wielkich przeznaczeń zmieniły się w jego piersi w zapaśników i wiodły z sobą bój zacięty, od którego pękała pierś, pękała głowa, i ból targał wszystkie jego członki. Oto wbrew woli prymasa, kanclerza <sup>1)</sup>, senatu, regimentarzystów <sup>2)</sup>, wbrew woli rządów szły do tego zwycięzcy wojska kwarciane <sup>3)</sup>, szlachta, cudze chorągwie prywatne — słowem cała Rzeczpospolita oddawała się w ręce, uciekała się pod jego skrzydła, losy kraju powierzała jego genjuszowi i przez najlepszych synów wołała: „Ratuj, bo ty jeden ratować możesz!“ Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a pod Zbarażem stanie sto tysięcy wojowników, gotowych na bój śmiertelny ze smakiem wojny domowej. Tu obrazy przyszłości, oblane jakimś niezmiernem światłem sławy i potęgi, poczęły się przesuwac przed oczyma kniazia. Zadrzą ci, którzy go pominąć i upokorzyć chcieli — a on porwie te żelazne hufce rycerstwa i powiedzie je w stepy ukraińskie do takich zwycięstw, do takich triumfów, o jakich dzieje jeszcze nie słyszały. I kniaz czuje w sobie siłę odpowiednią — z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła wielkiego Michała Archaniola. Oto zmienia się w tej chwili w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może. Na Boga! on zetrze Chmielnickiego! on zdepcze bunt — on spokój ojczyźnie powróci! Widzi rozległe błonia, krocie wojsk, słyszy huk armat, bitwał bitwał pogrom niesłychany, niebywały! Krocie ciał, krocie chorągwi zaścietają step zbroczony, a on tratuje po cielsku Chmielnickiego, i trąby grają zwycięstwo, a głos leci od mórz do mórz... Kniaz zrywa się i ręce do Chrystusa wyciąga, a naokół jego głowy płonie jakieś czerwone światło: „Chryste! Chryste! — woła — Ty wiesz! widzisz, iż ja to uczynić potrafię, rzeknij mi, iżem powinien!“

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczy, taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto. „Na chwałę to Twoją! — woła książę — non mihi, non mihi! sed nomini Tuo da gloriam <sup>4)</sup>. Na chwałę wiary i Kościoła, całego chrześcijaństwa! O Chryste! Chryste!“ I nowy obraz mknie przed

<sup>1)</sup> wówczas był nim Jerzy Ossoliński. <sup>2)</sup> wodzów, zastępujących hetmana. <sup>3)</sup> utrzymywane z kwarty, a właściwie piątej części dóbr królewskich. <sup>4)</sup> nie mnie, nie mnie, ale imieniu Twemu daj chwałę.

oczyma bohatera. Nie na zwycięstwie nad Chmielnickim kończy się ta droga. Kniaz, bunt pożarliwszy, jego się ciałem jeszcze utuczy, jego siłami zolbrzymieje, krocie kozaków do kroci szlachty przyłączy i pójdzie dalej; na Krym uderzy, strasznego smoka w jego własnej jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwę nie wzywały.

Albo też pójdzie w te ziemie, które raz już kniazie Wiśniowieccy kopytami końskimi stratali, i granice Rzeczypospolitej, a z niemi Kościoła do ostatnich krańców ziemi rozciągnie...

Gdzie to koniec tego pędu? Gdzie koniec sławy, siły, potęgi? Niemasz go wcale...

Do komnaty zamkowej wpada białe światło miesiąca, ale zegary biją późną godzinę, i kury pieją. Dzień wszędzie już niezadługo, ale będzie to dzień, w którym obok słońca na niebie nowe słońce na ziemi zaświeci?

Tak jest! Dzieckiem byłby książę, nie mężem, gdyby tego nie uczynił, gdyby dla jakich bądź powodów przed głosem tych przeznaczeń się cofał. Oto czuje już pewien spokój, który na niego widocznie złał Chrystus miłosierny — niechże zato będzie pochwalon!.. Już myśli trzeźwiej, lżej i oczyma duszy położenie ojczyzny i wszystkich spraw jasno ogarnia. Polityka kanclerza i tych tam panów z Warszawy, również jak i wojewody bractawskiego <sup>1)</sup>, jest zła — i dla ojczyzny zgubna. Zdeptać naprzód Zaporozie, ocean krwi z niego wytoczyć, złamać je, zniweczyć, zgnieść, zwyciężyć, a potem dopiero pokonanym przyznać wszystko — ukrócić wszelkie nadużycia, wszelkie uciski, zaprowadzić ład, spokój; mogąc dobić — do życia wrócić; oto droga, jedynie tej wielkiej, wspaniałej Rzeczypospolitej godna. Może dawniej, dawniej można było brać inną, dziś — nie. Do czegoż mogą bowiem doprowadzić układy, gdy naprzeciw siebie stoją krocie tysięcy zbrojnych, a choćby je zawarto — jakąż siłę mieć mogą? Niel! niel! to senne mary, to urojenia, to wojna, rozciągnięta na wieki całe, to morze łez i krwi na przyszłość!.. Niech się uchwycą tamtej drogi, wielkiej, szlachetnej, potężnej — a on

<sup>1)</sup> Kisiela Adama.



niczego więcej nie będzie chciał, ani pożałował. Osiądzie napowrót w swych Łubniach i będzie czekał cicho, póki go prze-  
rażliwe trąby Gradywa<sup>1)</sup> na nowo do czynu nie powołają.

Niech się uchwycą!.. Ale kto? senat? sejmy burzliwe? Kanclerz, prymas czy regimentarze? Kto prócz niego tę wielką myśl rozumie i kto wykonać ją może? Niech się znajdzie taki—to zgoda! Ale gdzie jest taki? Kto ma siłę?—On jeden—nikt więcej!—Do niego idzie szlachta, do niego ściągają wojska, w jego rękę miecz Rzeczypospolitej. Przecie Rzeczpospolitą, nawet gdy pan jest na tronie, a cóż dopiero gdy pana niema, rządzi wola tego narodu. Ona to—suprema lex. A wypowiada się nietylko na sejmach, nietylko przez posłów, senat i kanclerzy, nietylko przez pisane prawa i manifesty<sup>2)</sup>, ale jeszcze silniej, jeszcze dobitniej, jeszcze wyraźniej czynem. Kto tu rządzi? Stan rycerski — a oto ten stan rycerski ściąga się do Zbaraża i mówi mu: „Tyś jest wodzem!“ Cała Rzeczypospolita bez wotów<sup>3)</sup> władzę mu oddaje siłą faktów i powtarza: „Tyś jest wodzem.“ I on miałby się cofać? Jakieżże jeszcze nominacji potrzebuje? Od kogo ma jej czekać? Czy od tych, którzy Rzeczpospolitą zgubić, a jego upokorzyć usiłują?

Za co, za co? Czy zato, że, gdy wszystkich ogarnęła panika, że, gdy hetmani w jasyr<sup>4)</sup> poszli, wojska zginęły, panowie kryli się po zamkach, a kozak postawił nogę na piersi Rzeczypospolitej, on jeden tylko zepchnął tę stopę i podniósł z prochu zemdlałą głowę tej matki — poświęcił dla niej wszystko, życie, fortunę, uratował od hańby, od śmierci — on zwycięzca!

Kto tu zasłużeńszy, niech tedy bierze tę władzę! Komu się słuszniej należy, niech w tego rękę spocznie. On chętnie zrzeknie się tego ciężaru, chętnie Bogu i Rzeczypospolitej powie: „Puśćcie sługę w pokój“ — bo oto znużon już bardzo i sił zbawion, a przytem i tego pewien, że pamięć jego ni grób nie zginie.

Ale gdy nie masz nikogo takiego — po dwakroć i trzykroć byłby dziecięciem, nie mężem, gdyby tej władzy, tej słonecznej drogi, tej świetnej, ogromnej przyszłości, w któ-

<sup>1)</sup> Marsa, bożka wojny (łac. gradivus). <sup>2)</sup> odezwy (łac. manifestum — publiczne, jawne) <sup>3)</sup> głosowania. <sup>4)</sup> niewolę szczeg. tatarską, turecką (tur. jesir — jeniec).

rej jest ratunek Rzeczypospolitej, jej sława, potęga, szczęście, miał się wyrzekać.

I dlaczego?

Książę znowu głowę dumnie podniósł, i płonący wzrok jego padł na Chrystusa, ale Chrystus głowę na piersi zwi-  
sił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto...

Dlaczego? Bohater skronie rozpalone rękoma przycisnął... Może i jest odpowiedź. Co znaczą te głosy, które wśród złotych i tęczowych widzeń sławy, wśród szumu przyszyłych zwycięstw, wśród przeczuć wielkości i potęgi, tak nieubłagane wołają mu w duszy: „Ach, stój, nieszczęsny!“ Co znaczy ów niepokój, który nieustraszoną pierś jego dreszczem jakiejś trwogi przejmuję? Co znaczy, że, gdy on najjaśniej i najdowodniej okazuje sobie, że władzę wziąć powinien, coś mu tak w przepaściach sumienia szepcze: „Sam się ludzisz, duma cię uwodzi, szatan pychy królestwa ci obiecuje!“

I znów straszna walka zawrzała w duszy księcia, znów porwał go wicher trwogi, niepewności i zwątpień.

Co czyni szlachta, która do niego zamiast do regimentarów ciągnie? Prawo depce. Co czyni wojsko? Dyscyplinę łamie. I on, obywatel, żołnierz, ma stawać na czele bezprawia? ma je swoją powagą okrywać, ma pierwszy dawać przykład niekarność, samowoli, nieposzanowania praw, i to wszystko dlatego tylko, by władzę o dwa miesiące pierwej zagarnąć, boć jeśli królewicz Karol na tron obrany będzie, to i tak władza go nie minie? On to ma dawać tak straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Koniecpolski, Potocki, Firlej, Zamojski lub Lubomirski! A gdy każdy bez uwagi na prawo i karność gwozi własnej ambicji działać rozpocznie, gdy dzieci pójdą wzorem ojców i dziadów, jakaż to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny? Robactwo samowoli, nierząd, prywaty toczą już i tak pień tej Rzeczypospolitej; pod siekierą wojny domowej próchno się sypie, uschłe gałęzie z drzewa opadają — co się stanie, gdy ci, którzy chronić je powinni i strzec, jak żrenicy oka — sami ogień podkładać będą? Co się stanie? Jezul! Jezul!

Chmielnicki też dobrem publicznem się osłania i nie czyni nic innego, jeno przeciw prawu i zwierchności powstaje.



Kniazia dreszcz przeszedł od stóp do głowy. Ręce zalał: „Zali ja mam być drugim Chmielnickim, o Chryste“.

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał, taki bolesny, jakby go dopiero rozpięto.

Kniaź szarpał się dalej. Jeśli on władzę weźmie, a kanclerz, senat i regimentarze zdrajcą i buntownikiem go ogłoszą — to co będzie? Druga wojna domowa? A przytem czy to Chmielnicki jest największym i najgroźniejszym wrogiem tej Rzeczypospolitej? Wszak nieraz były w nią jeszcze większe potęgi, wszak, gdy dwieście tysięcy żelaznych Niemców szło pod Grunwaldem na pułki Jagiełłowe, gdy pod Chocimem pół Azji stanęło do boju, zguba jeszcze bliższą się zdawała — a cóż się stało z temi wrogami potęgami? Niel Rzeczpospolita wojen się nie lęka, i nie wojny ją zgubią! Ale czemuż to wobec takich zwycięstw, takiej utajonej siły, takiej sławy, ona, która pogromiła Krzyżaków i Turków... taka jest słaba i niedołężna, że przed jednym kozakiem przykłęka? Że sąsiedzi rwą jej granice, że wyśmiewają ją narody, że głosu jej nikt nie słucha, o gniew jej nie dba, a wszyscy zgubę przewidują?

Ach! to właśnie duma i ambicja magnatów, to czyny na własną rękę, to samowola tego przyczyną. Wróg najgorszy to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki, zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność — niekarność przedewszystkiem. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Rychło czekać, jak pierwsza burza je zwali — ale parrycyda<sup>1)</sup> ten, kto do takiej roboty ręce przykłada, przeklęty on i dzieci jego do dziesiątego pokolenia!!!

Idźże teraz, zwycięzco z pod Niemirowa, Pohrebyszcza, Machnówki i Konstantynowa! Idź, kniaziu — wojewodo, idź, odejmij władzę regimentarzom, zdepcz prawo i zwierzchność i dawaj przykład potomnym, jak w matce targać wnętrzności.

Strach, rozpacz i obłąkanie wybiło się na twarzy kniazia. Krzyknął okropnie i, chwyciwszy się rękoma za czuprynę, padł w proch przed Chrystusem.

<sup>1)</sup> ojcobójca, matkobójca.

I kajał się kniaź, i bił dostojną głową w kamienną posadzkę, a z piersi jego wydobywał się głuchy głos:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!...

Różana jutrznia wstała już na niebie, a potem przyszło złote słońce i oświeciło salę. W gzymsach począł się świegot wróbli i jaskółek. Kniaź wstał i poszedł zbudzić pachołka Żeleńskiego, śpiącego z drugiej strony drzwi.

— Biegaj — rzekł mu — do ordynansowych<sup>1)</sup> i każ im zwołać tu do mnie pułkowników, którzy stoją w zamku i w mieście, tak kwarcianych, jak i z pospolitego ruszenia.

We dwie godziny później sala poczęła napełniać się wąsatymi i brodatymi postaciami wojowników. Z książęcych ludzi przyszedł stary Zaćwilichowski, Polanowski, Skrzetuski z panem Zagłobą, Wurcel, oberszter<sup>2)</sup> Machnicki, Wołodjowski, Wierszuł, Poniatowski, wszyscy niemal oficerowie aż do chorążych prócz Kuszla, który był ku Podolu na podjazd wysłany. Z kwatery byli obecni Osiński i Korycki. Wielu znaczniejszej szlachty z pospolitego ruszenia nie można było z pierzyn powyciągać, ale przecie i tych zebrała się garść niemała — a między nimi personaci<sup>3)</sup> z różnych ziem od kasztelanów aż do podkomorznych... Brzmiały szmery rozmowy i szumiało jak w ulu, a wszystkie oczy zwrócone były na drzwi, przez które miał się książę ukazać.

Wtem umilkło wszystko. Książę wszedł. Twarz miał spokojną, pogodną i tylko zaczerwienione bezsennością oczy i ściągnięte rysy świadczyły o przebytej walce. Ale przez ową pogodę, a nawet słodycz przebijającą się powaga i nieugięta wola.

— Mości panowie! — rzekł. — Dzisiejszej nocy rozmawiałem z Bogiem i własnem sumieniem, co mnie uczynić należy: oznajmuję przeto waszmościom, a wy oznajmijcie całemu rycerstwu, iż dla dobra ojczyzny i zgody potrzebnej w czasach klęski, poddaję się pod komendę regimentarzów.

Głuche milczenie zapanowało w zgromadzeniu.

<sup>1)</sup> będących na ordynansie, dyżurnych (fr. ordonnance). <sup>2)</sup> stopień oficerski w dawnych pułkach piechoty polskiej i dragonów cudzoziemskiego zaciągu, odpowiadający randze pułkownika (niem. Oberster). <sup>3)</sup> poważne osoby, znaczne figury, dygnitarze (łac. persona).



b. Sumienie.

W głowie pana Andrzeja tysiączne myśli przelatywały z szybkością strzał tatarskich.

Więc Oleńka była nie w puszczy, ale w partji billewiczowskiej? I on właśnie ocalił ją, a z nią razem te Wołmontowicze, które niegdyś za kompanjonów<sup>1)</sup> z dymem puścił. Widocznie ręka boska kierowała jego krokami tak, aby za jednym zamachem wynagrodził za wszystkie krzywdy i Oleńce i Laudzie<sup>2)</sup>. Oto zmazane jego winy. Możeli ona go nie błogosławić? I co powie umiłowana dziewczyna, która go za zdrajcę uważa, gdy się dowie, że ów Babinicz, który Radziwiłła obalił, który po pas nurzał się we krwi niemieckiej i szwedzkiej, który na Żmudzi nieprzyjaciela wygniół, wyniszczył, do Prus i Inflant przepędził, to on, to Kmicic, ale już nie zabijaka, nie banit, nie zdrajca, jeno obrońca wiary, króla, ojczyzny!

A przecie zaraz po przestąpieniu granicy żmudzkiej byłby pan Andrzej na cztery strony świata rozgłosił, kim jest ów przestępny Babinicz, i jeśli tego nie uczynił, to jeno dlatego, że się obawiał, iż na sam dźwięk prawdziwego jego nazwiska wszyscy się od niego odwrócą, wszyscy go będą podejrzewać, odmówią pomocy i ufności. Dopieroż ledwie dwa lata upłynęły, jak, obłąkany przez Radziwiłła, wycinał te chorągwie, które razem z Radziwiłłem przeciw królowi i ojczyźnie powstać nie chciały. Przed dwoma ledwie laty był prawą ręką wielkiego zdrajcy.

Lecz teraz zmieniło się wszystko! Teraz, po tylu zwycięstwach, w takiej chwale ma prawo przyjść do dziewczyny i powiedzieć jej: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!“ Ma prawo krzyknąć całej Żmudzi: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!“

A zatem Wołmontowicze przecie niedaleko! Tydzień ściagał Babinicz Hamiltona, lecz Kmicic prędzej niż w tydzień będzie u nóg Oleńki.

Tu powstał pan Andrzej blady ze wzruszenia, z płonącymi oczyma, z promienną twarzą i krzyknął na pacholka:

— Konia mi prędzej! żywo! żywo!

<sup>1)</sup> towarzyszków. <sup>2)</sup> drobnej szlachcie, zamieszkałej w okolicach Laudy, dopływu Niewiaży.

Pacholik podprowadził karego dzianeta i sam zeskoczył strzemień podawać, lecz, stanawszy na ziemi, rzekł:

— Wasza miłość! obcy ludzie jacyś ku nam od Troupiów z panem Soroką jadą i suną kłusem.

— Mniejsza z nim! — odrzekł pan Andrzej.

Tymczasem obaj jeźdźcy zbliżyli się na kilkanaście kroków, następnie jeden z nich w towarzystwie Soroki wysunął się wskok naprzód, przybiegł i, uchyliwszy rysiego kołpaka, odkrył rudą jak ogień czuprynę.

— Widzę, że przed panem Babiniczem stoję! — rzekł. — Rad jestem, że waści odszukał.

— Z kim mam honor? — rzekł niecierpliwie pan Kmicic.

— Jestem Wierszuł, niegdyś rotmistrz tatarskiej chorągwi księcia Jaremy Wiśniowieckiego; przybywam w rodzinne strony, by tu na nową wojnę zaciągi czynić, a oprócz tego przywiozłem list dla waszmości od pana hetmana wielkiego Sapiiehy.

— Na nową wojnę? — spytał Kmicic, marszcząc brwi. — Co waść prawisz?

— Ten list lepiej ode mnie waćpana objaśni — rzekł Wierszuł, podając pismo hetmańskie.

Kmicic rozerwał gorączkowo pieczęć. List Sapiiehy brzmiał jak następuje:

„Mnie wielce uprzejmy panie Babinicz! Nowy potop na ojczyznę! Liga szwedzka z Rakoczym stanęła, i podział Rzeczypospolitej ułożony. Osiemdziesiąt tysięcy Węgrzynów, Siedmiogrodzian, Wołoszy i Kozaków przekroczy łądą godziną południową granicę. A gdy w takiej ostatniej toni trzeba nam wszystkie siły wyteżyć, aby choć imię sławne po naszym rodzie na przyszłe wieki zostało, posyłam waszmości ten ordynans<sup>1)</sup>, wedle którego masz waszmość, nie tracąc chwili czasu, wprost na południe konie obrócić i wielkimi drogami ku nam dążyć. Zastaniesz nas w Brześciu, skąd nie mieszkając, dalej cię wyślę. Tymczasem periculum in mora.<sup>2)</sup> Książę Bogusław eliberował<sup>3)</sup> się z niewoli, ale Gosiewski ma mieć na Prusy i Żmudź oko. Raz jeszcze zalecając waszmości pośpiech, dufam, że miłość do ginącej ojczyzny najlepszą ci będzie ostrogą“.

<sup>1)</sup> rozkaz, polecenie. <sup>2)</sup> Dosł: niebezpieczeństwo w zwłoce, zwłoka niebezpieczna: <sup>3)</sup> uwolnił się, oswobodził (łac. eliberare).



Kmicic, skończywszy czytać, wypuścił list na ziemię i począł przeciągać rękami po zwilgotniałej twarzy, nakoniec spojrzał błędnie na Wierszula i spytał cichym, zduszonym głosem:

— Dlaczegoż to pan Gosiewski ma na Żmudzi zostać, a ja ruszać na południe?

Wierszula wzruszył ramionami.

— Spytaj się waść pana hetmana w Brześciu o racje! Jać nic nie powiem.

Nagle straszny gniew schwycił pana Andrzeja za gardło, oczy mu zabłyśły, twarz zsiniała, i krzyknął przeraźliwym głosem:

— A ja stąd nie pójdę! Rozumiesz waść!

— Tak? — odrzekł Wierszula. — Moja rzecz była ordynans oddać, a reszta waści sprawa! Czołem! czołem! Chciałem się parę godzin do kompanji zaprosić, ale po tem, com usłyszał, wolę poszukać innej.

To rzekłszy, odwrócił konia i odjechał.

Pan Andrzej siadł znów pod figurą i począł bezmyślnie rozglądać się po niebie, jakby pogodę chciał wymiarkować. Pacholik usunął się z końmi opodał, i cisza uczyniła się naokół.

Ranek był pogodny, blady, pół jesienny i pół już zimowy. Wiatr nie wiał, ale z brzoź, rosnących pod męką Pańską, spływały bez szelestu resztki pożółkłych i skreconych od chłodu liści. Nieprzeliczone stada wron i kawek leciały nad lasami; niektóre zapadały z wielkiem krakaniem tuż obok figury, na polu bowiem i na drodze leżało jeszcze pełno niepożrebianych trupów szwedzkich. Pan Andrzej patrzył na owo czarne ptactwo, mrugając oczyma, rzekłbyś: chce je przeliczyć. Potem przymknął powieki i długo siedział bez ruchu. Nakoniec wzdrygnął się, zmarszczył brwi, przytomność wróciła mu na twarz, i tak począł do się mówić:

— Nie może inaczej być! Pójdę za dwa tygodnie, ale nie teraz. Niech się dzieje, co chce. Nie jam Rakoczego sprowadził. Nie mogę! Co nadto, to nadto.... Małom to się natłukł, nakołatał, nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej i cudzej narozlewał? Takąż zato nagroda?.. Żebym to choć tamtego listu<sup>1)</sup> nie odebrał, poszedłbym; ale oba

<sup>1)</sup> listu od Anusi Borzobohatej z wieścią, że Oleńka znajduje się w partji billewiczowskiej.

przyszły w jednej godzinie, jakoby na większy ból, na większy żal dla mnie... Niechże świat się zapada, nie pójdę! Nie zginie przez dwa tygodnie ojczyzna, a zresztą widocznie gniew Boży jest nad nią, i nie w mocy ludzkiej to wskórać. Boże, Boże! Hiperboreje<sup>1)</sup>, Szwedzi, Prusacy, Węgrzyni, Siedmiogrodzianie, Wołosza, Kozacy, wszystko naraz! Kto się temu oprze? O Panie, co ci zawiniła ta nieszczęsna ojczyzna, ten król pobożny, żeś odwrócił od nich oblicze i ni miłosierdzia, ni ratunku nie dajesz i plagi coraz nowe zsyłasz? Małoz jeszcze krwi, mało łez? Toż tu ludzie już się weselić zapomnieli, toć tu wichry nie wieją, jeno jęczą... Toć tu dżdże nie padają, jeno płaczą, a Ty smagasz i smagasz! Miłosierdzia, Panie: ratunku, Ojcze!... Grzeszyliśmy... ale przecie już przysłała poprawa!... Oto odstąpiliśmy naszych fortun, siedliśmy na koń i bijem a bijem! Poniechaliśmy swawoli, rzekliśmy się prywaty... Więc czemu nie odpuszczysz? Czemu nie pocieszysz?

Tu nagle sumienie porwało go za włosy i zatrzęsło nim, aż krzyknął, bo zarazem zdało mu się, że słyszy jakiś głos niezmierny, z całego sklepienia niebios płynący, który mówi:

— Zaniechaliście prywat? A tyż, nieszczęśniku, co jeźtej chwili czynisz? Zasługi swoje podnosisz, a gdy przywła pierwsza chwila próby, jak zhukany koń dęba stajesz zółtrzyć: „Nie pójdę!“ Ginie matka, nowe miecze pierś uję przeszywają, a ty się od niej odwracasz, nie chcesz jej ićk sprzeć ramieniem, za własnem szczęściem gonisz i krzyjysz: „Nie pójdę!“ Ona ręce krwawe wyciąga, już, już pada, sw mdleje, już kona i ostatnim głosem woła: „Dzieci, ratujcie!“ A ty jej odpowiadasz: „Nie pójdę!“ Biada wam! biada takiemu narodowi, biada tej Rzeczypospolitej!

Tu panu Kmicicowi strach podniósł włosy na głowie, i całe jego ciało dygotać poczęło, jakby je paroksyzm febry chwycił... I naraz rymnął twarzą do ziemi i nie wołać, ale krzyczeć jął w przerażeniu:

— Jezu, nie karz! Jezu, zmiłuj się! Bądź wola twoja! Już pójdę, pójdę.

Potem czas jakiś leżał w milczeniu i szlochał, a gdy

<sup>1)</sup> mieszkańcy krajów północnych (gr. hyperboreos — najbardziej północny).



podniósł się wreszcie, twarz miał rezygnacji pełną i spokojniejszą, i tak dalej się modlił:

— Ty się, Panie, nie dziwuj, że mi żal, bom był w wilję szczęśliwości mojej. Ale niech już tak będzie, jak Ty rozporządził! Teraz już rozumiem, żeś mnie chciał doświadczyć i dlategoś mnie jakoby na rozstajnych drogach postawił. Bądź jeszcze raz wola Twoja. Ani się obejrzę za siebie! Tobie, Panie, ofiaruję ten mój żal okrutny, te moje tęskności, to moje ciężkie zmartwienie. Niechże mi wszystko będzie policzone zato, żeś księcia Bogusława oszczędził, nad czym płakała ojczyzna. Widzisz teraz, Panie, że to była ostatnia moja prywata... Już więcej nie będę, Ojczy miłosierny! Ano jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste, idę!...

I poszedł.

A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony.

#### a. Jastrząb gołębiarz.

§ 22. Jastrząb gołębiarz ma silne nogi, twarde pierze, długość 1 stopa 11 cali, szerokość 3 cale 6 do 7 linii, ogon 8 do 9 cali, dziób 1 cal 9 linii długi, a 10 wysoki, przy nasadzie niebieskawy, z końcem czarnym, średni palec 2 cale, szpon 9 linii, ksiuk <sup>1)</sup> 1 cal 6 linii—woskówka żółta <sup>2)</sup>. Głowa nieco spłaszczona, skrzydła krótkie, nie nakrywające ogona, ogon długi, zaokrąglony, nad oczami białawy pasek... Szpony mocno zaokrąglone i nader śpiczaste, nogi ponad kolanem ma opierzone, dalej zaś ku szponom gołe... Dziób silny, zaokrąglony, bez zęba sokołego<sup>3)</sup>, z ostrymi szczękami, mocno zakrzywiony, z końcem śpiczastym, mierzony w kabłąk 1½ cala.

W gniazdowej barwie okryty perłowo-popielatym mchem, wcale nie miękkim, jak u innych drapieżnych, dziób czarny przy nasadzie cielistego koloru, nogi brudno-żółtawo-zielonawego koloru.

<sup>1)</sup> palec tylny. <sup>2)</sup> błona kolorowa, okrywająca szczękę przy nasadzie, niektórym ptakom tylko właściwa. <sup>3)</sup> ostrego zęba wyciętego w zewnętrznym brzegu wierzchniej połowy dzioba; w dolnej połowie dzioba odpowiada mu wyraźna szczerba.

W pierwszym pierzu nazywali go łowcy rabcem (rabiego <sup>1)</sup> pierza), i nosi tę barwę rok przeszło, pierząc się stopniowo, lecz nader powoli. Płaszcz ma brunatno-rdzawy z jasnymi obwódkami piór, na ogonie pięć brunatnych i tyłu płowych pręg; końcówki sterówki <sup>2)</sup> białawe, gardziel biaława, brunatno upstrzona, spód cały rdzawo żółty z pendelkowatymi brunatnymi plamkami, nad oczami pasek jaśniejszego koloru, nogi i włoskówka żółte.

Ptak w doskonałym pierzu płaszcz ma niebieskawo-popielaty z cieniami czarno-brunatnymi tego samego koloru, puder na całej powierzchni, który po śmierci znika. Spód ptaka biały, przegowany czarniawym kolorem w różne i dziwaczne plamki w poprzek, wokoło szyi pstrokaczna biała z czarnem, tworząca obróż, nad oczami biały pasek. Dziób czarny, włoskówka żółta, nogi jasno żółte, tęcza <sup>3)</sup> pomarańczowa, w ognisty kolor wpadająca.

Samice w każdym pierzu są większych rozmiarów, szersze, silniejsze, wspomnianego powyżej pudru nie posiadają...

Badając życie tego ciekawego ptaka, można mu godło wyrzucić, że podstawą jego rodu jest: „Siła przed prawem“. Istny to rabuś, rozbójnik, złodziej, szkodnik, prześladowca i aneksista <sup>4)</sup>; on panem wszystkiego, swe potrzeby zaspokoić musi cudzym kosztem, rozum jego niepospolity, a nieporównana ostrożność ocala mu życie i bezkarnie broić pozwala. Przypomina średniowiecznych trudniących się rabunkiem rycerzy (Raubritter), zamieszkujących małe zamkowe forteczki (Burgi), których szczątki napotykałyśmy po wszystkich krajach Europy. Oni to żyli z rabunku, w bliższych i dalszych okolicach, stając się rzeczywistą plagą; niecierpieli drugiego obok siebie i nie spoczęli do tej chwili, w której współzawodnika nie wypędzili lub na tamten świat nie wyprowadzili. Nasz jastrząb zupełny rycerz średniowieczny: nie zniesie równego sobie w państwie zdobytem; nawet z narażeniem życia, częstokroć przez kilka i kilkanaście dni walkę toczy z drugim i albo zginie, albo napastnika wygoni lub

<sup>1)</sup> pstrego, szaro-pstrego, jarzębatego. <sup>2)</sup> piór ogonowych, na brzegu najniższej nadogonowej części grzbietu osadzonych. <sup>3)</sup> krążek przedni, naczyniowaty, kolorowy, otaczający źrenicę. <sup>4)</sup> aneksjonista — ten, co przywłaszcza, zagrabia.



ubije: zdawałoby się, że ustanowił prawo panowania siłą despotyczną, nie dzieląc się władzą z nikim, ani też puszczając kogo bądź do swej wspólki.

On z rodziną panuje nad pewną przestrzenią kraju, broni jej przed napadami, zwiedza rejon swój systematycznie, oblatuje codziennie granice, jest w pełni panującym i biada temu, któryby się pokusił wstąpić do jego państwa. Żonę ma zawsze w bliskości, dzieci do swego rzemiosła starannie, zręcznie i spiesźnie wychowuje, znosi je koło siebie do pory jesiennej, gdy się zaś przekonał, że dzieci wykształcone na znakomych rozbójników i zręcznych złodziei, wygania ze swego państwa i nakazuje zdobycie siłą i zręcznością panowania w dalszych stronach, ani prośby, ani pieszczoty, ni lamenty i skargi na żelaznego ptaka nie wpływają, jego wola musi być wypełniona, i działwa w rozpaczę leci zdobywać nieznane kraje. Lecz co boleśniejsem być musi, że do ojczyzny już jej wrócić nie wolno, bo to separacja<sup>1)</sup> na zawsze. Ten dramat odgrywa się przy końcu października lub w listopadzie, i już w zimie spostrzegamy jedynie pojedyncze ptaki, gdyż po wypełnieniu obowiązków rodzicielskich mąż z żoną się rozstają, żyjąc w odosobnieniu i samotności do godowej pory wiosennej...

Rozbójnik ten występuje... w różnych charakterach: najczęściej z podniesioną przyłbicą, w zbroi, z natarczywym impetem porywa ofiarę; to znowu jak złodziej chyłkiem się podkrađa, a czatuje, zasiada w ukryciu, zręcznością i cierpliwością celu swego dopina, a nakoniec... maskowany łatwo wiernych łowi. Napuszy pierze, siądzie na nogach, gdyby kwoka, szyję skurczy, przytuli się do gałęzi, poddasza, komina, wytrzymuje szpiegostwo, natarczywość ciekawych ptaszat bez ruchu i niecierpliwości, udaje bezwładnego lub naśladuje sowę, śpiącą w dzień z przymrużonemi oczyma. Dopiero, gdy wybrana ofiara się zbliży lub z nim oswoi, gdy już nie zwraca żadnej uwagi ptactwa na siebie, wtedy z szybkością błyskawicy uderza, porywa ofiarę i znika z nią wobec steroryzowanych<sup>2)</sup> i oszukanych świadków...

Jastrząb łowi swe ofiary w locie, na ziemi, w lesie i krzakach, wśród domów i strzech, na polu i łąkach; trudno

<sup>1)</sup> rozdzielenie się, rozłączenie (łac. separatio). <sup>2)</sup> przerażonych okrucieństwem. |

miejsca wynaleźć bezpiecznego od tego napastnika. Wybiera gołębie z gołębnika, kury z kojca, porywa gąsienią wśród wsi i wobec dzieci, towarzyszy myśliwym na łowach, korzystając ze spłoszonych ptaków, lecących w jego stronę...

Czasem pod obłokami stoi i trzepoce tak wysoko, że się wydaje wielkości krogulca, gdy upatrzy chwilę stosowną, z pod nieba gdyby piorun uderza w wybranego gołębia. To znowu leci ponad ziemią pływającym lotem, a wznosi się szybko, gdy spłoszone gołębie ucieczką się ratują, i w odebranego od stada wbija swe szpony. Najczęściej, jak włoski morderca, chyłkiem się wkłada w gęstą liściastą koronę drzewa i przytulony do gałęzi bada igrające gołębie i, jak tylko ruszą w powietrze, on, nakształt korsarza z za skały, wylatuje ze swej kryjówki i uderza na gołębia. Czasem według miejscowości i stopnia bezpieczeństwa, przez rabusia określonego, siada na gałęzi nader blisko gołębi, to znowu, nie dowierzając, na oddalonym drzewie usiadzie w obserwacji, lecz impet i szybkość jego lotu jest tak wielka, że w mgnieniu oka przeleci przestrzeń kilkuset kroków, a co rzeczywiście jest podziwieniem godnem, to ta niepojęta siła jego muskularna, że, chwyciwszy ofiarę lub napotkawszy przeszkodę w locie, z szybkością błyskawicy, wydając szelest wichru, staje wryty w powietrzu, nawraca i ucieka równie szybko...

Roku, jeżeli się nie mylę, 1861 w lasach dóbr Poturzy cy przekonałem się, że jastrzębie gołębiarze łowią zające nawet w krzakach i swą zacieklą odwagę częstokroć życiem przypłacają. Stojąc na stanowisku wobec dosyć rzadkiego lasu, podszytego gdzie niegdzie krzakami, usłyszałem dziwny szelest, zbliżający się ku mnie. Spojrzałem w tę stronę, i zdumienie moje nie miało granic. Widziałem niby to kontury<sup>1)</sup> zająca, a na nim coś ruszającego się, przybierającego coraz dziwniejsze kształty, to wgórze, to na boki, spostrzegłem rozpostarte i znowu złożone lotki. Istny potwór w ruchu tak szybkim, że pomimo niewielkiej już odległości nie mogłem rozpoznać istot tych, niepojętym węzłem związanych razem. W niepospolitem wzruszeniu czekałem na strzał. Lecz fatalność myśliwska odgania ode mnie potwora i pędzi na mego sąsiada. Wtedy dopiero rozpoznałem dokładnie to niepospolite zjawisko. Jastrząb, łowiąc zająca, pewnie w miejscu

<sup>1)</sup> zarysy.



z impetem na niego uderzył i tak głęboko wbił szpony w nie-  
szczęśliwego szaraka, że pomimo usiłowań krzywych pazu-  
rów wydobyć nie zdołał, a z drugiej strony ciężar ptaka nie-  
dosyć był wielki, aby ruch zającowi uniemożliwić. Straszna  
to musiała być chwila dla oprawcy i dla ofiary, gdy nagan-  
ka<sup>1)</sup> hałasować zaczęła kałatawkami<sup>2)</sup>. Pierwszy pewnie  
chętnieby zrzekł się smacznego kaska, byle się z tego towa-  
rzystwa wydobyć i usunąć pod obłoki do swego asylum<sup>3)</sup>,  
drugi od pierwszego dnia, gdy został nazwą obdarzony, do  
naszych czasów zawsze był nazywany timidus<sup>4)</sup>. Cóż się bje-  
dakowi dźiać musiało w tem srogiem nawiedzeniu?! Na nim  
istny kat z torturami, ztyłu hałas naganiaczy: zaiste poło-  
żenie dramatyczne, nieczęsto w dziejach opisane. Sadziło  
więc zającysko na mego sąsiada, niosąc na grzbiecie gołę-  
biarza, pewnie napełnionego równym stopniem strachu. Są-  
siad mój, rozpoznawszy to curiosum<sup>5)</sup>, rzekł sobie: „Trzeba  
obydwa zabić, aby przedstawić w pełni ten epizod towarzy-  
stwu“. Wymierzył, strzelił i chybił, niestety! Zając prze-  
mknął przez drogę w gęste sosnowe zarośla, i myślę, że, ocie-  
rając jastrzębia o krzaki, nareszcie go się pozbył, i z tragicz-  
nego zajścia pozostały tylko krwawe rany szponami zadane...

Pastor Brehm, mieszkający w kraju, obfitującym w za-  
jące i kuropatwy, twierdzi, że gołębiarz niemal wyłącznie  
zwierzyną się żywi. Zające łowi w miejscu lub goni, szpona-  
mi i dziobem bije, męczy i zawsze pokona. Opisuje walkę,  
dowodzącą odwagi i natarczywości drapieżnej tego ptaka.  
Gonił starego, dużego zająca, męczył go przez długi czas,  
ani zatrzymać, ani pokonać go nie mógł, nareszcie wbił  
w niego szpony, dziobem się uchwycił i jechał na nim. Szar-  
rak uciekał z nim, do góry wyskakiwał, nareszcie się prze-  
wrócił i tarzać począł; gołębiarz go nie puścił, pokonał  
i zjadł...

Jest strona charakterystyki tego rycerza rozbójnika  
w ptasim rodzie dla mnie zagadkowa. Śmiałość i odwagę  
determinowaną<sup>6)</sup> udowadnia całem swem życiem, a przecie  
często daje się odstraszyć ptakom, których się nie boi, i które

<sup>1)</sup> ludzie, najęci do napędzania zwierzyny pod strzały myśliwych,  
stojących na stanowiskach. <sup>2)</sup> kałatawka, kołatka — drewniany dzwo-  
nek. <sup>3)</sup> łac. schronienia, przytułku. <sup>4)</sup> łac. trwożliwy, lękliwy. <sup>5)</sup> łac.  
ciekawe, niezwykle zjawisko. <sup>6)</sup> zdecydowaną na wszystko.

mu nigdy nic złego nie czynią, jak wronom i srokom. Tylo-  
krotnie widziałem gołębiarzy, lecących z łupem swym na  
łakę, na rolę lub w krzaki, prześladowanych krakaniem wron  
i srok, pędzących za nimi w zamiarze podzielenia się z ra-  
busiem smacznym kaskiem. Gdy jastrząb usiadł, one nad nim  
krzykliwy koncert odbywały, biły na niego, a nareszcie usia-  
dły w wieniec w oddaleniu, kracząc ustawicznie, podskaki-  
wały ku niemu. Otóż najczęściej tak go znudziły i zniecier-  
pliwiły, że porzucił napół oskubaną ofiarę i zostawił ją na-  
trętnym towarzyszkom. Powodu w bojaźni lub ostrożności  
szukać nie możemy, gdyż często natarczywość ptaków im-  
petyczną<sup>1)</sup> szarżą<sup>2)</sup> odgania i do ucieczki zmusza. Zdaje  
się, że wśród obiadu nie lubi, aby mu biesiadę zatrutowano,  
a pragnie spokojnie pożywać i to bez świadków, dla tego  
zwyczaju gastronom<sup>3)</sup> woli ofiarę uczynić z potrawy, jak  
ją zjadać wśród gwaru. Nawet przy niezaspokojonym głó-  
dzie porzuci zwierzynę i odleci.

#### b. Życie i śmierć jastrzębia.

Widywano go o każdej porze dnia, jak czatował mordu  
chciwy, a czatował z nieznównaną cierpliwością; widywano  
tę wspaniałą i straszną postać o krótkiej szyi, płaskiej czasz-  
ce, o oczach jakby ze szkła żółtego. Któż nie zna jastrzębia,  
tego rycerza, który u ust, w złoto oprawnych, nosi sztylet  
i sztylety ma u nóg, w złotą łuskę odzianych? Nieraz leni-  
wym lotem prul czyste przestwory błękitu, a szalonym się  
stawał na widok ofiary. Widziano go samotnego w szczerem  
polu, kiedy ponury z rozkoszą o mordach marzył i kiedy,  
uniósłszy w górę skrzydła, do lotu opieszale się zabierał.  
Jak król śmiercionośny, przebywał on państwo bezbronných  
ptaków i mniejszych ssących. Najczęściej milczący — tem  
strasniejszy; czasem tylko wydaje dziki pisk czy syk, niby  
żmija. I nigdy nie było słyhać ani hasła wojny, ani okrzy-  
ku triumfu. Krępy, o potężnych barach, z piersią szeroką,  
opancerzoną, żywił on uczucia krwawego bohatera wojny.

Jeżeli zasiadł na dzikiej gruszy w polu, lubił się ważyć,  
gdy wiatr gałęziami wzruszał; niekiedy za tron obierał sobie  
skibę szarej roli i wtedy zaledwie ruchem głowy pobyt swój

<sup>1)</sup> gwałtowną. <sup>2)</sup> natarciem. <sup>3)</sup> smakosza.



tutaj zdradzał. Zgarbiony nieco, spozierał dokoła tym wzrokiem, który doprowadza do nieprzytomności i odrętwienia, niejedno stworzenie. Oto dwakroć podskoczył niezdarnie, wzniosł w górę białe podszyte skrzydła, wzleciał i czuć w nim pana powietrznych krain. Płynie wyżej a wyżej, wzlata ponad niwami, na których z trwogi zamilkły pieśni skowroncze. Wzniosł się wysoko i krąży, zatacza w powietrzu koła. Czy to polowanie, czy bezmyślna pańska zabawa? Zakreślił w błękitie krąg wielki, ogarnął nim całe zbożowe łąki i, kąpany promieniami słońca, stanął nad borem, stolicą swoją. Teraz zgóry zagląda w gąszcze; wpatruje się w zielone polanki; patrzy na kwieciste poręby, smugi; wzrokiem plądruje drzew szczyty. Coś zajęło jego uwagę, bo z głową wdół spuszczoną, z zaciśniętymi szponami w powietrzu się zatrzymał; niby na skrzydłach stanął i skrzydłami wachluje; przez chwilę to czyni i znów popłynął dalej. Lecz oto nagle na łeb się rzucił i w mgnieniu oka spadł między drzewa, jakgdyby strzałem ugodzony. On ujrzał łup godny siebie; ale zdobycz umknęła, a łowca, dziko spozierając po cienistym lesie, przelatuje swobodnie między drzewami, ani skrzydeł o konar nie zawadzi. Słyszy tylko wszędy dokoła szmery ucieczki, głosy śmiertelnej trwogi: rodzice ukrywają dzieci, kochankowie ostrzegają narzeczone. Zabłąkana jakaś wiewiórka spóźniła się w powszechnym popłochu zwierząt... W zielone murawy zabiegła, orzeszek znalazła i w gniazdo go niosła; orzeszek upadł jej po drodze, chciała go odzyskać, jedną chwilę dłużej zabawiła; to ją zgubiło. Zadarła w górę ogon, skacze w wielkich susach, snadź uczuwa przestrasz, bo dziwnie pomrukuje i zwinne ciało rzuca niby piłką. Już dopada pnia sosny, dwa skoki jeszcze tylko, a ujdzie przed wrogiem swego życia. Ale jastrząb dopadł zręcznej skoczki, uderzył na nią szponami, ugodził w czaszkę śmiertelnym ciosem, topiąc w niej dziób haczysty. Ogłuszona uderzeniami, popadła w jakiś obłąd, poczuła marność i nicność życia, nieuchronność swej zguby; zamglonem okiem spojrziała i zobaczyła straszne jastrzębiowe oczy, świecące dziwną siłą i nieubłaganą wściekłością... Dziób okropny, chciwie rozdziawiony, i te dzikie oczy dobiły biedną. Ucichło w piersi trwożliwie skaczące serce; mrok wiecznej ciszy, niezakłóconego spokoju zakrył przed nią pogodę ciepłego dnia jesieni. A on bezmyślnie wściekły, mechanicznie powtarzał

ciosy na ciele, drgającym resztkami życia. Znów wzniosł skrzydła i teraz unosił już w szponach krwawą ofiarę, przelatując nisko ponad ziemią, aby znaleźć miejsce dogodnie dla spożycia uczt. Usiadł pod krakiem leszczyny i ciepłe jeszcze ciało rwał kawałkami, połykał je szybko, a za każdym razem dławiał się z chciwości.

Alboż to jedna ofiara jastrzębiej żarłoczności?

Jesienne popołudniowe słońko łagodnie grzało; nitki pajęczyny wlokły się po powietrzu, i pajęczyną nakryły się miedze, ścierniska, krzaki tarniny. Z ugorów wystraszyli pasterze zająca, skąd też uciecha ogromna. „Aha!... Aha!...” krzyczą, a w dłonie klaszczą i pędzą. Wypadł strwożony szarak, słuchy położył na grzbiecie; rwie przez jedno, drugie pole, aż się za nim kurzy w podorywkach; on już tylko w oczach się miga i kędyś za wzgórzem znika. Wbiegł na wąską jak krajka miedzę, postawił słupka, rozgląda się, słucha, czy jeszcze nie ścigają... Zwolna kica od miedzy i daje i czarne końce nastawionych uszu; niekiedy mignie jeszcze białym kosmykiem i już, już ma przycupnąć w brózdzie, ażeby straszny dzień przebyć w ukryciu, doczekać zmierzchu. On nie wie, że go zdala dostrzegło bystre oko jastrzębia. Okrutny ptak siedział na samotnym stogu wśród cichych pól; nagle zerwał się, wzleciał ponad niwę, gdzie mu się zdawało, że coś spostrzeża i niby ciekawy ważył się na skrzydłach ponad ścierniskiem, badając uważnie położenie rzeczy. Zadarzał szarak w legowisku, poruszyć się nie śmie, bo jastrząb krąży mu nad grzbietem; może jeszcze nie spostrzeże, przeleci; nieraz tak bywało. Dotrzymuje więc zając placu, prawie że się wlepił w brózdę, przylgnął do niej; chciałby się schować pod ziemię. Lecz jastrząb naraz gwałtownie spada i dotkliwy cios zadaje. Cóż robić? Trzeba uciekać: pomknął przeto szarak; już późno na ucieczkę. Drugi potężny cios wściekłego dzioba razi go w grzbiet, aż się przegiął biedak... Czuje, że straszne szpony wpijają mu się między zębra; pędzi, ile siły starczą, może wróg straci równowagę... Gdzie tam! Nowy cios godzi między słuchy, aż czaszka trzeszczy... i znów nowy cios, i jakieś zaciekle szarpanie, okrutnie dotkliwe. Bek, płacz, krzyk bóleści, kwilenie, rozdzierające serce, rozległo się w polu. Mała dziecina ludzka w dolegliwościach tak się skarży, tak jęczy bezbronna... A gęste ciosy



spadają nieustannie, a szpony okrutne cisną, i silne skrzydła z przeraźliwym łoskotem biją po bokach ciała. Jeszcze parę kroków wlecze się szarak, dźwigając zwycięzcę na swym karku; już pełza prawie, słabym krokiem podchodzi do krzaka głogu; może się tu schronić zdoła, wciśnie się w ciernie! i ocali choćby parę chwil nadwyżężonego życia. Daremnie Jastrząb jednym szponem czepił się krzaka, drugim przycisnął ku sobie znękane i poranione zwierzę. Rozpoczęła się znów krwawa uczta.

Nadeszła zima, śnieżna opończa przystroiła ziemię w nową barwę. Niechaj niedołężni oprawcy czają się wśród drzew i krzewów: kto ma wzrok bystry, łot dzielny i dobrą siłę, ten w otwartem polu bierze zdobycz. Na tych smutnych, ubielonych niwach popod lasami tak jakoś żałośnie, tęskno!... Niby jastrzębiowe grody, wysokie zamki, stoją po łąkach stogi z sianem, w polach — grusze wyniosłe na miedzach. Po takich czatowniach, dniem wysiaduje jastrząb. Zna on wszystkie kamienie, które czernieją, odbijają od śniegu na polach w okolicy; oko go nigdy nie zawodzi. Tam oto wdali widnieje pod wzgórzem gromadka jakichś czarnych punkcików: ale on się myli; to kretowiska nieprzyprośzone śniegiem. Lecz dalej jeszcze, około miedzy, widać gromadkę innych czarnych wysepek; — to kuropatwy zziębłe, zgłodzone, nieszczęśliwe, właśnie co tylko zapadły tu, bo w polach, lodową skorupą pokrytych, nie mogą nigdzie odgrzebać szczypioru oziminy. Hajże na nie! To zdobycz dobra i łatwa. Więc znów mordy.

Są i chwile, w których jastrzębiowi trudno wyżyć w lesie i na polu. Puszczają się on wtedy na wyprawę pomiędzy ludzki inwentarz; zalatywał do Orłowej Woli i wyławiał chłopskie gołębie; wpadał znienacka na podwórze bogatego pańskiego kurnika, gdzie porywał tłuste kury, koguty, perlice; — żył dostatnio i wygodnie.

Taki potężny, zuchwały, butny jastrząb, zdało się będzie już wieczną plagą okolicy; jednakże i on miał smutny koniec. Pamiętam jeden pogodny dzień letni. Błękitne niebo ubrane było w białe strzępy, chmur najrozmaitszej formy. Na tle tem zaledwie widzialny wysoko bujał nasz bohater, jakby go tchnienie górnych zefirów unosiło w przestworzach. Ciemne knieje z muzyką uroczystych szumów miał pod swymi stopami. Zakreślał kręgi, niby naśladował wir ciał nie-

bieskich dokoła słońca. Skończył i zwolna zmierzał dokoła puszczy, chciał chyba spocząć. Atoli podówczas właśnie, skądś z pól dalekich spiesząc, pełna macierzyńskich uczuć do gniazda swego zdążała wrona. W wielkim rozpędzie wleciała między liściaste gałęzie starego dębu, zapadając tu, narobiła szumu, zgielku i, zanim dotarła gniazda z piskletami, wyciągała na prawo i na lewo dziobatą głowę, rozglądała się wokoło przezornem okiem. Już, już miała rozdziawić gardło, narobić wrzasku, zwiastując swe przybycie, kiedy właśnie nad głową swoją i nad ukochanem gniazdem młodzieńskich wroniąt spostrzegła straszego łowcę. Ten widok napędził jej strachu; porwała się czem prędzej do lotu, niby się tyłem cofając na skrzydłach, i wrzasnęła tak przeraźliwym głosem, że sam jastrząb na bok się usunął. Krakanie wrony było jakieś straszne, daleko w las leciało i po boru się rozległo. Wrona powtórzyła okrzyk drugi i trzeci raz, może jako hasło szczepowej solidarności w wyjątkowych stanach rzeczy; potem rzuciła się do jastrzębia.

Wołanie owo miało widocznie doniosłość wezwania do pospolitego ruszenia, bo wnet pojawiła się druga kracząca wrona, a za nią przybyła trzecia, czwarta i piąta. Stał się wrzask nadzwyczajny, który powoływał do boju nowe wrony ze wszystkich stron przylatujące. Niektóre wcale nie napały na jastrzębia, lecz pędząc za nim ponad wierzchołkiem drzew, darły się straszliwie. Pogoń ta była nadzwyczajnie natarczywą... Mknął straszliwy ptak, uchodząc pomiędzy drzewami, a gdzie tylko się znalazł, wszędy spotykał krzykliwe i zacietrzewione wrony. Jedne gnały górą, drugie — tuż za nim, inne przysiadły na drzewach, wrzeszcząc na całe gardło. Tak to solidarność słabych wytwarza siłę.

Po kilkakroć zwracał się wściekły jastrząb i całą tę hołotę rozpędzał na cztery wiatry; nareszcie oszołomiony, znużony wywinął się z boru po krętych drogach, wpadł w zagajniki, a stamtąd dołem wyleciał na bagna, poprostu uciekł.

Kiedy jastrząb, ścigany w boru przez wrony, wyrwał się w czyste pole i ponad bagna wypłynął, Tynia<sup>1)</sup> naradza-

<sup>1)</sup> córka właściciela wsi, w której się rzecz dzieje.



ła się wówczas na grobli z Kukułką <sup>1)</sup>, w jaki sposób byłoby można dotrzeć do samego środka bagniska w celach myśliwskich. Płowe pierze drapieżnego ptaka wyraźnie odbijało się na czarnem prawie tle trzęsawisk. Panna Strojomirska ręką wskazała strzelcowi jastrzębia. Kukułka spojrzał, zdjął z ramienia strzelbę i złożył się w mgnieniu oka. Huknął strzał, lecz odległość była znaczna, i tylko pierze posypało się z ptaka, który teraz przyspieszył lotu i pędził dalej. Spoglądano za znikającym w oddaleniu rabusiem zwierzyny. Wdali widniały kępki sitowia i olszynowych zarośli; jastrząb wzniosł się w tem miejscu dosyć wysoko: może się tu obawiał zasadzki, a może byстрым wzrokiem chciał zgłębić zgóry wnętrze zarośli. Naraz widzowie na grobli ujrzeli dymek, wznoszący się wgórę z olszyn; później posłyszeli jakgdyby lekkie puknięcie i ujrzeli spadającego na dół jastrzębia.

a. Polonez.]

§ 23. Poloneza czas zacząć. — Podkomorzy rusza.  
I, zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza  
I wása podkręcając, podał rękę Zosi  
I, skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.  
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi;  
Dano hasło, zaczęto taniec, — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,  
Bije blask z karabeli <sup>2)</sup>, świeci się pas suty,  
A on stąpa powoli, niby odniechcenia;  
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia  
Można tancerza czucia i myśli wyczytać.  
Oto stanął, jakgdyby chciał swą damę pytać,  
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;  
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha;  
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,  
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;

<sup>1)</sup> strażnikiem leśnym i nędzornym strzelcem. <sup>2)</sup> krzywej, wąskiej, cienkiej i lekkiej szabli o rękojeści ozdobnej. Polacy używali jej do stroju uroczystego, nie do boju. Rękojeść bywała z kamienia: jaspisowa, agatowa, ametystowa, złotem lub szmelcowanemi gwoździkami spajana. (Od nazwy miasta arab. Karbala, słynącego z wyrobu tej broni).

On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi  
I zaśmiał się nakoniec, — rad z jej odpowiedzi,  
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów zgóry  
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry  
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,  
Aż włożył ją nabakier i pokręcił wása.  
Idzie, — wszyscy zazdroszczą, biegną w jego ślady,  
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady:  
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi  
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi;  
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,  
Odmienia drogę, radby towarzyszków zmylić,  
Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty  
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;  
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,  
Jakby rzekł: „Nie dbam o was, zazdrośnikom biada!“  
Zwraca się z dumą w czole i z wyzwaniem w oku  
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku,  
Ustępują mu z drogi i, zmieniwszy szyki,  
Puszczają się znów za nim. —

Brzmia zewsząd okrzyki:  
„Ach, to może ostatni! patrzcie, patrzcie, młodzi,  
Może ostatni, co tak poloneza wodził!“

I szły pary po parach hucznie i wesoło;  
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,  
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;  
Mieni się centkowata, różna barwa strojów  
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,  
Wyzłocona promieniami zachodniego słońca  
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.  
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

b. Krakowiak.

Jaśmont... wpadł do gumna i zakręcił się na toku, wołając:

— Niechaj do tańca grają, już się nogi zwijają! Krakowiaka, Zaniewscy!

Zaniewscy po półgodzinnym odpoczynku na całe gumno zahuczeli różnym krakowiakiem, ale tańczyć go nie zaraz



zaczęto, bo nie wszyscy taniec ten umieli, więc pary dobierały się z niejaką trudnością. Nakoniec dobrota się ich dwanaście z pierwszym drużbantem na czele, który wolałby z Domuntówną, ale przez uszanowanie dla zwyczaju i osoby z pierwszą drużką przodem pomknął, a wszyscy za nimi w podskokach biegli, głośnie holupce wybijając i zgrabnie, gibko wyginając się w strony obie.

Justyna niczem szczególnem nie wyróżniała się z grona tancerek. Mniej piękna od kruczowłosej Osipowiczówny, od Antolki, od Siemaszczanek zgrabniejszą nie była, ale miała w tańcu większą niż one powagę i grację. Więc lekko na ramieniu tancerza zwieszona, z półuśmiechem na ponsowych ustach, jak łabędź płynęła przodem korowodu, a widzowie, dokoła stojący i siedzący, patrząc na nią, głowami kiwali i szeptali, że z tak piękną panną miłoby było tańczyć do końca świata. Ale najuporczywiej i coraz ogniościej z nad rzędu kornetów <sup>1)</sup> i czepców ścigał ją wzrokiem Janek, coraz rozkoszniej uśmiechać się zaczynał, niecierpliwą stopą parę razy o tok uderzył, aż do kieszeni siermiężki sięgnął, bawelniane rękawiczki pośpiesznie na ręce włożył i przez obiadujące ławę niewiasty przeskoczył. Na ławie powstał krzyk i pisk; łokciami jego, a uchowaj Boże! i nogą może zaczepiony czepek Giecołdowej na ucho jej się zsunął, co dzierzawczyźnie bardzo rozgniewało, a u jej sąsiadek wywołało głośnie współubolewanie i tajemne śmiechy. Ale on, na zestawione za sobą miny i gniewy wcale się nie oglądając, parze, tańcowi przodującej, drogę zabiegł, rozgłośnie w dłonie uderzył i na całe gumno zawołał:

— Klaskanego!

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza, więc tancerze natychmiast wtył się cofać zaczęli i obejmować panny, za nimi się znajdujące, a tancerka z pierwszej pary, jak ptak lekki i szczęśliwy, ze wznesionemi ku niemu oczyma na ramię Jana spłynęła. On, po raz pierwszy kibić jej obejmując, ukropem na twarzy się oblał i wzrokiem w górę rzucił, lecz potem, jakby radością i dumą szalony, z głośnym holupcem nad ziemię się porwał i z ramieniem nieco podniesionem

<sup>1)</sup> wysokich czepców kobiecych muslinowych, gazowych, koronkowych lub siatkowych z szeroką wstążką.

w górę, a twarzą ku twarzy tancerki schyloną szumnie i dumnie dokoła toku tancerzy korowód prowadził.

— No! choć raz pięty do tańca poruszyl! — zawołano w tłumie.

On zaś w tem miejscu, gdzie muzykanci siedzieli, stanął, inne pary zatrzymał i pięknym głosem nietylko na całe gumno, ale na ogród, drogę i szerokie pole zaśpiewał:

Świeci księżyc, świeci  
Okolo północy;  
Ciebie przestać kochać  
Nie jest w mojej mocy!

Ten przyśpiewek poprostu zachwycił wszystkich, szczególnie kobiet. Aż w dłonie uderzały i chichotały z uwielbienia. Póki dał się, to dał się, ale jak przestał, to już go nikt nie prześcignie, nawet pan Jaśmont, który ślicznie tańczy i jeszcze śliczniej mówi, ale do śpiewania to już bynajmniej niezdatny. Jednak pierwszy drużbant, czy to ambicją powodowany, czy dla rozweselenia Jadwigi, która nadęta i jak nieżywa poruszała się przy nim, na tem polu także popisać się spróbował. Po kilku zwrotach tańca z kolei jak wryty stanął i bardzo cienkim dyszkantem niezupełnie na nutę krakowiaka zaśpiewał:

Powierzchność często myli,  
Szczególniej kobiety;  
Chociaż oczko łzą umili,  
Lecz serce... niestety!

I niepotrzebnie z Jankiem w zapasy wchodził, bo pokazało się, że wcale w czem popisywać się nie miał; i przyśpiewek niestosowny wynalazł, i w słuchaczach obudził zdziwienie: jakim sposobem taki duży mężczyzna mógł taki cienki głos z siebie dobywać.

Wzamian kruczowłosej Osipowicz z błękitnooką Cecylką Staniewską, jakby umyślnie przed matką jej stanąwszy, prawie tak pięknie jak Janek zaśpiewał:

Koło domu steczka,  
Chowaj, matko, pieska:  
Masz córeczkę ładną,  
To ci ją ukradną!



I ogromny Domunt znowu z malutką Siemaszczanką raczej gromko, niż melodyjnie, krzyknął:

Za rzeką, za Niemnem, kukaweczka kuka,  
Mam tego za dudka, kto posażnej szuka!

Ale krakowiak już się kończył, i inni, choćby chcieli, do śpiewania nie mieli czasu. A tylko Janek jeszcze, jak do przyspiewków dał hasło, tak je i zakończył, nie w porę nawet, bo przed samym końcem tańca, krótko lecz dobitnie wyśpiewując:

Najpierwsze kochanie kiedy serce chwyci,  
Radością i smętkiem dosyć je nasyci!

Poczem zaraz tancerkę swoją jak piórko dokoła siebie okręcił i, na jedno kolano przed nią przypadając, rękę jej do ust przycisnął.

#### c. Tańce w fortalicji <sup>1)</sup> chreptjowskiej.

Śnieg sypał tak gęsty, że wypełnił całkiem rów stannicy i wałem osiadł na częstokole. Na dworze była noc i zawieja, a główna izba chreptjowskiej fortalicji gorzała od światła. Było dwóch skrzypków, trzeci basetlista, dwóch czekanistów <sup>2)</sup> i jeden z waltornią <sup>3)</sup>. Skrzypkowie cięli od ucha, aż chwilami ich zawracało, owym zaś grającym na czekanach i waltorniach nabrzmiwały policzki, i oczy krwią zachodziły. Najstarsi z oficerów i towarzystwa poobsiadali ławy pod ścianami, jeden przy drugim, jako siwe gołębie obsiadają zręby dachu, i popijając miód a wino, spoglądali na tańczących. W pierwszą parę szedł pan Muszalski, mimo podeszłych lat tancerz tak zawołany, jak i łucznik, z Basią. Ona, przybrana w suknię ze srebrnej lamy, obszytą gronostajowym szlakiem, wyglądała tak, jakby kto świeżą różę w świeży śnieg zatknął. Dziwili się jej urodzie starzy i młodzi, a okrzyk: „rety“ wyrywał się mimowoli z wielu piersi, bo, chociaż Nowowiejska i Boska były od niej nieco młodsze i nad zwykłą miarę urodziwe, przecie ona była między niemi

<sup>1)</sup> małej forteczce drewnianej kresowej. <sup>2)</sup> grających na czekanie. Czekan—dęte narzędzie muzyczne w rodzaju fletu, oprawne w laskę. <sup>3)</sup> metalowym dętym instrumentem muzycznym z rozwartem szeroko zakończeniem.

najpiękniejsza. W oczach paliła jej się radość i ochota; przesuwając się obok małego rycerza, dziękowała mu za uciechę uśmiechem, a przez rozchylone różowe usta błyskały białe ząbki, i lśniąc się cała w swej srebrnej lamie, migając jak promień lub gwiazdka, olśniewała zarazem oczy i serca urodą dziecka, niewiasty i kwiatu.

Goniły za nią rozcięte rękawy, podobne do skrzydeł dużego motyla, a gdy, podnosząc rękoma poły jubki, czyniła dyg przed tancerzem, to myślała, że w ziemię spływa, jako zjawisko jakieś lub jak owe poniki, w letnie jasne noce nad brzegami jarów skaczące.

Zewnątrz pocztowi przyciskali do szyb oświeconych srogie wąsate twarze i, płaszcząc sobie o nie nosy, zaglądali do środka. Wielce to pochlebiało im, że uwielbiana pani gasi wszystkie inne urodą, bo wszyscy trzymali zapamiętałe za Basią, więc, nie szczędząc przytyków ni Nowowiejskiej, ni Boskiej, gromkim okrzykiem witali każde jej zbliżanie się do okna.

Wołodjowski rósł jak na drożdżach i głową w takt Basinym ruchom kiwał; pan Zagłoba, stojąc z kuflem obok niego, przytupywał i ronił płyn na podłogę, a chwilami zwracali się z małym rycerzem ku sobie i patrzyli na się, milcząc z nadzwyczajnego zachwyty i sapiąc.

A Baśka migąła i migąła po całej izbie coraz weselsza, coraz wdzięczniejsza. To jej dopiero była pustynia! Raz bitwa, to znów łowy, to uciecha i tańce, i kapela, i żołnierzy moc — i mąż największy między nimi, a kochający i kochany; czuła Basią, że ją wszyscy lubią, że ją podziwiają, wielbią, że mały rycerz coraz przez to szczęśliwszy, więc i sama czuła się tak szczęśliwa, jak ptaki, gdy za nadejściem wiosny bujają w majowym powietrzu, krzycząc mocno a radośnie.

W drugą parę za Basią tańczyła przybrana w karmazynowy kubraczek Nowowiejska z Azją. Młody Tatar nic do niej nie mówił, upojony zupełnie białem zjawiskiem, błyszczącym w pierwszej parze, lecz ona myślała, że to wzruszenie tak tamuje mu głos w piersiach i lekkimi z początku a potem coraz mocniejszymi uściśnieniami dłoni starała się dodać mu odwagi. Azja też czasem oddawał jej uściski tak silne, że ledwie okrzyk bólu mogła stłumić, lecz czynił to mimowoli, bo o niczem nie myślał, tylko o Basi, nicze-



go nie widział poza Basią, a w duszy powtarzał straszną obietnicę, że, choćby mu przyszło pół Rusi spalić, to ona musi być jego.

Chwilami zaś, gdy wracało mu nieco przytomności, miał ochotę porwać Ewkę za gardło i dusić, i pastwić się nad nią, za jej uściśnienia dłoni i zato, że stawała między jego miłością i Basią. Wówczas przesywał biedną pannę swym sokolim okrutnym wzrokiem, a jej serce poczynalo bić mocniej, bo myślała, że on z miłości patrzy na nią tak drapieżnie.

W trzecią zaś parę tańczył młody pan Nowowiejski z Zosią Boską. Ta podobna do niezapominajki dreptała ze spuszczonei oczyma obok niego, a on wyglądał, jak rozhukany tabuńczyk, i skakał, jak rozhukany tabuńczyk. Z pod okutych pięt jego leciały drzazgi, czupryna wichrem podniosła się do góry, lice ubarwiło się rumieńcami, rozdał szerokie chrapy, jak turecki bachmat, i zakręcał Zosią, jak wicher liściem, i unosił ją w powietrzu. Rozochociła się w nim dusza bez miary, a że, siedząc na krańcu Dzikich Pól, po całych miesiącach niewiast nie widywał, więc mu Zośka tak odrazu przypadła do serca, że w jednej chwili na umór się w niej rozkochał. Od czasu do czasu spoglądał na jej opuszczone oczki, to na rumiane policzki i aż parsknął na ów luby widok i tem mocniej iskry podkówkami krzesął, i tem mocniej na zwrotach przygarniał ją do swej szerokiej piersi, i śmiechem ogromnym z nadmiaru ochoty wybuchał i kipiał, i coraz mocniej kochał.

A Zosia aż zlekła się w lubem serduszku, jeno że nie był to przykry strach, bo spodobał się jej także ten wicher, który ją oto porwał i unosił. Czysty smok! Widywała ona różnych kawalerów w Jaworowie, ale tak ognistego nie widziała dotychczas, i żaden tak nie tańczył, i żaden tak nie przygarniał. Naprawdę, czysty smok!... Co z takim robić, kiedy niepodobna mu się oprzeć...

W następnej parze tańczyła z grzecznym towarzyszem panna Kamińska, a dalej Kieremowiczowa i Nerese-wiczowa, które, choć mieszczańki, zaproszono jednak do kompanji, bo obie były niewiasty dość dwornych manier i wielce zamożne. Poważny Nawiragh <sup>1)</sup> i dwaj Anardraci <sup>2)</sup> patrzyli

<sup>1)</sup> wysłaniec naczelnego patriarchy albo katholicosa ormiań-

ze wzrastającym zdziwieniem na polskie płasy; starzy przy miodzie czynili gwar coraz mocniejszy, podobny do gwaru, jaki czynią koniki polne na ściernisku. Kapela jednak głużyła wszystkie głosy — w środku zaś izby ochota w sercu rosła i rosła.

#### Pierwsze spotkanie Litwinów ze Szwedami.

§ 24. Dojechawszy bliżej wsi, zwolnili kroku i ujrzeni szeroką ulicę, oświeconą tak płomieniem, iż szpilki możnaby na niej zbierać, bo po obu stronach paliło się kilka chałup, a inne zajmowały się od nich zwolna, gdyż wiatr był dość silny i niósł iskry, ba! całe snopki, podobne do ptaków ognistych, na przyległe dachy. Na ulicy płomień oświecał większe i mniejsze gromadki ludzi, poruszające się szybko w różne strony. Krzyk ludzi mieszał się z odgłosem dzwonów ukrytego wśród drzew kościoła, z rykiem bydła, ze szczekaniem psów i rzadkimi wystrzałami z broni palnej.

Podjechawszy bliżej, żołnierze pana Wołodyjowskiego ujrzeni rajtarów <sup>3)</sup>, przybranych w kolistę kapelusze, ale niezbyt wielu. Niektórzy ucierali się z gromadkami chłopów, zbrojnych w cepy i widły, strzelając do nich z pistoletów i wypierając za chałupy, na ogrody; inni wypędzali na drogę rapierami <sup>4)</sup> woły, krowy i owce. Inni, których zaledwie można było rozeznąć wśród całych kłębów pierza, poobwieszali się ptactwem domowem, trzepoczącem jeszcze skrzydłami w przedśmiertnych podrygach. Kilkunastu trzymało konie, każdy po dwa lub trzy, należące do towarzyszy, zajętych widocznie rabunkiem chałup.

Droga do wsi schodziła nieco z góry wśród brzeziniowego lasu, tak że laudańscy, sami nie będąc widziani, widzieli jakoby obraz, przedstawiający najście wsi przez nieprzyjaciela, oświecony pożarem, w którego blaskach dokład-

skiego w Eczmiadynie (gub. Erywańskiej). Nawiraghów albo Nawiraghów obowiązkiem było zbieranie datków między ludem na utrzymanie kościoła i płacenie podatków. <sup>2)</sup> biegli teologowie, chodzący po miastach i wsiach z kazaniami. Nazwa Anardrat znaczy taki, co gardzi pieniędzmi, Anardraci bowiem od tych, których nawiedzały, brali tylko żywność. <sup>3)</sup> żołnierzy konnych (niem. Reiter). <sup>4)</sup> długimi, prostymi, wąskimi obosiecznymi szpadami (niem. Rapier).



nie można było odróżniać obcych żołnierzy, wieśniaków, niewiasty, ciągnane przez rajtarów, i broniących się bezładnymi kupami mężów. Wszystko to poruszało się gwałtownie, naksztalt lalek w jasełkach <sup>1)</sup>, krzycząc, klnąc, lamentując.

Pożar nad wioską trząsał całą grzywą płomienia i हुआ coraz straszliwiej.

Pan Wołodjowski, zbliżywszy się z chorągwią do roztwartego naoścież kołowrotu <sup>2)</sup>, kazał zwolnić kroku. Mógł on uderzyć i jednym zamachem zgnieść nie spodziewających się niczego napastników; ale mały rycerz postanowił sobie „pokosztować Szwedów“ w bitwie otwartej, zupełnej, więc naumyślnie czynił tak, aby go spostrzeżono.

Jakoż kilku rajtarów, stojących wedle kołowrotu, spostrzegło najprzód zbliżającą się chorągiew. Jeden z nich skoczył do oficera, który stał z gołym rapieniem wśród większej kupy jeźdźców na środku drogi, i począł mówić coś do niego, ukazując ręką w tę stronę, z której spuszczał się ze swoimi ludźmi pan Wołodjowski. Oficer przystąpił oczy ręką i popatrzył przez chwilę, następnie skinął, i wnet donośny odgłos trąbki zabrzmiał wśród rozmaitych okrzyków ludzkich i zwierzęcych.

A tu rycerze nasi mogli podziwiać sprawność szwedzkiego żołnierza, zaledwie bowiem rozległy się pierwsze tony, gdy jedni z rajtarów poczęli wypadać co ducha z chałup, drudzy porzucali zrabowane rzeczy, woły, owce i biegli do koni.

W mgnieniu oka stanęli w sprawnym szeregu, na którego widok wezbrało podziwem serce małego rycerza, tak lud był dobrany. Chłopy wszystko rosło i tegie, przybrane w kaftany ze skórzanymi pasami przez ramię, w jednostajne czarne kapelusze z podniesionym koliskiem z lewej strony; wszyscy mieli jednakie gniade konie i stanęli murem z rapierami przy ramieniu, poglądając bystro, ale spokojnie w stronę drogi.

Jednakże z szeregu wysunął się oficer z trębaczem, chcąc widocznie zapytać, coby byli za ludzie, zbliżający się tak wolno.

<sup>1)</sup> przedstawienia zapomocą figurek narodzenia Chrystusa. <sup>2)</sup> rozdaju wrót podwójnych.

Widocznie sądził, iż to jakaś radziwiłłowska chorągiew, od której nie spodziewał się zaczepki. Jął tedy machać rapieniem i kapeluszem, a trębacz trąbił ciągle na znak, iż chcą rozmowy.

— A wypalno który ku nim z garłacza <sup>1)</sup>, — rzekł mały rycerz — aby wiedzieli, czego się mają od nas spodziewać!

Strzał huknął, ale siekańce nie doszły, bo było zbyt daleko. Oficer widocznie myślał jeszcze, iż to jakieś nieporozumienie, gdyż począł tylko mocniej krzyczeć i kapeluszem machać.

— Dajcież mu drugi raz! — zakrzyknął pan Wołodjowski.

Po drugim strzale oficer zawrócił i ruszył, choć niezbyt pospiesznie ku swoim, którzy także zbliżyli się rysią ku niemu.

Pierwszy szereg laudańskich ludzi wjeżdżał już w kołowrot.

Oficer szwedzki zakrzyknął, dojeżdżając, na swoich ludzi; rapiery, sterczące aż do tej chwili przy ramionach rajtarów, pochylili się i zwiły na pendentach <sup>2)</sup> — natomiast wszyscy naraz wydobyli pistolety z olster <sup>3)</sup> i wsparli je na kulach od kulbak, trzymając lufy do góry.

— Doskonały żołnierz! — mruknął Wołodjowski, widząc szybkość i jednoczesność prawie mechaniczną ich ruchów.

To rzekłszy, obejrzał się na swoich ludzi, czy szeregi w porządku, poprawił się w kulbace i krzyknął:

— Naprzód!

Laudańscy pochylili się ku szyjom końskim i ruszyli jak wicher.

Szwedzi przypuścili ich blisko i naraz dali ognia z pistoletów, lecz salwa niewiele zaszkodziła laudańskim, więc zaledwie kilku wypuściło z rąk trenzle i przechyliło się wtył, inni dobiegli i uderzyli się z rajtarami pierś o pierś.

Litewskie lekkie chorągwie używały jeszcze kopij, które w koronnym wojsku służyły tylko husarji, ale pan Wołod-

<sup>1)</sup> strzelby z lufą szerszą u wylotu. <sup>2)</sup> pasach, na których przez ramię przypasują szablę albo szpadę u boku (franc. pendent). <sup>3)</sup> fute-  
ratów na pistolety (niem. Holster).



dyjowski, spodziewając się bitwy w ciasnocie, kazał je za-  
tknąć poprzednio przy drodze, więc zaraz przyszło do szabel.

Pierwszy impet nie zdołał rozerwać Szwedów, lecz ze-  
pchnął ich wtył tak, iż poczęli się cofać, siekąc i bodąc ra-  
pierami, laudańscy zaś parli ich zapamiętałe przed sobą  
wzdłuż ulicy. Trup począł padać gęsto. Cizba czyniła się co-  
raz większa; szczęk szabel wypłoszył chłopstwo z szerokiej  
ulicy, w której gorąco od płonących domów było nie do wy-  
trzymania, lubo domy ode drogi i opłotków oddzielone były  
sadami.

Szwedzi, parci coraz potężniej, cofali się z wolna, ale  
zawsze w dobrym porządku. Trudno im zresztą było się roz-  
prosić, ponieważ silne płoty zamykały drogę z obu stron.  
Chwilami próbowali zatrzymać się, ale nie mogli podołać.

Była to dziwna bitwa, w której z przyczyny wąskiego  
stosunkowo miejsca walczyły wyłącznie pierwsze szeregi, na-  
stępne zaś mogły tylko pchać stojących w przedzie. Ale  
przez to właśnie walka zmieniła się w rzeź zacieklą.

Pan Wołodyjowski, uprosiwszy wprzód starych pułkow-  
ników i Jana Skrzetuskiego, aby w samej chwili ataku  
mieli nadzór nad ludźmi, używał dowoli w pierwszym szere-  
gu. I co chwila jakiś kapelusz szwedzki zapadał przed nim  
w ciżbę, jakoby nurka dawał pod ziemię; czasami rapier,  
wytracony z rąk rajtara, wylatywał furkocząc nad szereg,  
a jednocześnie odzywał się krzyk ludzki przeraźliwy, i znów  
kapelusz zapadał; zastępował go drugi, drugiego trzeci, lecz  
pan Wołodyjowski posuwał się ciągle naprzód, małe jego  
oczki świeciły, jak dwie skry złowrogie, i nie unosił się i nie  
zapamiętywał, nie machał szablą jak cepem; chwilami, gdy  
nie miał nikogo na długość szabli przed sobą, zwracał twarz  
i klingę nieco w prawo lub w lewo i strącał w mgnieniu oka  
rajtara ruchem napozór nieznacznym i straszny był przez te  
ruchy małe, a błyskawiczne, prawie nieczłowiecze.

Jak niewiasta, rwąca konopie, zanurzy się w nie tak,  
iż ją zupełnie zasłonią, ale po zapadaniu kiści poznasz łatwo  
jej drogę, tak i on niknął chwilowo w tłumie rośłych mężów,  
lecz tam, gdzie padali, jako ktoś pod sierpem żniwiarza, pod-  
cinającego źdźbła od dołu, tam właśnie on był. Stanisław  
Skrzetuski i posępny Józwa Butrym, zwany Beznogim, szli  
tuż za nim.

Nakoniec szwedzkie tylne szeregi poczęły wysuwać się  
z opłotków na obszerniejszy wirydarz przed kościołem  
i dzwonnica, a za niemi wysunęły się przednie. Rozległa  
się komenda oficera, który pragnął widocznie wprowadzić  
wszystkich naraz ludzi do boju, i wydłużony aż dotąd pro-  
stokąt rajtarów rozciągnął się w mgnieniu oka wszczep w dłu-  
gą linię, chcąc całym frontem stawić czoło.

Lecz Jan Skrzetuski, który nad ogólnym przebiegiem  
bitwy czuwał i czołem chorągwi dowodził, nie poszedł za  
przykładem szwedzkiego kapitana, natomiast ruszył naprzód  
całym impetem w ścieśnionej kolumnie, która, trafiwszy na  
słabszą już ścianę szwedzką, rozbiła ją w mgnieniu oka ja-  
koby klinem i zwróciła się pędem ku kościołowi, ku pra-  
wej stronie, biorąc tym ruchem tył jednej połowie Szwedów,  
a na drugą skoczyli z rezerwą Mirski i Stankiewicz, mając  
pod sobą część laudańskich i wszystkich dragonów <sup>1)</sup> Ko-  
walskiego.

Zawrzały teraz dwie bitwy, lecz nie trwały już długo.  
Lewe skrzydło, na które uderzył Skrzetuski, nie zdążyło się  
sformować i rozproszyło się najpierw; prawe, w którym  
był sam oficer, dłużej dawało opór, lecz, rozciągnięte zby-  
tecznie, poczęło się łamać, mieszać, nakoniec poszło za przy-  
kładem lewego.

Wirydarz był obszerny, lecz na nieszczęście zagrodzo-  
ny ze wszystkich stron wysokim płotem, a przeciwległy ko-  
łowrót służba kościelna, widząc, co się dzieje, zamknęła  
i podparła.

Rozproszeni tedy Szwedzi biegali wkoło, a laudańscy  
upędzali się za nimi. Gdzie niegdzie bito się większymi ku-  
pami, po kilkunastu na szable i rapiery; gdzie niegdzie bitwa  
zmieniła się w szereg pojedynków; i mąż potykał się z mę-  
żem, rapier krzyżował się z szablą, czasem strzał pistoletowy  
buchnął. Tu i ówdzie Szwed lub Litwin wydobywał się  
z pod obalonego rumaka i padał zaraz pod cięciem czeka-  
jącej nań szabli.

Środkiem wirydarza biegały rozhuwane konie bez jeźdź-  
ców z rozdętymi od strachu chrapami i rozwianą grzywą;  
niektóre gryzły się z sobą, inne, oślepte i rozszałałe, zwracały  
się zadem do kup walczących i biły w nie kopytami.

<sup>1)</sup> żołnierzy, pełniących służbę pieszo i konno.



Pan Wołodyjowski, strącając mimochodem rajtarów, szukał oczyma po całym wirydarzu oficera, nakoniec spostrzegł go, broniącego się przeciw dwom Butrymóm, i skończył ku niemu.

— Na bok! — krzyknął na Butrymów — na bok!

Posłuszni żołnierze odskoczyli — mały rycerz zaś przybiegł, i starli się ze Szwedem, aż konie przysiadły na zadach.

Oficer chciał widocznie sztychem zsadzić przeciwnika z konia, lecz pan Wołodyjowski podstawił rękę swego dragoniego pałusza, zakreślił błyskawicznym półkolem, i rapier prysnął. Oficer schylił się do olster, lecz w tej chwili cięty przez jagodę, wypuścił lejce z lewicy.

— Żywym brać! — krzyknął Wołodyjowski na Butrymów.

Laudańscy chwycili rannego i podtrzymali chwiejącego się na kulbace, mały rycerz zaś sunął w głąb wirydarza i jechał dalej na rajtarach, gasząc ich przed sobą jak świecę.

Lecz już powszechnie poczęli Szwedzi ulegać bieglejszej w szermierce i pojedynczej walce szlachcie. Niektórzy, chwytając za ostrza rapierów, wyciągali je ręką ku przeciwnikom, inni rzucali broń pod nogi; słowo „pardon!“ brzmiało coraz częściej na poboju. Lecz nie zważano na to, bo pan Michał kilku tylko kazał oszczędzić, więc inni, widząc to, zrywali się znów do bitwy i marli, jak na żołnierzy przystało, po rozpaczliwej obronie, okupując obficie krwią śmierć własną.

W godzinę później docinano ostatków.

Chłoptwo rzuciło się hurmem drogą ode wsi na wirydarz chwytając konie, dobijając rannych i obdzierać poległych.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie Litwinów ze Szwedami.

#### a. Pod Warką.

### § 25. Pilica dzieliła dwa wojska.

Na szwedzkim brzegu ozwały się trąby, kotły, bębny i krzyki żołnierstwa, stawającego co ducha do sprawy, a pan Czarniecki kazał również dać w krzywulę<sup>1)</sup> i następował ze wszystkimi chorągwami ku rzece.

<sup>1)</sup> krzykliwe hałaśliwe trąby wojenne.

Wtem poskoczył co tchu w dzianecie do Wąsowiczowej chorągwi, która była bliżej rzeki.

— Stary żołnierzu! — krzyknął — ruszaj mi ku mostowi, tam z koni i do muszkietów! Niech się na ciebie cała potęga obróci! Prowadź!

Wąsowicz jeno poczerwieniał nieco z ochoty i machnął buzdyganem<sup>1)</sup>. Ludzie, krzyk uczyniwszy, pomknęli za nim, jak tuman kurzawy, wiatrem gnanej.

Dopadłszy na trzysta kroków do mostu, zwolnili biegu; tuż dwie trzecie zeskoczyło z kulbak i biegiem ruszyło ku mostowi.

Szwedzi zaś ruszyli z drugiej strony, i wkrótce zagrały muszkiety, zrazu wolniej, potem coraz prędzej, jakby tysiąc cepów biło nieregularnie w kłębisko. Dymy rozciągnęły się na rzekę. Krzyki zachęty brzmiały przy jednym i przy drugim naczółku. Uwaga obu wojsk skupiła się na most, który był drewniany, wąski, zatem trudny do zdobycia, a łatwy do obrony. Jednakże tylko przezeń można się było dostać do Szwedów.

Toteż w kwadrans później pchnął pan Czarniecki dragonę Lubomirskiego w pomoc Wąsowiczowi.

Lecz Szwedzi poczęli już i z armat ostrzeliwać przeciwną naczółkę. Zataczano coraz nowe sztuki, i faskule<sup>2)</sup> poczęły z wyciem przelatywać ponad głowami Wąsowiczowych i dragoni, padać na łakę i ryć w zagony ziemię, obrzucając walczących darnią i błotem.

Margrabia badeński, stojąc pod lasem na tyłach armji, patrzył przez perspektywę na bitwę. Od czasu do czasu zaś odejmował ją od oczu, i, spoglądając ze zdziwieniem na swój sztab, wzruszał ramionami.

— Poszaleli, — mówił — koniecznie chcą ów most forsować. Kilka dział i dwa lub trzy pułki może go przed armją bronić.

Jednakże Wąsowicz coraz potężniej następował ze swymi ludźmi, więc i obrona stawała się coraz zaciętszą. Most stawał się punktem środkowej bitwy, ku któremu zwolna poczęła ciężać i ściągała się cała linja szwedzka.

<sup>1)</sup> buławą z głową w kształcie gruszki, podłużnie pokarbowanej.

<sup>2)</sup> kule tej wielkości co kanał działa (niem. Passkugel).



W godzinę później zmienił się cały szyk i zwrócił się bokiem do poprzedniej pozycji. Most zasypywano poprostu deszczem ognia i żelaza; ludzie Wąsowicza poczęli padać gęstym trupem, tymczasem przylatywały ordynanse coraz gwałtowniejsze, by koniecznie szli naprzód.

— Zgubi Czarniecki tych ludzi — krzyknął nagle pan marszałek koronny.

Zaś pan Witowski, jako doświadczony żołnierz, poznał, że źle się dzieje, i aż dygotał cały z niecierpliwości, наконец nie mógł wytrzymać dłużej, zaczął wspinać konia, aż rumak stęknął żałości, i skoczył ku Czarnieckiemu, który przez cały czas ten ciągle, niewiedomo dlaczego, posuwał ludzi ku rzece.

— Wasza miłość! — krzyknął Witowski — krew się próżno leje; nie zdobędziemy tego mostu!

— Ja też go nie chcę zdobywać — odrzekł Czarniecki.

— Więc czego wasza dostojność chcesz? Co mamy robić?

— Ku rzece z chorągwiami! ku rzece! Do szeregu waść.

Tu Czarniecki począł sypać oczyma takie błyskawice, iż Witowski cofnął się, słowa nie rzekłszy.

Tymczasem chorągwie doszły na dwadzieścia kroków do brzegu i stanęły długą linią wzdłuż koryta. Nikt z oficerów ni żołnierzy nie wiedział w pień, dlaczego to czynią.

Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach, nakszttał potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole krzyknął do swojej dywizji:

— Mości panowie. Rzeką się nieprzyjaciół zastawiał i drwi z nas! Morze przepłynął na pogwałcenie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniemy!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął.

— Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła! za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami tak, iż rumak jakoby w powietrzu wyskoczył, rzucił się w wodę. Bryznęła naokół fala, mąż i koń skryli się na chwilę pod wodą, lecz wypłynęli w mgnieniu oka.

— Za moim panem! — krzyknął Michałko, ten sam, który pod Rudnikiem chwałą się okrył.

I skoczył w wodę.

— Za mną! — wrzasnął przeraźliwym, a cienkim głosem Wołodyjowski.

I nurknął, nim krzyczeć przestał.

— Jezusie, Marjol — ryknął, wspinając do skoku konia, Zagłoba.

Wtem ława mężów runęła w fale, aż wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzeg. Za laudańską poszła wiśniowiecka, za wiśniowiecką pana Witowskiego, za nią Stapkowskiego, za nią wszystkie inne. Szał taki ogarnął tych ludzi, że pchały się chorągwie na wyścigi; krzyk komendy pomieszał się z krzykiem żołnierstwa, rzeka wystąpiła z brzegów i spieniła się na mleko w mgnieniu oka. Fala poczęła znosić nieco pułki, lecz konie, bodzone ostrogami, płynęły, jakby nieprzejrzone stada delfinów, chrapiąc nozdrzami i stękając. Zapełnili tak rzekę, że tłum łbów końskich i głów ludzkich utworzył jakoby most, po którym mógłbyś przejść suchą nogą na drugi brzeg.

Czarniecki przepłynął pierwszy, lecz, nim woda zeń ociekła, wypłynęła za nim laudańska, więc machnął pan kasztelan buzdyganem i krzyknął na Wołodyjowskiego:

— Wskok! bij!

A do wiśniowieckiej pod Szandarowskim:

— W nich!

I tak puszczał jedną za drugą, póki wszystkich nie odprawił. Przy ostatniej sam stanął na czele i, zakrzyknawszy: „W imię Boże! szczęśliwie!“ — ruszył z innymi.

A wszakże dwa pułki rajtari, stojące w odwodzie, widziały, co się dzieje, lecz pułkowników ogarnęło osłupienie tak wielkie, że nim ruszyli się z miejsca, już laudańska, rozpuściwszy konie, szła na nich niepowstrzymanym pędem. Uderzywszy, rozniosła pierwszy pułk, jak wichur liście, zepchnęła go na drugi, zmieszała drugi, wtem doskoczył za nią Szandarowski, i rozpoczęła się rzeź straszna, lecz krótko



trwająca, po chwili rozerwały się szeregi szwedzkie, i tłum bezwładny począł umykać ku głównej armji.

Chorągwie Czarnieckiego biegly za niemi z krzykiem strasliwym, siekąc, bodąc, pole trupami zaścielać.

Stało się wreszcie jasnem, dlaczego pan Czarniecki kazał Wąsowiczowi zdobywać most, chociaż nie miał zamiaru po nim przechodzić. Oto główna uwaga całej armji skupiła się na ów punkt, i dlatego nikt nie bronił i nie miał czasu bronić przeprawy wpław. Przytem wszystkie niemal paszcze armatnie, cały front wojsk nieprzyjacielskich zwrócony był za rzekę ku mostowi, a teraz, gdy trzy tysiące jazdy szło jej w bok całym pędem, teraz dopiero trzeba było zmienić szyk, formować nowy front, by się choć jako tako od uderzenia zastąpić. Jakoż stał się straszliwy skrzęt<sup>1)</sup> i zamieszanie: pułki piechoty, jazdy odwracały się co duchu ku nieprzyjacielowi, łamiąc się w pośpiechu, zawadzając jedne o drugie, nie rozumiejąc wśród wrzasku i tumultu komendy, działając na własną rękę. Próżno oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, próżno margrabia ruszył natychmiast stojące pod lasem pułki jazdy; nim do jakiegokolwiek sprawy przyszedł, nim piechota zdołała dziły tylnymi końcami w ziemię zasadzić, by je nadstawić nieprzyjacielowi, wpadła chorągiew laudańska, jak duch śmierci, w sam środek szyków; za nią druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta. Dopieroż rozpoczął się dzień sądu! Dymy strzałów muszkietowych pokryły jakoby chmurą całą bitwę, a w tej chmurze krzyk, wrzenie, nadludzkie głosy rozpacz, krzyki triumfu, przeraźliwe dźwiękanie żelaza, jakby z kuźni piekielnej, grzechotanie muszkietów; czasem błysnął proporzec i zapadł w dymy, czasem złota szpica chorągwi pułkowej, i znów nic nie widziałeś, jeno łoskot rozlegał się coraz strasliwszy, jakoby ziemia zerwała się nagle pod rzeką, i jakoby wody jej spadały w przepaść niezglębioną.

Wtem zboku nowe zabrzmiały wrzaski, to Wąsowicz przeszedł most i szedł w bok nieprzyjaciela. Wówczas niedługo już trwała bitwa.

Z owej chmury poczęły się wysuwać i biec ku lasowi potężne kupy ludzkie, bezładne, obłąkane, bez czapek, hełmów, bez broni. Za niemi lunął wkrótce cały potok ludzki

<sup>1)</sup> krzątania, uwijanie się, rwetes.

w najokropniejszym zwichrzeniu. Artylerja, piechota, jazda, pomieszane z sobą, uciekały ku lasowi, oślepię z trwogi i przerażenia. Niektórzy żołnierze krzyczeli w niebogłosy, niektórzy uciekali w milczeniu, osłaniając głowy rękoma, inni w biegu rzucali odzież, inni zatrzymywali biegnących naprzód, padali sami, trutowali się wzajemnie, a tuż za nimi, nad ich karkami i głowami pędziła ława jeźdźców polskich. Co chwila widziałeś całe ich szeregi, wspinające konia i rzucające się w największą gęstwę ludzką. Nie bronił się już nikt, wszyscy szli pod miecz. Trup padał na trupie. Ciężko bez wytchnienia, bez miłosierdzia, na całej równinie, po brzegach rzeki, ku lasowi, jak okiem sięgnąć, widziałeś tylko uciekających i goniących; gdzie niegdzie tylko pojedyncze oddziały piechoty dawały bezładny a rozpaczliwy opór, armaty umilkły. Bitwa przestała być bitwą, zmieniła się na rzeź.

Cała część armji, która biegła ku lasowi, została w pień wyciętą. Dotarły doń tylko nieliczne szwadrony rajtarji, za którymi wpadły w gęstwinę lekkie chorągwie.

Lecz w lesie czekali już na owych niedobitków chłopów, którzy na odgłos bitwy zlecieli się ze wszystkich wsi okolicznych.

Najstraszniejsza pogoń trwała jednak na drodze warszawskiej, którą uciekały główne siły szwedzkie. Młodszy margrabia Adolf po dwakroć usiłował tam osłonić ucieczkę, lecz po dwakroć rozbity, sam wreszcie wpadł w niewolę. Oddział przyboczny jego piechoty francuskiej, złożony z czterystu ludzi, rzucił broń, trzy tysiące wyborowego żołnierza, muszkietierów i jazdy, uciekało aż do Mniszewa. Muszkietników wycięto w Mniszewie, jazdę goniono ku Czerskowi, póki nie rozproszyła się zupełnie po lasach, trzcinach, zarosłach. Tam nazajutrz dopiero wyszukiwali pojedynczych jeźdźców chłopów.

Nim słońce zaszło, armja Fryderyka, margrabiego badńskiego, przestała istnieć.

## b. Bitwa pod Warką.

Król szwedzki przybył szczęśliwie do Warszawy i pod Pragę znędniałe i zdziesiątkowane wojsko na odpoczynek rozłożył.



Mniej szczęśliwie powiodło się Fryderykowi, margrabiemu badeńskiemu, którego książę Jan Adolf, generalissimus<sup>1)</sup> wojsk szwedzkich, na pomoc królowi, bratu swemu, pod Sandomierz, wysłał. Sam był chory, poniósłszy ranę pod Gołębiem. Powiadano, że margrabia miał 9000 ludzi, ale pokazało się, że ich było tylko 3500, a w tem 24 chorągwi jazdy, a 10 chorągwi dragonów.

Czarnecki, zostawiwszy pod Sandomierzem Lubomirskiego i kwarcianych, którzy w drodze króla szwedzkiego odstąpili, ruszył w 6000 ludzi na margrabiego, dopadł straż szwedzką pod Kozienicami, otoczył i wysiekl. Margrabia, dowiedziawszy się w Janowcu, że król umyka z pod Sandomierza prawym brzegiem Wisły, rozpoczął odwrót. Przebył Pilicę i, zerwawszy most za sobą, stanął w Warce, gdzie niepotrzebnie czekał na komendanta Radomia, któremu kazał z załogą radomską pospieszać do siebie.

Oberstleutnant<sup>2)</sup> Ritter, komendant Radomia, pragnąc uprowadzić swoje łupy, ciągnął powoli, a gdy się połączył z margrabią, Czarnecki stanął już nad wezbraną Pilicą, a ujrawszy most zerwany, przypadł do pierwszych szeregów i, wskazując na uchodzących Szwedów, zawołał: „Śmieją się z nas, że mostu nie mamy! Nuże, za nimi, towarzysze! Tyle drogi do nich w bród, co mostem!”

To mówiąc, rzucił się pierwszy w spienione nurty rzeki, poczem, wysławszy oddziały do Warki i do Czerska, aby Szwedom zamknąć odwrót, pomknął za nimi jak błyskawica, przychwycił tylną straż nieprzyjaciela, który, ubezpieczony zerwaniem mostu, spokojnie maszerował do Czerska.

Widząc, że bitwa nieunikniona, margrabia stanął do boju wpobliżu lasu, gdzie umieścił zasadzkę. Wytrzymał pierwsze natarcie, ale wnet podał tył i z wielką stratą w ludziach uchodził (5 kwietnia).

Zwycięzcy po trupach szwedzkich siedem mil borem i piaskami aż do przedmieść Warszawy za uciekającymi pędzili — „i mogę zapewnić Waszą Królewską Mość, — pisał Czarnecki do królowej — że, kto uszedł ostrza naszej szabli, zginął z rąk chłopów, którzy nie pardonują nikomu. Wszystkie ich bagaże dostały się w nasze ręce oraz 20 sztandarów,

<sup>1)</sup> głównodowodzący wojskami (łac. generalissimus od generalis=ogólny, powszechny). <sup>2)</sup> podpułkownik (niem. Oberst-Lieutenant).

które wraz ze znaczniejszymi jeńcami odesłałem królowi, memu panu“. Tabor wszystek z pieniędzmi i żywnością zrabowano.

„O, gdyby margrabia tego dnia nie był się spóźnił — pisał ks. Jan Adolf. — Gdyby był słuchał rozkazów Waszej Królewskiej Mości i mojej rady, nie poniósłby tej porażki. Zwoływałem dragonów Rittersa i chciałem ich zebrać, lecz nikogo nie znalazłem“. Około 500 ludzi uciekło do Warszawy, 160, przeważnie oficerów, wpadło w ręce Czarnieckiego, reszta poległa. Margrabia, brat jego z hr. Schlippenbachem i kilku pułkownikami zamknęli się w zamku czerskim i poddać się nie chcieli. Ale Polacy nie wiedzieli, że się margrabia w Czersku znajduje, bo na polu bitwy znaleziono płaszcze i kapelusze obu książąt.

#### a. Raławice.

### § 26.

W Raławickiem polu  
Świecą ranne rosy,  
Migają się w jasnym słońku  
Kosynierskie kosi.

Migają się kosi,  
Nikt nie liczy wroga.  
— Choć go będzie sto tysięcy,  
Pójdziem w imię Boga!

Święconą szablą  
Pan Kościuszko skinął,  
Jako orzeł w dwoje skrzydeł  
Wojsko swe rozwinął.

Na tem jednym skrzydle  
Parskają koniki,  
Tam generał Madaliński  
Sprawuje swe szyki.

Na tem drugim skrzydle  
Pan Zajączek stoi.  
Tam się błyszczą chorągiewki,  
Miga słońko w zbroi.



Runęli na Moskwę,  
Jak burzy nawała,  
Odparły ich kartaczami  
Te moskiewskie działa.

Runęli na Moskwę  
Jeden raz i drugi,  
Nakryło się pole trupem,  
Krwi spłynęły strugi.

Widzi pan Kościuszko  
Te nieszczęsne boje,  
Tak zakrzyknie: — Dalej za mną,  
Kosyniery mojej!

I z pośrodku skrzydeł,  
Jak orzeł się wzbija,  
A lud za nim z wielkim krzykiem  
— Jezus i Maryja! —

Pędzi pan Kościuszko,  
Za nim wiara cała,  
Nakryły ich ogniem, dymem  
Te moskiewskie działa.

Aż wódz z dymów zakrzyknie:  
— Ejże, moje chwaty!  
Który tam z was gardziel zatka  
Moskiewskiej harmaty?

Wnet skoczy na wały  
Zuch Bartosz Głowacki  
Gołą ręką brać te działa,  
A z nim Stach Świstacki.

Przelekła się Moskwa  
Tak wielkiego męstwa,  
Otrębuje odwrót sobie,  
A nam pieśń zwycięstwa.

#### b. Raclawice.

„Naprzód! W ogień! Za wiarę! Za Ojczyznę waszą“.  
— Krzyk ogromny się podniósł; zachręściły kosy.  
„Dalej, chłopcy, na wroga!“ Huf siermiężny, bosi  
Ruszył ławą, — armatnie kule go nie straszą.

„O pod Twoją obronę!... Bądź ucieczką naszą,  
„Marjo święta!... Huk armat głośzy rannych głosy;  
Krew a trupy... Hej! naprzód przez tych trupów stosy!  
Idą, lecą — i lonty już czapkami gaszą.

I dział paszcze umilkły. Bosy huf siermiężny  
Zdobyl szafce rękoma od roli i pługa —  
Wiarą w ogień wiedziony i nadzieją mężny...

Potem klękli wśród trupów; cisza była długa,  
Aż hymn w niebo uderzył — zwycięski, potężny.  
— A wódz patrzył — i łez mu popłynęła struga...

#### a. Najświętszej Panny Kwietnej w Soplicowie.

1812 r.

§ 27. Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny  
Kwietnej. Pogoda była prześliczna, czas ranny,  
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,  
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;  
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna  
Przez fale; zboku chmurka biała, sama jedna  
Podlatuje i skrzydła w błękitie zanurza,  
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,  
Który, nocną modlitwą ludzi przytrzymany,  
Spóźnił się, spieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie  
Niebios zgasty, i niebo środkiem czoła bladnie,  
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni  
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;  
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,  
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,



Widać tęczę, żrenicę — już promień wytrysnął,  
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął  
I w białej chmurce, jako złoty grót zawisnął.  
Na ten strzał, na dnia hasło pęk ogniów wylata,  
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,  
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco sennie  
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,  
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,  
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,  
Aż rozłśniło się jako kryształ przezroczyste,  
Potem jak brylant światłe, наконец ogniste,  
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:  
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Dziś pospólstwo litewskie z całej okolicy  
Zebrało się przed wschodem wokoło kaplicy,  
Jakgdyby na nowego ogłoszenie cudu.  
Zbiór ten pochodził w części z pobożności ludu.  
A w części z ciekawości, bo dziś w Soplicowie  
Na nabożeństwie mają być generałowie,  
Sławni dowódcy owi naszych legijonów,  
Których wszystkie tułactwa, wyprawy i bitwy  
Były ewangeliją narodową Litwy.

Już przyszło oficerów kilku, tłum żołnierzy;  
Lud ich otacza, patrzy, ledwie oczom wierzy,  
Oglądając rodaków, mundury noszących,  
Zbrojnych, wolnych i polskim językiem mówiących.

Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka  
Całego zgromadzenia; lud na trawie kłęka,  
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy.  
Włos litewskiego ludu biały albo płowy  
Pozłacał się, jako łan dojrzałego żyta;  
Gdzie niegdzie krasna główka dziewczęca wykwita,  
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy  
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,  
Śród głów męskich, jak w zhożu bławat i kąkole.  
Kłęczący różnobarwny tłum okrywa pole,  
A na głos dzwónka, niby na wiatru powianie,  
Chylą się wszystkie głowy, jak kłosa na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela  
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziała;  
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i wianki:  
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.  
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,  
Zrywa wianki i rzuca na kłęczących skronie,  
I rozlewa, jak z mszalnej kadzielnicy, wonie.

#### b. Msza w Wiszunach.

Świątynia, oglądana już wielokrotnie zdaleka, zadzi-  
wiała zbliżka tylko swym ogromem i rozrzutnością użyte-  
go materiału. W masywnym murze szczytowym za ołtarzem  
widniały jak strzelnice wąskie okienka od celek klasztor-  
nych, objętych całkowicie grubością muru.

Przed niskiem głównem wejściem na kamiennych scho-  
dach nie siedzieli żebracy, lecz rozsiadły się swobodnie ko-  
biety z ludu, przybyłe na nabożeństwo. Niektóre starsze  
zachowały jeszcze malowniczy strój głowy, białą jak śnieg  
„namiotkę“, przypominającą misternym wiązaniem ubiór ko-  
biet polskich z XVI wieku. Wielu mężczyzn chodziło po  
podwórz kościelnym, trzymając czapkę w prawej ręce,  
charakterystycznie założonej pod lewe ramię. Jak wszędzie  
na wsi, kościół i jego najbliższa okolica stawały się w po-  
godną niedzielę miejscem uczty oczu i uszu, zbiorowem  
weselem, polem popisu z dóbr i urody. Nic to nie  
ubliża szczerzej pobożności litewskiego ludu.

Przez boczne wejście od zakrystji weszli Budziszowie  
i Rokszycki do wnętrza nawy i zajęli miejsca w jednej z cze-  
rech ławek, ustawionych dla „honoratior“<sup>1)</sup> przy obu  
murach rozległego prezbiterjum. W tej części kościoła, od-  
grozionej balustradą, tłum był rzadszy, bardziej z miejska  
ubrany, przeto pospolitszy. Ale piękniejsza chwała Boża bi-  
ła od ludu, kłęczącego wzdłuż ogromnej nawy dwoma za-  
stępami: ciemnym z mężczyzn i kwiecistym z niewiast. Roz-  
łączał je szpaler środkowy, strzeżony przez „bratczyków“<sup>2)</sup>  
w liberji kościelnej, z których każdy dzierżył poważnie la-  
tarnię, osadzoną na wysokim drzewcu. Kto chce oglądać

<sup>1)</sup> szanownych, godniejszych. <sup>2)</sup> członków bractwa kościelnego.



powagę i krasę ludu litewskiego, niech przyjeżdża na mszę niedzielną do Wiszun.

Pułk męski klęczał w skupionej zadumie. Głowy rozliczne, częściej jasnowłose, mówiły każda po swojemu o spokoju sumienia. Trudnoby je posadzić o instynkty drapieżne, o zaborcze ruchy zbiorowe, o nerwową niecierpliwość rewolucyjną. Marzące błękitnie, kwitnące spokojnie, czasem zastygłe w biernej zaciętości, twarze te były krewne typu prąsłowiańskiego.

Kolumna niewiast wysuwała na front najpiękniejsze. W ogromnym kobiercu szat barwnych, białych „namiotek“, kwiatów świeżych, trzymanyh w rękę i upiętych we włosy, zalotne oczy i różane cery młodych Litwinek błyszcząły niezwykłe przez nadmiar barw otaczających. Czy się pochylała która niedbale, zrzucając na ramiona chustę z rozgrzanej głowy, czy skamieniała w czołobitnym pokłonie, dorysować było można szlachetną linię ciała o długiej gołeni i spadzistych bokach.

A od całej nawy, szczelnie zajętej przez lud, wiał świeży zapach chleba i ziela, nie kłócąc się z wonią kadzideł.

## 2. Na św. Piotra i Pawła w Lipcach.

Skoro jeno zaszygnowali <sup>1)</sup> na sumę, naród porzucił zabawy i, kiej wezbrany potok, lunął do kościoła i tak go napchał, jaże zebra trzeszczały, a ciągiem jeszcze przybywali nowi, gnietąc się, a nawet swarząc, ale większość musiała ostać na dworze, tuląc się pod mury i drzewa.

Przyjechało też paru księży z drugich parafij, zasiedli zaraz w konfesjonałach pod drzewami słuchać spowiedzi, nie bacząc zgola na tłok ni na spiekę.

A wiaterek był całkiem ustał, i gorąc podnosił się już nie do wytrzymania, żywy ogień lał się prosto na głowy, ale naród cierpliwie gniótł się przy konfesjonałach i roił po smętarzu, na darmo wyszukując cienia lub jakiej bądź osłony.

Proboszcz był właśnie wychodził ze mszą, kiej dopiero Hanka z Józką nadeszły, ale że niesposób się było docisnąć choćby nawet do drzwi kościelnych, to stanęły na szczerem

<sup>1)</sup> zadzwonili w sygnaturkę, w najmniejszy dzwonek, dający znać o rozpoczęciu nabożeństwa.

słońcu pod parkanem, rozglądając się w ciżbie, a Pochwalonym witając znajomków.

Zaraz też huknęły organy, i zaczęła się suma; przyklekli wszyscy, poprzysiadali, a jeśli się żarliwie pacierzy.

Rychtyk i południe stanęło, słońce zawisło prosto nad głowami, lejąc warem straszliwym, i wszystko jakby pomdlało z onej spieki, że ni liść nie zadrgał, ni ptak przeleciał, ni jaki bądź głos powiał z pól. Niebo wisiało w martwej cichości, kiej ta szklana tafla, rozpalona do białego, a roztrzęsione niby wrzątek powietrze osłepiało, wyzerając oczy. Parzyła ziemia, parzyły rozgrzane mury, że klęczeli bez ruchu, ledwie już zipiąc i jakby się zwolna gotując w tym ukropie słonecznym.

Naród się modlił w głębokiej cichości, kto na książkę, kto na różańcu, a kto jeno tem szczerem słowem Boga chwalił i wzdychem serdecznym. Uroczyste głosy organów lały się brzękliwym, rozmodlonym pacierzem, a niekiedy śpiew buchał od ołtarza, czasem zjajzgotały dzwonki, a czasem zahuczał grubachny głos organisty, zaś potem ciągnęły się długie, jakby oniemiałe z żaru chwile, i dymy kadzideł płynęły przez wywarte drzwi kościoła, oprędzając w niebieskawą i wonną mgłę pochylone głowy klęczących.

Szmer pacierzów rozdzwaniał się nikłym syrkim chrzęstem w rozbielałej ciszy gorącego przypołudnia, i grały w słońcu barwiste chusty, kapoty i wełniaki, że cały smętarz widział się kieby przytrząśnięty kwiatami, co się chyliły koronie w onej świętej godzinie przed Panem, jakoby utajonym w tem słońcu rozgorzałem i we wszystkiej cichości świata...

Że tylko niekiedy co tam ktoś grzbiet prostował, rozwodził ręce i wzdychał głęboko, to gdzieś zapłakało dziecko, albo kwik koński roznosił się od wozów.

Nawet dziady pocichły, tyle jeno co poniektóry przez śpik wyrwał się niekiedy z głośniejszem Zdrowaś i o wspomnienie zaskamlał.

A upał jeszcze się wzmagał i tak prażył, jaże pola i sady, zalane pożogą, rozżarzyły się kiej ogień, migocąc białawymi płomieniami.

Cichość była coraz senniejsza, że już niejednen zachrapał na dobre, niejednen kiwał się klęczący, zaś drudzy wychodzili się rzeźwić, gdyż raz po raz skrzypiały kajś studzienne żorawie.



Dopiero w czas procesji, kiej kościół zatrząsł się od śpiewań, kiej jęły walić chorągwie, a za nimi wychodził ksiądz pod czerwonym baldachem z monstrancją w rękach, prowadzony przez samych dziedziców, naród przeeknął i ruszył wraz z procesją.

Zadzwoniły dzwony, śpiew buchnął ze wszystkich gárdzieli i bił jaże kajś ku słońcu, mocny i ogromny, serdeczny, a procesja opływała zwolna białe, rozpalone mury kościoła, kiej ta rzeka wezbrana. Czerwony baldach płynął na przedzie cały w dymach kadzielnich, że jeno chwilami błyskała złota monstrancja, migotały rzędy świateł, rozwinięte chorągwie niby ptactwo łopotały nad mrowiem głów, chwiały się obrazy, przystrojone w tiule a wstęgi, i biły radośnie dzwony, i grzmiały organy, a naród śpiewał z uniesieniem, całem sercem i wszystką duszą tęskliwą wynosił się kajś, jaże w niebiosy, jaże ku temu słońcu przenajświętszemu.

Zaś po procesji, kiej znowu wzięli odprawiać nabożeństwo, i kiej znowu głosy organów zahuczały przejmująco, na smętarnu zrobiło się cicho, jak przódzi, ale już nikto nie drzemał, wzmogły się jeno szepty pacierzów, rozgłośniały wzdychy, dziady już pobrzękiwały w miseczki, a tu i owdzie jęli zcicha pogwarzać.

#### a. Na Jasną Górę.

§ 28. Ostatni dzień!... znać to na wszystkich twarzach. Gdyśmy przeciągali przez puste uliczki owego Mstowa, tom w tym brzasku porannym spostrzegł na bruku krwawe plamy: to ci, którzy idą przed nami i śpiewają, znać bosome nogami bruk.

Wychodzimy na jakieś prawdziwie górskie drożynki. Słońce wschodzi, ale tonie natychmiast we mgle i tylko ją lekko zapurpurza. Ścieżki są strome i pełne ostrych kamieni. Okolica górzysta, widać nad mgłami tyse szczyty.

Idziemy tak prędko, że wszystkie piersi rżęzą, a na każdym szczycie i wyniosłości wszystkie oczy zapurzają się we mgle; niespokojne, gorące spojrzenia szukają w tumanach szarawych konturów wieży częstochowskiej.

Przystają i z wyciągniętymi głowami stoją chwilę...

Nic nie widać, cały świat zdaje się być zatopiony w tej ruchomej masie.

Naraz jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie...

Słońce podniosło się ponad mgły, i wdali wprost nas zarysował się cień, niby majak wyniosły, i zapadł, bo mgły, jakby uderzone siłą światła, zakłębiły się i jak puchy wyległy rozstrzępione, zakrywając wszystko.

Niby jęk zawodu zaszemrał, i zwolna jakby się zawiązała cicha i zawzięta walka pomiędzy tłumem a mgłami.

Rozpalone spojrzenia o krwawym blasku zmęczenia, tętna serc przyśpieszone, wszystkie uczucia spotęgowane, wszystkie głosy o chrapliwym z natężenia brzmieniu łączyły się i płynęły strumieniem ognia, wsączały się w te mgły i jakby je wypijały, że stawały się coraz rzadsze.

Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oślepiał i ubezprzymniał, że darli się wprost naprzód.

Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew, płynącą z nóg, znajdowali siłę w bliskości celu.

Na Przeprośnej Górze zatrzymaliśmy się.

Bracia niektórzy wystąpili z ostatnimi przemowami. Zaczęły się szepty oczyszczają jednych przed drugimi. Głos przemowy brzmiał głucho w mgle, ale nikt prawie nie słuchał. Wszyscy mieli uszy, oczy i serca gdzie indziej.

Zbiegaliśmy prawie z tego stromego bardzo wzgórza, i znowu ten dreszcz denerwujący...

Słońce podniosło się, ten majak wieży, odbicie pewnie, jakby się oderwał od podstaw i unosił przez chwilę nad oparami i chwiał, połyskując szczytami, aż go nowa i ostatnia fala mgieł przysłoniła.

Stanęliśmy wreszcie na ostatniem wzgórzu i stali przez mgnienie wpatrzeni, jak te tumany ściągały się jakimiś warstwami, jak szły skłębione i podarte wgórę, aż przestrzeń czysta została, i wszystkie oczy uderzyły się o tę górę z wieżą na szczycie.

„Marjo!” buchnęło jak płomień z tysięcy piersi, i tyśiące ciał runęło na ziemię z krzykiem radości. Widok ten niby orkan rzucił te wszystkie głowy w proch.

„Matko!” wołały głosy, zduszone radością i uniesieniem, i zaczęły płynąć łzy rozradowania, a oczy płomienieć miłością: wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadało, i nie



było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym.

I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapał wszystkich w jedną bryłę, drgającą w łkaniu, w czucie jedno, wyrwał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia, wszystkie twarde nędze, wszystko, co przecierpieli, i płynął do stóp Tej, którą każde serce widziało, do stóp Dobra i Pocieszenia.

I ta głęboka, boska poprostu przez moc swoją rytmika płaczów, próśb i entuzjazmu długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przeplatała je, niby wicher ognisty, i przekuwała dusze na inną miarę.

Popowstawali, i wszystkie twarze rozstłoneczniły się nagle, spotężniały w wyrazie.

Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechami na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu triumfalne, szerokie jak świat, dzwoniły, niby śpiz serc, i biły nad ziemią pełną wiosny i słońca.

#### b. Legjoniści zbliżają się do Rzymu.

Z Orte do Rzymu jest przeszło dwanaście mil drogi, ale nawet między oficerami, zwłaszcza młodszymi, było wielu takich, którzy, nie znając odległości i nie mając map, sądzili, że lada chwila zobaczą siedem wzgórz i kopuły miasta. Mieli je ujrzyć znacznie później, ale tymczasem zeszli za miastem w dolinę Tybru i szli jego prawym brzegiem, pełni wzniosłych historycznych myśli.— Tyber!... Wiedzieli przecież, że taka rzeka płynie pod Rzymem we Włoszech, było to jednak dla nich dotychczas więcej wyrażenie i pojęcie szkolne. A teraz oto spoglądali na jego mętne, żółte fale, prawie oczom nie wierząc, i niejednen powtarzał sobie w duszy: „Jestem nad Tybrem!” jakby samego siebie chciał o tem upewnić. Wspomnienia szkolne cisnęły im się tłumnie do głowy. Marszerując w szeregu wśród karabinów, opartych o ramiona polskich żołnierzy, i wśród połysków słońca na bagnietach, myśleli o Eneidzie<sup>1)</sup>, Eneaszu, o Lawinji, o okrętach, zmienionych

<sup>1)</sup> utworze poety rzymskiego Publiusza Vergiliusa Marona (70 — 19 r. przed Chr.). Poemat opowiada losy Eneasza, syna bogini We-

w nimfy, i o Turnusie<sup>1)</sup>. Niektórzy, obdarzeni silniejszą pamięcią, deklamowali ku wielkiemu zdziwieniu żołnierzy ustępy z Eneidy, starając się rytmem heksametrów pogodzić z równym, grzmącym marszem szeregu. Wiatr wiał dość silny, przysiginając wierchołki cyprysów; po niebie przelatowały chmurki, zraszając drogę krótko trwającym dżdżem, po którym rozblyskiwało znów jasne słońce. Krajobraz to posępniał, to rozjaśniał się, jakby się śmiał do słońca. Potem chmury uciekły gdzieś nad morze, niebo wyblękitniało, wiatr ustał i uczynił się wielki spokój. Srebrne liście oliwek przestały szemrać nad głowami żołnierzy. Pinje stały na wysokościach bez ruchu, jakby zamyślane. Kompanje rozciągnęły się długim węzłem po drodze i szły w kierunku Borghetto, mając wciąż u stóp Tyber. Rozległy się pieśni polskie, których echo skała odsyła skale, wzgórze wzgórz.

Żołnierze wyteżali wzrok, zawsze w nadziei, że w południowej stronie nieba ujrzą kopułę świętego Piotra, ale do Rzymu było jeszcze daleko, a tymczasem ujrżeli tylko wyszczerbioną Soracte<sup>2)</sup>. Wówczas w myślach Marka Wirgiljusz wraz z Eneaszem zasunęli się napowrót w głębiny wieków, a wysunął się z nich Horacy<sup>3)</sup>. Niektórzy oficerowie poczęli powtarzać nazwę góry, ukazując ją sobie rękoma, czemu dziwili się żołnierze, widzieli bowiem przy przejściu Apenin wynioślejsze i bardziej strome szczyty.

Ale już słońce przeszło w stronę Civitavecchia i zniżało się ku zachodowi. Coraz czerwieniejsze światło oblewało skały przydrożne. Gaje cyprysów przybrały barwę fioletową; wieże kościołów poczęły maścić się purpurą. Wstał znów powiew i szedł od morza, nasycony wilgocią i chłodem. Potem słońce zaszło, i ziemię jał otulać liljowy mrok. Tylko daleka Soracte świeciła długo jeszcze, jakby wielki stos płomienny.

nery, który po zburzeniu Troi przybył do Lacjum, zaślubił córkę króla Latynów, Lawinję, i dał początek rodowi Romulusa, założyciela Rzymu. <sup>1)</sup> Turnus, król Rutulów, narzeczony Lawinji, walczący przeciw Trojańczykom. <sup>2)</sup> sławna w starożytności, Apollinowi poświęcona góra w Etrurji, położona o 5 mil drogi na północ od Rzymu. Na jej szczycie znajdowała się świątynia Apollina, na wschodnim zaś stoku gaj bogini kwiatów Feronji. Horacy śpiewa o niej na początku ody IX ks. I: „Patrz, na Sorakcie, co tam padło śniegu, Aż lasy dyszą pod okiścią zgłęte; Mróz schwylił, i rzeki w biegu stanęły ścięte”. (Przekł. L. Siemieńskiego.) <sup>3)</sup> Horatius Flaccus (65—8 r. przed Chrystusem), liryk i satyryk rzymski.



Rzym obaczyły bataljony polskie dopiero za Monte Rotondo po połączeniu się z temi oddziałami, które szły z Ankonę przez Spoleto. Dywizja wyruszyła z Monte Rotondo o świcie i szła dawną via Salaria <sup>1)</sup>. Ranek czynił się rozkoszny, rosisty, promienny, przesycony zapachem kwiecia mimosy, na niebie nie było ani jednej chmurki, tylko nad ziemią unosiła się jakby złocista mgła, subtelna i przezroczą, która raczej opromieniała, niż przesłaniała skały, wzgórza, drzewa i domy. Nagle woddali ponad tą mgłą rozbłysło coś w czystym błękitcie. Wysoko na niebie zarysowały się kształty kopuły, jakby zawieszone nad ziemią, lekkie, strzeliste, choć nie bodliwe, — zarazem wielkie i wesołe, władne nad całą krainą jakś radosną władzą, potężne, a spokojne i ukojone, złane zaś w tak cudny i nieodzowny ład z okolicą, ze wzgórzami, z majaczącemi szczytami dalszych gór, — iż zdawało się, że tej krainie nigdy nie mogło ich braknąć, i że wraz z nią wyszły one przed wiekami z rąk bożych.

Na ten widok w pierwszych szeregach maszerującej kolumny podniosły się głosy i szły jak echo w głąb, i głębiej aż do ostatniego szeregu, powtarzając dwa słowa:

— Święty Piotr, święty Piotr!

Od strony sztabu dano sygnał. Bataljony stanęły, jak wkopane w ziemię. Wszystkie twarze zwróciły się ku kopule. Nastąpiła cisza, i w tej ciszy, w porannych blaskach patrzyli ci polscy żołnierze z nad Warty, Wisły, Niemna, Bugu i Dniestru na wielki rzymski kościół świata.

Ogarnął ich nastrój całkiem uroczysty. Było między szeregowcami wielu takich, którzy nie umieli czytać i pisać, ale nie było ani jednego, któryby nie rozumiał, że oczy jego patrzą na „moc Bożą”. Mówili im w czasie pochodów o tym kościele oficerowie i sierżanci, wiedzieli więc, że z niego „wiarą płynie”, i że jest on dla wszystkich innych kościołów czy to w Polsce, czy to nie w Polsce tem, czem kokosz jest dla kurcząt. Porównanie to trafiło doskonale do ich umysłów. To też i sami czuli się w tej chwili pisklętami, które idą przytulić się pod skrzydłami kokoszy. Z tego powodu ta daleka

<sup>1)</sup> Via Salaria, droga solna, wiodła z Rzymu na północo-wschód. Nazwano ją tak dlatego, że wywożono nią sól z salin około Ostji, miasta nad ujściem Tybru, do miast sabińskich.

świątynia wydawała im się jakby czemś polskiem, czemś  
swojem, i wraz z podziwem rodziła się w ich sercach do  
niej tęsknota.

a. Wiosenne prace w polu.

§ 29. Słońce weszło pięknie, że świat, kieby tem srebrem, szronami potrażnięty, w ogniach stanął cały, w skrzyniach mokrawych i w chłodnym a rzeźwym poranku. Ptactwo uderzyło w krzyk ogromny, zaszumiły drzewa, zabełtały wody, podniosły się ludzkie głosy, i wiatery, otrząsając krze, roznosił po wsi terkoty, wołania, ryki, dziecinyne śpiewki, co kajś zatrzepotały, i cały ten rwetes i krętaninę wychodzących na robotę.

Na łągach <sup>1)</sup> mgły jeszcze leżały białe kiej śniegi, jeno na wyższych rolach porzedły i słonecznemi biczami pocięte i spędzone dymyły. już kiej z trybularzów <sup>2)</sup> i ku czystemu niebu dały się strzępiastem przedziwem; w szronach leżały jeszcze pola, kuląc się w dośpiku i nabrzmiewając niby paki, a naród zwolna wpierał się wszystkimi stronami w orosiałe, senne zagony, wtopiał się w przesłonecznione tumany i przywierał do poletek w cichości—bo od ziem, od drzew, z sinych dalekości, od wód, błyskających krętowinami, od mgieł i od nieba, wynoszącego rozgorzały krąg słońca—wszystkim światem taka wiosna waliła, i bił taki czad mocy i upojenia, że jaże w piersiach zapierało, jaże dusza się trzęsła w takiej przenajświętszej radości, co to jeno łzami skapuje cichemi, wzdychem się wypowie albo klękaniem przed tym zwieszonym cudem i w najluchszej trawce widomym.

To i mnogi ów naród obzierał się długo dokoła, żegnał pobożnie, pacierze szeptał i w cichości za robotę się brał, że kiej przedzwanieli na mszę, już wszyscy byli na swoich miejscach.

Mgły rychło się rozwiałły, i pola stanęły na słonecznej jaśni, że jak okiem sięgał po lipeckich ziemiach, pociętych pasami zielonych ozimin, wszędy czerwieniały wełniaki, orały pługi, wlekły się brony, wodzone przez dziewczki, gmerały się rzędy kobiet, sadzących ziemniaki, a gęsto po czarnych

<sup>1)</sup> zarosłach na łąkach błotnistych. <sup>2)</sup> ręcznych kadzielnic i kościelnych.



i długich zagonach chodziły chłopcy, przepasane płachtami, pochyleni zdziebko i nabożnym, sypkim rzutem ręki rozsiewali ziarna w spulchnione, czekające role...

Tak zaś wszyscy pracowali gorliwie, głów nawet nie podnosząc, iż ani spostrzegli Dobrodzieja, którego zaraz po mszy jawił się przy swoim parobku, orzącym nade drogą, a potem ku zdumieniu chodził po poletkach, pozdrawiał wesoło, częstował tabaką, komu i papierosa udzielił, temu rzucił jakieś słowo łaskawe, ówdzie dziecińskie głowy przygłądził i z dzieuchami zażartował, indziej zaś to wróble stado, na zasiany jęczmień spadłe, pecyną zgonił, a często pierwszą garść siewu krzyżem błogosławił albo i sam rozrzucił, a wszędy do pośpiechu przynaglał, jakby i ekonom nie poredził lepiej.

I zaraz po obiedzie razem ze wszystkimi do roboty się stawili, objaśniając kobietom, że choć to dzisiaj wypadało święto Marka, ale procesja odbędzie się dopiero w oktawę trzeciego maja.

— Nie pora dzisiaj, szkoda czasu, bo chłopcy drugi raz nie przyjadą pomagać!

Tłumaczył i sam też z pola nie zeszedł aż do samego końca; sutannę podkasał, kijem się wspierał, że to tęgie brzuchomusiał dźwigać, i chodził niestrudzenie, niekiedy jeno przysiadając po miedzach, by pot obetrzeć z łysiny a odzipnąć.

Radzi mu byli serdecznie, iż pod jego okiem robota jakby szła prędzej i lekciej, chłopcy zaś za honor sobie miały, co im sam Dobrodziej ekonomuje.

Słońce już czerwone i pełne nad bory się zwieszało, ziemia gasła, a dale jęły modrzeć, kiej, pokonczywszy co najpilniejsze roboty, zaczęli ściągać do wsi; spieszyli się, bych jeszcze za widoku do dom zdążyć.

#### b. W kopalni węgla.

Ubrani w grube buty, w skórzane kaftany, zapięte na sprzączki, trzymając w ręku mosiężne lampy, w których płonie knot, umaczany w oleju, stanęli w szali <sup>1)</sup>.

W pierwszej sekundzie, kiedy jej deski, stojące narówni z podłogą, drgnęły, Judym doświadczył takiego wrażeń,

<sup>1)</sup> klatce, spuszczonej szybem na łańcuchu albo na sznurze

jakby mu kto ścisnął gardło. Wkrótce przyszło otrzeźwienie, szum w uszach i lekka bojaźń w sercu. Czarne belki, cembrowiny <sup>1)</sup> migały się w oku, niby szeregi jakichś schodów nieskończonych. Gdy szala stanęła, wyszli na korytarz suchy i oświetlony lampkami elektrycznymi. Uwijało się tam mnóstwo ludzi, przychodziły i odchodziły szeregi wozów, ciągniętych przez wyuczone konie. Z tych pierwszych widnych galerij dostali się przez kręte szlaki do maszyn, pompujących wodę. W ich okolicy skończyło się światło. Jedynym jego źródłem stały się kaganki, niesione w ręku. Miejsce było gładkie. Spód korytarza zajmowały szyny. Po nich wędrowały ciągle szeregi wózków z fedrunkiem <sup>2)</sup>, ciągnięte przez konie.

Drzwi, niewidoczne w ciemności, ustawione tu i ówdzie dla skierowania powietrza do tych chodników, gdzie się „nie świeci“, otwierały tajemnicze ręce ludzi zgrzybiałych, którzy na miejscu odźwiernych dokonywują żywota. Inżynier, mijając takie drzwi, rzucił wyraz:

— Glikauf <sup>3)</sup>!

— Glikauf! — odpowiadała ciemność.

Było w tym dźwięku coś ściskającego serce. Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się z mroku wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszkają w grobie, śnią w nim przez resztę dni swoich jak pająki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi, kiedy wejdą w jej zimne łono na „szychtę“ <sup>4)</sup> wieczną. Łańcuch ciemnej niedoli przykuwa ich do miejsca. W starczym drzemaniu widzą pewno ciepłe słońce wiosenne i jasne łąki, kwiatami zasiane..

Korytarze mało różniły się między sobą. Jedne z nich były wykute li tylko w węglu, inne posiadały wręby ze ścianami z cegły, wmurowanemi dla zatamowania ognia i mokrą a sypkiego piasku, który zowią kurzawką. Zwyczajny chodnik o stropie półokrągłym zamieniał się stopniowo na korytarz ze stemplami <sup>5)</sup>, na których leżały kapy <sup>6)</sup>, podtrzymujące rodzaj sufitu, czyli okorki. Te korytarze doprowadziły do brzegu pochylni <sup>7)</sup>, idącej w kierunku upadu <sup>8)</sup>

<sup>1)</sup> ściany drewniane u studni, dołu. <sup>2)</sup> ładunkiem węgla. <sup>3)</sup> Szczęść Boże! <sup>4)</sup> obowiązkowy czas pracy górnika w kopalni. <sup>5)</sup> słupami drewnianymi, służącymi do podparcia w rusztowaniu. <sup>6)</sup> bale pionowe w suficie chodnika w kopalniach. <sup>7)</sup> chodnika, pochyło ułożonego. <sup>8)</sup> pochylenia.



warstw węgla. Zboku czarnej czeluści sunęła się wdół drewniana rynna, po której spychano drzewo. Obok szła stalowa czy żelazna lina, wciągająca wózki.

Ciemność, ciemność gęsta od kwaśnego czadu rozświecał tylko czasem daleki ogień niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble, do tarcic przybite; gdzie indziej szło się po oślizgłej desce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią zimny i wilgotny przeciąg włókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w której przechodzić doświadczał bolesnego niepokoju, jaki wstrząsać musi rybą, gdy się spotyka z gęstymi oknami matni. Szli w jakimś kierunku, który wydawał się stroną prawą, do lochu, dźwigającego się wgórę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię. Wkrótce musieli schylić się w pałąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod niem ledwo mógł się przesunąć wózek z „urobkiem“. Gdzieś, daleko, jakby u szczytu tej góry widać było chodzące z miejsca na miejsce blade żółte światełka. W zakłęsłej komorze, która się nagle znalazła, słychać było pracę kilku ludzi.

— Glikauf! — rzekł Korzecki.

Odpowiedziano chórem przyjaznymi głosami, które dziwne i głębokie zrobiły na Judymie wrażenie.

— Glikauf, glikauf... — mówił po nich i on w głębi duszy.

Górnicy w czarnych „kapach“<sup>1)</sup> i w „bergllederach“<sup>2)</sup> nabijali prochem grubym, jak ziarnka kukurydzy, długie tuleje<sup>3)</sup> papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długimi „laskami“ ze stali o zakończeniach, podobnych do grotów piki. Gdy ładunek został nabity, lont węń włożony i przystemplowany zwierzchu szczelnie gruzem zapomocą stempora<sup>4)</sup>, jak nabój w lufie, — jeden z pracowników zapalił dwa żygadła<sup>5)</sup>, drugi — dwa, trzeci — dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się niby jakieś niebieskawe strugi cieczy, sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru — znikły.

<sup>1)</sup> nakryciu głowy górników w kopalni. <sup>2)</sup> pasach górniczych. <sup>3)</sup> lejki, tutki. <sup>4)</sup> stempla do przybicia ładunku prochowego. <sup>5)</sup> narzędzia do zapalania.

Wówczas drabiny szybko odstawiono, i wszyscy z pośpiechem wyszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerje i komory, dźwigając na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla, hucząc, waliły się za przyległym filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów, biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerje i ciągnął leniwie do przejść, w których się „świeci“. Wdali słychać było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawy ich zapach.

W pewnym miejscu Korzecki przywołał kogoś po imieniu i zostawił go z Judymem, a sam odszedł. Musiał obejrzeć robotę w innej całkiem stronie. Doktor został w ciemności z widmem, trzymającym swą lampę. W sąsiedztwie tego miejsca kilkunastu ludzi zajętych było podstemplowywaniem „piętra“. Chwilę obydwaj z górnikami stali, nic nie mówiąc do siebie. Wreszcie Judym podniósł lampę do góry i zobaczył szczerbią twarz starego człowieka, którego siwe włosy wymykały się z pod „kapy“.

— Co robią tutaj, ojczy? — zapytał.

— A caliznę<sup>1)</sup> wyrabiamy między chodnikami.

— Caliznę?

— Juści. Filar wybieramy. Bierzemy jedno „pojęcie“ za drugim na długość i na szerokość, podpieramy strop słupem — i dalej. Po boku stawia się „organy“... Proszę łaski... pan może i nieznajomy z kopalnią?

— A nie. Pierwszy raz widzę.

— Tak ci...

— Cóż to za organy?

— To zaś są kłody, na sztorc stawiane, żeby służyły tak jakby za ściankę. Zprzodu też od chodnika przy kończeniu „streki“<sup>2)</sup> drugą taką ścianę się buduje, a zostawia się zaś miejsce próżne, niby tak jakby drzwi. A wyrobi się całą strekę i z okruchów się ją wyczyści, to się dopiero te słupy za-

<sup>1)</sup> część pokładu między chodnikami, przeznaczoną do wybrania <sup>2)</sup> drogi, chodnika.



czyzna wyjmać, a inne się tnie toporem. Gdy pracowity górnik usłyszy w cichości największej pierwszy aby maluśki trzask piętka, wtedy kilof<sup>1)</sup> do garści i umykaj z pojęcią! Ziemia się urwie w tem miejscu i rumowiem całe to zawali. Na wierzchu, na górze zawalisko wdół wciągnie, tak jakby lej...

Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ściennom. Gładkie albo chropowate ich płaszczyzny tu i owdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakie klinowe, pracowicie wyryte. Idąc zwolna obok gładkiej ściany, miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę, składała się historia tych czeluści.

Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, niesianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy, w drzewa wybijały, straszne widlaki i inne niewidzialnych form, mistycznej<sup>2)</sup> piękności albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontopterydy, lepidodendrony... Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na pulchnym trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i niewysłowione kwiaty pachniały w czarnem gorącu wieczystych cieniów. Słodkie, upalne lata wyciągały z ziemi pod chmury te pnie i gałęzie, dostępne tylko dla wzroku i skrzydeł; wilgotne, deszczowe zimy zasilają glebę na wieki. Swobodne wichry, w dalekich stepach i śniegach łańcuchów górskich zrodzone, przylatywały bić puszcę, rycząc, jak szczenięta lwie.

Wtedy kołysała w łonie swem pieśń, huczącą na podobieństwo morza. Jakże często trząsał w nią piorun, a huragan ją deptał, łupił i rwał! Dzikie chmury iskrą czerwoną zapalały jej głębie śpiewające. Wtedy gorzała, jak wielki stos. Ale gdy deszcz ustawał, przychodziła wieczność młoda, liljowo-ramienna wiosna, jak dziewczątka, szukające kochanka, i swawolnemi ustami zdmuchiwała pyły roślin w ziemię rozmokłą, marzącą o cieniu konarów. Nowe morze zieleni wylewało się na ten sam grunt, przez który pędziły krzemienne koryta ognia i sprychy jego wozu, tak samo prędkie, jak wichry.

<sup>1)</sup> młot o końcach w kształcie klina. <sup>2)</sup> tajemniczej.

I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara, i rozdzierał ją wrzask, śmierć głoszący, bezlitosnego orła.

Aż oto wielkie jakieś morza, w głębi lądów próżnujące, wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęły z korzeniami olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych, niby flotę okrętów zdruzgotaną i pchały w te zakłęsłe niziny. Tu je niezmierną masą wwały, jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu, zdjętymi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów, na których gałęziach ptaki niezliczone gniazda sobie stały, ustało życie, i począł się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienie zapadniętych warstw, napływy wód i czas, wiekami idący, czynił sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i z wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglanego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam, jedyny, w olbrzymim nadmiarze, nie mający się z czem połączyć, jak samotny duch ciemności. Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samem tysiące lat. W męczarni zraszało się samo ze sobą, tuliło się do siebie, jak byt przeklęty. Z dawnej budowy nic nie zostawił czas długi. Tylko jakby jedyne echo z ojczyzny, gdzie wszystko kwitło, rosło i kochało się w niebiosach, — został nikły rysunek warstw pnia albo odcisk powiewnego liścia w czarnym, żałobnym kamieniu.

Długie prace przyrody, nie dające się myślą ogarnąć, zaczęły i odczynienia człowiek chwyta jako łup swój zapomocą pracy krótkotrwałej, chytrej i ułatwionej. Przychodzi w święte czeluście z bladym płomykiem i krótkim swoim kilofem. Siłą nędznego ramienia wyniesie to, co tu schował ocean. Bierze cały pokład docna, od wychodni do upadku, zgrzebie okruszyny i na świat wyda. Zostawi tylko hałdę<sup>1)</sup> na wierzchu i próżnię w głębinie.

Ziemia nie oddaje swej pracy i swojego dorobku bez walki. Prosta i obojętna jak dziecko, od człowieka uczy się zdrady. Czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, gdy się nie obejrzy. Rozsiewa w jego ko-

<sup>1)</sup> Kupę kamieni i ziem płonnych, z kopalni wydobytych i w pobliżu szybu leżących (niem. Halde).



morach śmiertelne gazy i czeka, jakby w niej biło serce pana puśczonego — tygrysa. Wylewa zaskórne, niewidzialne wody. Spuszcza ciemne jeziora, od wieków nieprzeliczonych kropla po kropli zebrane, a śniące na zimnych granitach. Otwiera podziemne baseny kurzawki, którą zawałiska ruszyły, i gliniastym jej mułem napętnia galerje, pracowicie wykute.

### c. Fabryka cygar.

Numer domu wskazywał właśnie instytucję, której doktor Tomasz poszukiwał. Stwierdził to również clikły i nie-miły zapach tytoniu, który otaczał zabudowania i panował na znacznej przestrzeni ulicy. Judym<sup>1)</sup> wszedł w bramę i zwrócił się do szwajcara z zapytaniem, czyby nie można zobaczyć się z robotnicą, nazwiskiem Judymowa. Stróż nie chciał słuchać o niczem, dopóki nie uczuł w garści czterdziestówki. Pod wpływem tego wrażenia zaczął forsownie myśleć, a wreszcie znikł na chwilę i przyprowadził jakiegoś kapcana<sup>2)</sup>, okrytego pyłem. Ten po długich debatach<sup>3)</sup> kiwnął na Judyma palcem i wprowadził go do wnętrza bocznej oficyny. Proszek tabaki wdierał się tam do nosa, gardła, płuc przychodnia i podwajał szybkość oddechu. Na pierwszym piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet, złożony z jakich stu osób, pochylony nad długimi a wąskimi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensjonalny<sup>4)</sup>, zwijały cygara prędkimi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami, jak kucharki, wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko i misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał, pracujących w upale, w miejscu niskim i ciasnym, przeładowane pyłem startego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy. Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób

<sup>1)</sup> Doktor Tomasz Judym jest bohaterem powieści. <sup>2)</sup> biedaka, niedołęgę. <sup>3)</sup> naradach. <sup>4)</sup> bez troski o wygląd.

pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymać się w tem miejscu i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki obok maszyn, suszących liście, obok młyna, mielącego tabakę, i sieczkarni, krającej różne rodzaje tytoniu — do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała tam szalona praca. Przechodząc, Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą<sup>1)</sup>. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną białą tasiemkę i mota ją sobie na palec. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby wyrzucała je maszyna. Ażeby zrozumieć sens tej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejania każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie według słów przewodnika pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji miazmaty wewnętrzne. Leżały tam w kątach sasiadki grubo kranego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu siedział stary żyd w czapce, zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zakłęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy ćwierć funta, podawała człowiekowi, kołyszącemu się na nogach. Doktor wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znów zrozumieć manipulacje tej czwórki. Było to widok ludzi, miotających się, jakgdyby w drgawkach, w kon-

<sup>1)</sup> opaską papierową, przylepianą do towaru na znak opłaconego podatku.



wulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrii, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudniane, między Judymową a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległoszczienne. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwyciła jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała ją ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomieniu gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał jej z rąk sąsiad mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny, ważącej tytoń, szalkę. Wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i łokiem, odpowiadającym kształtowi blaszanki ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak w ogniu na wzór towarzyszkę z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytoniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej niż dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagłe a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła lecące zawsze do pierwszego punktu, skąd odskakiwały, niby sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopci zowią „sposobem“: <sup>1)</sup>usus<sup>1)</sup>, wypróbowany w krwawym trudzie, szereg środków cudaczych, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą a niezbędną do przebycia linię między dwoma końcowymi punktami pracy.

<sup>1)</sup> łac. zwyczaj.

#### a. Pożar Rzymu <sup>1)</sup>).

§ 30. Mrok począł padać na Rzym, i światła po ogrodzie owym gorzeć zaczęły, a w sadach jego i skrytych galerjach domów błysły lampy wieczorne, rozpały się ogniska, i dźwięk pieśni i chóry biesiadne ozwały. A gromadka chrześcijan stała, przypatrując się widokowi piękności stolicy, i w ciszy modlić się zdawała. A obraz to był wielmożny i straszliwy tej niezmiernej stolicy, jako maleńkie dziecię, ciszą nocną spowitej i wśród pieśni spoczywającej po dziennym trudzie... ale nie na łożu pokoju i wytchnienia — w barłogu rozpusty i swawoli.

Długo tak trwała owa cisza wskrós grodu, przerywana tylko brzękiem cytar, głosem fletów i chórami tanecznic, migotaniem świateł w ciemnościach ubrana... Piotr patrzył i modlił się, jakby już wiedział, co za chwilę stać się miało. Noc i uczty przeciągnęły się do późnej godziny, oni jeszcze stali, czekając, co być miało, bo duch proroczy zwiastował im przygodę wielką.

Wtem od Palatynu<sup>2)</sup> jakby zastęp jakiś mignął w ciemności, niosący pochodnie, i rozbiegał się wśród cieni nocnych, roznosząc płomień po ulicach góry Caelius<sup>3)</sup>, Awentynie<sup>4)</sup> i dalej we wnętrzości grodu.

Nikt z uczujących nie przeczuwał, że płomień Troi groziło stolicy Romula.

Wtem nagle blisko stojących część cyrku, od góry Palatyńskiej i Caeliusowej zażegniona, stanęła w mgnieniu oka oblana płomieniami, które rozdymając, wiatr południowo-zachodni niósł na miasto.

Tu stały sklepy i klecie, i liczne stare domostwa, których dachy i wnętrza łatwą dla ognia mogły być pastwą.

Więc podniosło się płomień chciwe, rozkładając szeroko i szalejąc. A wtem i po innych częściach grodu buchnęły podłożone pochodniami niewolników ognie, i razem niemal cały Rzym stał jakby jednym wielkim stosem, w którego blasku na górze Palatyńskiej wśród kolumn złocistych na wieżycy ukazał się Cezar uwieńczony z lutnią w rękę.

<sup>1)</sup> za Nerona w 64 r. po Chrystusie. <sup>2)</sup> jednego z pagórków, na których był położony Rzym, najstarszej siedziby Rzymu. Później zbudowano tu pałac cesarów. <sup>3)</sup> pagórka na południo-wschód od Palatynu. <sup>4)</sup> pagórka na południe od Palatynu.



„Biegnać z szalonym pędem, pisze Tacyt, pożar począł niszczyć niskie naprzód budowy, potem się rzucił na wznioślejsze, a z nich znowu przypadając ku ziemi, swą szybkością oparł się ratunkowi wszelkiemu. Wzmogło go nagromadzenie domów olbrzymich, ciasne, kręte i nieregularne ulice starożytnego Rzymu, krzyki i narzekania niewiast, słabość starców bezsilnych i dzieci, ścisk wybiegłych mieszkańców, tłoczących się, by siebie lub drugich ratować, wlokących za sobą chorzych, oczekujących na spóźnionych, wstrzymujących się w niepewności, co począć mieli, przeciskających się przez tłumy.

Zamieszanie to nie dopuszczało ratunku tak, że często, gdy przed się patrzali, płomień ich z boków lub z tyłu chwycił, a gdy do sąsiednich usiłowali schronić się części, znajdowali je już pożarte od płomieni, i ogień gnał za nimi w ślady... gdy jeszcze zdało się im, że jest zdala od nich. Wreszcie, nie wiedząc, skąd grozi niebezpieczeństwo, gdzie znaleźć schronienie, lud stał ściśnięty w ulicach, leżał na polach gromadami. Niektórzy stracili wszystko, co mieli, na dzień następny chleba im brakło, inni przez miłość swych rodzin, których śmierci wydrzeć nie mogli, dobrowolnie z rozpaczki rzucali się w płomień. Nikt ich wspierać nie śmiał; dokoła głosy groźne słyszeć się dawały, zabraniające gasić... widziano nawet ludzi, latających i rzucających pochodnie“.

Ten gród potężny w płomieniach, które nawet część palatyńskich gmachów, łączącą augustowe z mecenasowymi ogrodami, pożarły, rycząc rozpaczą na zwaliskach i głosem srogim wzywający pomsty bogów, błagający ratunku daremnie; te świątyn kolumny, wśród ognia jaśniejące, posągi, które wśród dymu i wałących się ścian, jak nieruchoma ludność przeszłości, widniały niezwalczone i martwe, tarany, które mury bliskie Palatynu rozbiły z rozkazu Nerona, by się ich pozbyć co prędzej — zgłębienie straszliwe, zamieszanie chaotyczne, wśród niego z jednej strony Neron, śpiewający upadek Troi, któremu klaskają Augustani <sup>1)</sup>, z drugiej Piotr, zwiastujący zagładę wszechetecznego Babilonu — jakież to pióro obraz ten skreślić potrafi?

I palił się tak Rzym dzień jeden cały, wzeszło słońce czerwone na zgorzeliska, a płomień i dymy unosiły się dalej jeszcze, zaszła noc, na której szacie rozżarzone odbiły się łuny...

<sup>1)</sup> klaskacze i dworacy Nerona.

Pięć dni i pięć nocy żarły ognie pastwę swoją, Neron przypatrywał się nocami i bawił pożarem, jak widowiskiem niezwykłym; a wcześniej już w myśli budował gród nowy na ruinach i pałace na zwaliskach Romułowego i Tarkwinjuszowego miasta.

Aż piątego dnia pożogi przybiegli doń Augustani i poczęli przerażeni opamiętywać szaleńca...

W istocie samemu Cezarowi groziło niebezpieczeństwo, lud dochodził do rozpaczki: widziano niewolników, wypadających z pochodniami z Palatynu, słyszano głosy, zabraniające gasić, byli tacy, którzy Nerona z lutnią na wieżycy dostrzegli, wieść chodziła, że on był podpalaczem... lękano się, aby tłuszcze głodne i zbolełe nie uderzyły na Palatyńską górę i nie wywlokły z niej oszalełego pana swego.

Potrzeba było radzić!

Zawołano do rady Symona Maga <sup>1)</sup>, który nie poto był przyszedł, ale by piękną Helenę <sup>2)</sup> Cezarowi przedstawił.

— Radzić? myśleć? — zawołał — fałszywie zowiący się chrześcijanami Rzym zapalił! oni wnieśli nań pożogę i zniszczenie!... Ludowi to rzucić tylko! uwierz!...

Neron uśmiechnął się, i biała twarz jego zarumieniła się gorączkowo.

Wydano wnet rozkazy, aby ratować nieszczęśliwych i zatrzymać ogień szerszący się, który już był pochłoniął, co Rzym miał najstarszych pamiątek, świątynie, przez królów Rzymu poświęcone bóstwom opiekuńczym, wzniesione za wojen punickich i galijskich, Tuljuszową świątynię Luny <sup>3)</sup>, ołtarz Herkulesowy, Ewandra, Jupitera Statora <sup>4)</sup> Romulusowego, pałac Numpy, świątynię Westy <sup>5)</sup>, penatów <sup>6)</sup> Rzymu...

Były to nieodzyskane straty...

Domostw ubogich i wspaniałych zgorzała liczba niezmierna, a w gruzach ich zakazano odgrzebywać i szukać pozostałych szczątków, bo Cezar sam wszystek ten łup miał zagarnąć. Obiecywał zato odbudować zwaliska i wskrzesić wspanialsze, co ognie strawiły. Ludowi tymczasem otworzo-

<sup>1)</sup> rodem z Samarii. Wspomniany w dziejach apostołskich (VIII, 91), słynął jako czarnoksiężnik, wróg chrześcijan, uważany za antychrysta. <sup>2)</sup> niewolnicę syryjską. Mag twierdził, że w jednym z wcześniejszych żywotów była ona Heleną trojańską. <sup>3)</sup> bogini księżycy. <sup>4)</sup> powstrzymującego ucieczkę zbawcy. <sup>5)</sup> bogini ogniska domowego i państwowego. <sup>6)</sup> duchów opiekuńczych domów i państwa.



no pole Marsowe, dając mu za schronienie pomnik Agryppy, ogrody Palatyńskie i sąsiednie wille Cezara. Z Ostji przywieziono potrzebniejsze sprzęty i śpichrze otwarto dla głodnych.

Siódmego dnia Rzym przedstawiał widok spustoszenia przerażający, jakby po nieprzyjacielskiej napaści, jak po rabunku okrutnym... U stóp Eskwilinu<sup>1)</sup> czarne gruzы rozsypały się i płomień, dymiące jeszcze, świadczyło, gdzie się wstrzymała pożoga.

Jeszcze raz potem ogień z mocą nową wzmógł się i rozdał wśród nocy od Tigellinowych domostw, by znowu przerazić mieszkańców. Pod pozorem gaszenia resztę murów i ścian niezwalonych rozbijano taranami i na ziemię rzucono.

Z czternastu części ówczesnego Rzymu ocalały cztery tylko; trzech śladów prawie nie było, w siedmiu ledwie gdzie sterczały resztki murów i wypadkiem o swej sile jeszcze wznoszące się kolumny ogorzałe, spękane, czarne.

#### b. Pożar Rzymu.

Łuna od palącego się miasta zalała niebo tak szeroko, jak wzrok ludzki mógł sięgnąć. Z za wzgórz wytoczył się księżyc wielki i pełny, który rozgorzał wnet od blasku i, przybrawszy barwę rozpalonej miedzi, zdawał się ze zdumieniem spoglądać na ginący gród światowładny. W zaróżowionych przepaściach nieba świeciły również różowe gwiazdy, lecz w przeciwieństwie do zwykłych nocy ziemia jaśniejsza była od niebios. Rzym oświecał nakształt olbrzymiego stosu całą Kampanję. Przy krwawym blasku widać było dalsze wzgórza, miasta, wille, świątynie, pomniki i akwedukty<sup>2)</sup>, biegnące ze wszystkich okolicznych gór ku miastu, na akweduktach zaś roje ludzi, którzy schronili się tam dla bezpieczeństwa lub dla przypatrywania się pożarowi.

Tymczasem straszny żywioł obejmował coraz nowe dzielnice. Nie można było wątpić, że jakieś zbrodnicze ręce podpalają miasto, gdy coraz nowe pożary wybuchały w miejscach, od głównego ogniska odległych. Ze wzgórz, na których Rzym był zbudowany, płomienie spływały nakształt fal morskich na doliny, szczelnie zabudowane domami, liczącymi po pięć i sześć pięter, pełne bud, kramów, drewnianych

<sup>1)</sup> pagórek na północo-wschód od Palatynu. <sup>2)</sup> wodociągi.

ruchomych amfiteatrów, zbudowanych przygodnie na rozmaite widowiska, i wreszcie składów drzewa, oliwy, zboża, orzechów, szyszek pinij, których ziarnem żywiła się uboga ludność, i odzieży, którą czasem z łaski cesarów rozdawano hałastrze, gnieźdzącej się po ciasnych zaułkach. Tam pożar, znajdując dostatek palnych materiałów, zmieniał się niemal w szereg wybuchów i z niesłychaną szybkością ogarniał całe ulice. Ludzie, obozujący za miastem lub stojący na wodociągach, odgadywali z barwy płomienia, co się pali. Szalony pęd powietrza wynosił chwilami z ognistej toni tysiące i miliony rozżarzonych skorup od orzechów i migdałów, które wzbijały się nagle wgórę, jak nieprzeliczone stada jaśniejących motyli — i pękały z trzaskiem w powietrzu lub, gnane wiatrem, spadały na nowe dzielnice, na wodociągi i na pola, otaczające miasto. Wszelka myśl o ratunku wydawała się nedorzeczną, zamieszanie zaś wzrastało coraz bardziej, gdy bowiem z jednej strony ludność miejska uciekała wszystkimi bramami za mury, z drugiej pożar przywabił tysiące ludzi z okolicy, tak mieszkańców małych miast, jak chłopstwa i nawpół dzikich pasterzy z Kampanji, których znęciła także nadzieja rabunku.

Okrzyk: „Rzym ginie!“ nie schodził z ust tłumu, zguba zaś miasta wydawała się w owych czasach zarazem końcem władztwa i rozwiązaniem wszelkich węzłów, które aż dotąd łączywały ludność w jedną całość. Tłuszcza też, w której większości ludzi, złożonej z niewolników i przybyszów, nie zależało nic na panowaniu Rzymu, a którą przewrót mógł tylko uwolnić od pęt, przybierała tu i owdzie groźną postawę. Szerzyła się przemoc i grabież. Zdawało się, że jedynie samo widowisko ginącego grodu przykuwa uwagę ludzką i powstrzymuje jeszcze wybuch rzezi, która rozpocznie się natychmiast, jak tylko miasto zmieni się w zgłiszcz. Setki tysięcy niewolników, zapominając, że Rzym, prócz świątyń i murów, posiada jeszcze kilkadziesiąt legij we wszystkich stronach świata, — zdawały się tylko czekać hasła i wodza. Poczęto wspominać imię Spartakusa<sup>1)</sup>, — lecz Spartakusa nie było, — natomiast obywatela jęli się skupiać i zbroić, czem kto mógł. Najpotworniejsze wieści krążyły po wszystkich

<sup>1)</sup> wodza gladiatorów i niewolników, zbuntowanych przeciw Rzymowi (73—71 r.).



bramach. Niektórzy twierdzili, że to Wulkan <sup>1)</sup> z rozkazu Jowisza niszczy miasto ogniem, wydobywającym się z pod ziemi: inni, że to jest zemsta Westy za westalkę Rubrję <sup>2)</sup>. Ludzie tak przekonani nie chcieli nic ratować, natomiast, oblegając świątynię, prosili o zmiłowanie się bogów. Lecz najpowszechniej powtarzano, iż Cezar kazał spalić Rzym dlatego, by się uwolnić od zapachów, zalatujących od Subury <sup>3)</sup>, i by wybudować nowe miasto pod nazwiskiem Neronji. Na tę myśl wściekłość ogarniała ludzi, i gdyby... znalazł się przywódca, któryby chciał skorzystać z tego wybuchu nienawiści, godzina Neroni byłaby wybiła o całe lata wcześniej.

Mówiono również, że Cezar oszalał, że każe pretorjanom i gladiatorom uderzyć na lud i sprawić rzeź ogólną. Niektórzy przysięgali na bogi, że zwierzęta ze wszystkich wiewarów <sup>4)</sup> zostały z polecenia Miedzianobrodego wypuszczone. Widziano na ulicy lwy z płonącymi grzywami i rozszalałe słonie i tury, tratujące gromadami ludzi. Była w tem nawet część prawdy, gdyż w kilku miejscach słonie na widok zbliżającego się pożaru, rozwały wiewarja i, wydostawszy się na wolność, gnały w dzikim popłochu w stronę od ognia przeciwną, niszcząc wszystko przed sobą jak burza. Wieść publiczna podawała na dziesiątki tysięcy liczbę osób, które zginęły w ogniu. Jakoż zginęło mnóstwo. Byli tacy, którzy, straciwszy całe mienie lub najdroższe sercu istoty, dobrowolnie rzucali się z rozpaczą w płomienie. Innych uduśiły dymy. W środku miasta, między Kapitołem <sup>5)</sup> z jednej, a Kwirynalem <sup>6)</sup>, Viminalem <sup>7)</sup> i Eskwilinem <sup>8)</sup> z drugiej strony, jak również między Palatynem a wzgórzem Caelius, gdzie były najgęściej zabudowane ulice, pożar wszczynął się w tak wielu miejscach naraz, że całe gromady ludzi, uciekając w jedną stronę trafiały najniespodziewaniej na nową ścianę płomienia ze strony przeciwnej i ginęły straszną śmiercią wśród ognistego zalewiska.

W postrachu, zamęcie i obłąkaniu nie wiedzano wreszcie, gdzie uciekać. Drogi były zawałone rzeczami a w wie-

<sup>1)</sup> bóg ognia. <sup>2)</sup> która towarzyszyła Neronowi na uczcie u Tygellina. <sup>3)</sup> ulicy na północo-wschód od Palatynu, zamieszkaanej przez handlarzy, przekupniów, ubogich. <sup>4)</sup> zwierzyńców <sup>5)</sup> wzgórzem na północo-zachód od Palatynu. <sup>6)</sup> wzgórzem na północ od Palatynu. <sup>7)</sup> na północo-wschód od Palatynu. <sup>8)</sup> na wschód od Palatynu.

lu ciasnych miejscach wprost zamknięte. Ci, którzy chronili się na rynki i place, w miejscu, gdzie później stanął Amfiteatr Flawjański, koło świątyni Ziemi, koło portyku Liwji i wyżej koło świątyń Junony i Lucyny <sup>1)</sup>, oraz między Clivius Vibrius a starą bramą Eskwilińską <sup>2)</sup>, otoczeni naokoło morzem ognia, pogrążyli od żaru. W miejscach, do których płomień nie doszedł, poznajdowano później setki ciał, spieczonych na węgiel, choć tu i owdzie nieszczęśliwi wyrwali płyty kamienne i dla ochrony przed żarem zagrzebywali się do połowy w ziemię. Żadna prawie z rodzin, zamieszkujących środek miasta, nie ocalała w zupełności, dlatego wzdłuż murów i wszystkich bram, i na wszystkich drogach słychać było wycia rozpaczliwe kobiet, wywołujących drogie imiona zaginionych w tłoku lub ogniu.

I tak, gdy jedni zebrali u bogów miłosierdzia, drudzy bluźnili im wobec tej straszliwej klęski. Widziano starców, zwróconych w stronę świątyni Jowisza Liberatora <sup>3)</sup>, którzy, wyciągając ręce, wołali: „Jesteś wybawcą, wybaw twój ołtarz i miasto!“ Rozpacz jednakże zwracała się głównie przeciw starym rzymskim bogom, którzy w pojęciu ludności obowiązani byli czuwać troskliwiej od innych nad grodem. Okazali się bezsilni, więc uragano im. Natomiast zdarzyło się, że gdy na via Asinaria <sup>4)</sup> ukazał się zastęp kapłanów egipskich, przeprowadzający posąg Izidy <sup>5)</sup>, który uratowano z świątyni, leżącej w okolicy Porta Caelimontana, tłum rzucił się między orszak, przyprzągł się do wozu, przyciągnął go aż do bramy Apijskiej <sup>6)</sup> i, porwawszy posąg, umieścił go w świątyni Marsa, poturbowawszy zarazem kapłanów tego bóstwa, którzy ośmielili się stawić opór. W innych miejscach wzywano Serapisa <sup>7)</sup>, Baala <sup>8)</sup> lub Jehowę, którego wyznawcy, wyroiwszy się z zaułków w okolicach Subury i z Zatybrza, napełniali wrzaskiem i wołaniem pola, leżące pod murami. W krzykach ich brzmiały jednakże tony jakby triumfu, dlatego też, gdy jedni z mieszkańców przyłączali się do chóru, ślawiąc „Pana świata“, drudzy, oburzając się tym radosnym

<sup>1)</sup> Lucyna, przydomek Junony. <sup>2)</sup> Wzmiankowane miejsca znajdowały się między Palatynem i wzgórzami: Caelius, Viminalem, Eskwilinem. <sup>3)</sup> wybawiciela. <sup>4)</sup> na wschód od Palatynu. <sup>5)</sup> bogini staroegipskiej, której kult przedostał się do Rzymu. <sup>6)</sup> na południo-wschód od Palatynu. <sup>7)</sup> bóstwo egipskie. <sup>8)</sup> bóstwo semickie.



zgiełkiem, usiłovali go potłumić przemocą. Gdzie niegdzie słyszano śpiewane przez mężczyzn w sile wieku, starców, kobiety i dzieci, pieśni dziwne i uroczyste, których znaczenia nie umiano pojąć, ale w których powtarzały się co chwila słowa: „Oto nadchodzi sędzia w dniu gniewu i klęski“. Tak to ruchliwa i bezsenna fala ludzka otaczała nakształt wzburzonego morza płonące miasto.

Lecz nic nie pomagała ni rozpacz, ni bluźnierstwa, ni pieśni. Klęska zdawała się być nieprzepartą, zupełną i nieubłaganą, jak Przeznaczenie. Koło Amfiteatru Pompejusza zapaliły się składy konopi i lin, których potrzebowano mnóstwo do cyrków, aren i do wszelkiego rodzaju machin, używanych przy igrzyskach, a zarazem przyległe budynki, zawierające beczki smoły, którą smarowano liny. Przez kilka godzin cała ta część miasta, za którą leżało pole Marsowe<sup>1)</sup>, świeciła tak jasno-żółtym płomieniem, że nawpół przytomnym z przerażenia widzom wydawało się przez czas jakiś, iż przy powszechnej zagubie porządek dnia i nocy został również pomieszany, i że widzą blask słoneczny. Lecz potem krwawy jednolity blask pokonał wszystkie inne barwy płomieni. Z morza ognia strzelały ku rozgorzałemu niebu jakby olbrzymie fontanny i słupy płomienia, rozwiewając się w górze w ogniste kiście i pióra, wiatr zaś porywał je, zmieniał w złote nici i włosy skier i niósł hen, nad Kampanją aż ku górom Albańskim. Noc stawała się coraz widniejsza; samo powietrze zdawało się być przesiałe nie tylko blaskiem, ale i płomieniem. Tyber płynął żywym ogniem. Nieszczęsne miasto zamieniło się w jedno piekło. Pożar ogarniał coraz większe przestrzenie, brał szturmem wzgórze, rozlewał się po równinach, zatapiał doliny, szalał, huczał, grzmiał.

#### a. Nad Niemnem.

§ 31. Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie kwitło, jaśniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały z nad pól, porośniętych zielonym zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów nad równiną w go-

<sup>1)</sup> Na północ od Palatynu.

racem powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejącymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna, piaszczystą ścianą wyrastający z zieleności ziemi, a koroną ciemnego boru oderznięty od błękitnego nieba, ogromnem półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzie niegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole. Dnia tego w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobróczy złotej, przepasanej, jak purpurową wstęgą, tkwiącą w niej warstwą czerwonego marglu.

Na świetnym tem tle w zmieszanych zdala zarysach rozpoznać można było dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu małych dworków. Był to razem z brzegiem rzeki zginający się nieco w półkole sznur siedlisk ludzkich większych i mniejszych, wychylających ciemne profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami w powietrzu czystym i spokojnem wzbijały się proste i trochę skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca, jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złoćistość słomy z błękitem nieba i zielenością drzew.

Równinę przerzynały drogi białe i trochę zieleniejące od porastającej je rzadka trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przebiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny i smolek. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białały bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, stały się po drzewach fioletowe rohule, żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki i kurza ślepota, liljowe skabjozy polne wylewały ze swoich stulistnych koron miodowe wonie, chwiały się całe lasy delikatnej mietlicy, kosmate kwiaty babki stały na swoich wysokich łodygach, rumianością i zawadjacką postawą stwierdzając im nadaną nazwę kozaków.

Za temi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już osypane drzącymi różkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane, stały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyny; puchem też, zda



się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzie niegdzie kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołemi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owsów i jęczmion.

#### b. Obrazek leśny.

W lesie, w głębokim lesie na obszernej polance stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z okraglaków, mchem utykanych w spojeniach, obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana, krzywa, zapadła, z wodą, pokrytą zieloną rzęsą.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciami, jakby rojem motylów; między słonecznikami pstrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różanem i lila, w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade, bo przygluszone i siwemi liśćmi słoneczników i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu po obu stronach drogi do chaty posiane były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej w osobnych opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartoflanej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna o długich cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porośły dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwał na dach, wówczas mogło się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhworu i gruchań, i wabienia się, i niby próśb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jakiś nieznany strach; wówczas koło chaty zerwał się szum skrzydeł, powietrze zaroilo się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt i szum, i warkotanie sterówek. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się, i oddalał; to się rozplýwał w błękicie, to błysnął pod słońce białemi piórami, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków, na szary słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas w blaskach powietrza gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki róży, padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichło zwolna rozhwor pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, sennie, a wreszcie cichło wszystko — mrok padał z nieba na ziemię; chata, czereśnie i brzozy zacierają się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały mgłą, podnoszącą się z jeziora.

Okolo polanki bowiem, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu i, idąc wdał naksztalt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłókiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi koniec jego prawie że ginął w oddaleniu, i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach, wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościółka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościółkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze niby w zwierciadle, więc, zdało się, drugi las jest w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze, kiedy szumiął na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni każda igielka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko — w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy,



a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami sklepienie niebieskie, ze słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

### c. W drodze na Zawrat.

Bliskość Zawratu zaczyna niecierpliwić. Gromada traci spójnię, porządek, nie pilnuje się przewodników ani szeregów. Kto ma lepsze nogi i płuca, wydziera się naprzód, i kiedy jedni wloką się gdzieś na dole, jak małe mrówki, drudzy są już na wysokim progu ponad stawem, w jakimś kraju podbiegunowym.

Ledwie dostrzegalny ślad perci<sup>1)</sup> prowadzi po złomach skał zwietrzałych wgórę, stromo tak, że już można czasem pomagać sobie rękoma.

Przed nami wstają okropne, potargane, czarne, olbrzymie, gdzieś na niebo zachodzące ściany turni<sup>2)</sup>. Za nami, w dole, leży staw Czarny, okolony poszarpanymi skałami, wśród chropowatej, porwanej parowami, zarzuconej nastroszonymi głazami, pustyni, jak wielki pokrowiec z atlasu granatowego ze stalowym odbłyśkiem.

Gładka, równa i miękka jego toń jest tak inną, tak różną od chropowatego, twardego, najeżonego otoczenia, że nie można się nigdy z tym kontrastem oswoić, nie można bez podziwu i przyjemności przenosić wzroku z jednego zjawiska na drugie. Wrażenie, które się odbiera, wywołuje wspomnienie jakiejś muzyki, kołyszącej i budzącej umysł naprzemian dwoma różnymi motywami melodji, powtarzającymi się kolejno bez końca... Słyszałem taką muzykę, nie wiem czyją, może Beethovena, której można było słuchać bez przerwy, całymi wieczorami, jak tu patrzeć, gdyby nie trzeba było iść dalej i wyżej...

Przez płat śniegu, łączący między dwoma poczerniałymi odłamami skały, wchodzimy w kotlinę, otoczoną dokoła pustynnami, ciemnymi ścianami, rumowiskami skał zgruchotanych, wielkimi głazami, oderwanymi od szczytów. Jest to zupełna dzicz kamiennej pustyni, ledwie gdzie niegdzie przerywana bladą zielenią upłazków<sup>3)</sup> i suchymi porostami.

<sup>1)</sup> stromej ścieżki górskiej. <sup>2)</sup> nagiej skały, strzelającej nad poziom. <sup>3)</sup> miejsc, porośniętych trawą.

Zewsząd zbliżają się ku sobie wielkie turnie, czarne, żłobkowane drogami wód, ciągnącymi się pionowo z góry na dół, jak pełznące po cielsku góry węże. Od strony północnej czarna skała zachodzi w górę, zasłania świat zimna, bezpłodna i surowa. Od południa słońce zamienia granitowy mur w jakąś przezroczystą zasłonę tak lekką, iż się zdaje, że ją wiatr uniesie. Ślizgające się promienie czepią się występów skały, błyszczą w źródłiskach jak w diamentach, wszystkich w gazę oparu przejrzystego; cienie od turni szczybatych fałdują błękitnawymi smugami subtelną tkankę światła, unoszącego się w powietrzu.

Po ciemnych żłebach<sup>1)</sup> leżą białe płyty śniegów, gdzie niegdzie słońce rzuca na nie blask ślepiący, a niebo barwi cienie na ciemny szafir.

Zapadły w głębokie zręby granitu, dysze chłodem Zmarzły stawek. Ponad ciemno-seledynową jego wodą wyzierają białe jak śnieg odłamy skał.

Z pod nadbrzeżnych głazów, pokrytych rudami mchami, wycieka zimna struga i z dźwiękiem szklanym spada na powierzchnię ciemnej wody.

Tak muszą wyglądać szczeliny fiordów i ostatnie krańce Laponji. Czuć tu, że jesteście blisko tych miejsc, gdzie „zima siedzi“...

### a. Potok górski.

§ 32. Jeżeli komu jest bezwzględnie dobrze w Zakopanem, to dzieciom. Szczególnie tym biedakom, którym się zdarzyło urodzić i żyć w miastach, w wielkich rojowiskach ludzi, wśród ciasnych, brudnych, dusznych i cuchnących ulic.

Tutaj jest dla nich raj prawdziwy. Otoczenie, które oddziaływa równie dodatnio na ich zdrowie, na rozwój sił fizycznych, jak i na umysł.

Ta natura górską tak potężna, niezwykła, wyrazista, przykuwa ich uwagę, roznieca wyobraźnię, kładzie na ich wrażliwej myśli obrazy jasne, konkretne, dobitne,—uczy ich i bawi lepiej, niż ciasny, zapakowany między czterema ścianami miejski ogródek freblowski z jego wszystkimi przyrządami do uprawy umysłu.

<sup>1)</sup> podłużnych wyżłobieniach na stokach.



Same potoki tylko są już dla nich źródłem ciągłego, wielkiego interesu, przedmiotem nieustannych badań i zabawy.

Ta woda wesoła, wściekła, pienia się, jasna i przezroczysta, która gdzieś spieszy, dokądś pędzi z tajemniczym pośpiechem, zdaje się być żywą i obdarzoną świadomością swego życia i celów.

Wypada oto z za jakiejś krawędzi skalnej, rzuca się pomiędzy głazy, okrąża je, pieni się, kipi, zła i niecierpliwa, ciska w powietrze kryształowe blaski i perłowe piany.

Dalej trafia na gładką, mało pochyloną równinę i płynnie cicha, przezroczysta, śmiejąca się dołkami wirów, zaczepiając obwisłe gałązki świerków i potrącając badyłami trawy—nagle ziemia się pod nią urywa, i cała jej masa, porwana jakąś siłą fatalną, ciska się w przepaść, jakżeby z zamkniętymi oczyma, rozбивa się w pianę, w smugi i nici białe, w kurz i parę... I znowu porywa się z upadku, wybucha wielką falą; przerzuca się przez zawałające jej drogę głazy i ginie w jakichś wielkich ustach z kamienia, ciemnej czeluści podziemi, w tajemniczych światach, ukrytych we wnętrzu gór.

#### b. Niemen.

Justyna czwarty już raz dnia tego widziała Niemen w coraz to innej postaci.

Naprzód ciężkimi chmurami był podszyty, a z powierzchni, wybuchającą promienistymi ognikami światła i skrzydłami jaskółek muskana; potem wzburzony, ponury, wzdęte fale i białe piany toczący, z wlokąciami się w deszczowej zawiei żółtymi płyty<sup>1)</sup> i chyżo mknącym stadem czarnych czółen; potem jeszcze po burzy najczystszy błękitem i złotem płynący, w złote dymy ubrany, z poważnym nad sobą chórem śnieżnych wron morskich i płochliwą gromadą atłasowych rybitew; teraz, pozornie nieruchomy, stał się on w dole wstęgą, na dwa podłużne pasma przeciętą: głęboko czarne pod długim cieniem boru, a z drugiej strony ciemno-stalowe.

W tym pasie roztopionej stali nie błyskały odbicia gwiazd, dymnemi strzępiastymi obłokami przysłaniane, ale natomiast ślizgały się po nim blade połyski, i wypływać nań

<sup>1)</sup> tratwami.

poczęły czerwone, jaskrawe, zdaleka kształt okrągły mające, ognie. Z pod stóp wysokiej góry wysuwały się one na różnych punktach, aż zrzadka uszykowanym szeregiem rzekę usiały. Gdy płynąć zaczęły, rozpoznać było można, że były to płomienie, rozniecone na drobnych czółnach i przez siedzących przy nich ludzi wciąż podsycane.

Sunęło się ich ze dwadzieścia. W głębokim dole po nieruchomej z pozoru rzece płynęły bardzo powoli, powoli też ich odbicia kołysały się w ciemnej toni, a w blasku ich zaczerwienione profile ludzkich postaci i twarzy z wypukłością rzeźby i zarazem widmową tajemniczością odrzynały się od ciemnego tła nocy i przestrzeni.

Lecz najdziwniejszem i prawie fantastycznie wyglądającym zjawiskiem była jakaś mgła gęsta, która niepojętem množstwem drobnych, jakby śniegowych płatków osypywała czółna i siedzących w nich ludzi, często blask ogniów białą niby parą przyćmiewając.

W powietrzu jej nie było, nie było też na przestrzeniach, rozdzielających czółna; nie wiedzieć, skąd się brała. Jednak wkrótce widocznem się stało, że składały ją niezliczone roje śnieżnych, malutkich motyli<sup>1)</sup>, które na skrzydłach, jakby z krepki utkanych, wylaływały z wody. Może było ich tyle, ile ziarn piasku na dnie Niemna, w którego głębiach zrodzone, opuszczały swój żywioł rodzinny, aby z żądzą niepowściągniętą i nieścignioną chyżością wpadać w blask i upaść płomieni. Podstępni rybacy z żywymi ruchami ramion cicho, szybko zgarniali do worów tę skrzydlatą zamieć, która ich głowy, odzież, czółna okrywała białością śniegu.

Cicho, bardzo powoli, bez najmniejszego odgłosu, któryby trwożliwe stworzenia wodne mógł spłoszyć i odstręczyć, nawet bez plusku wiosła, czerwone ognie i siedzące przy nich zaczerwienione profile ludzkie płynęły zdala od siebie w ciemnej przestrzeni po ciemnym szlaku rzeki, aż całą jego widzialną długość zajęły.

Cicho było wszędzie: pod niebem, w powietrzu, na ziemi i na wodzie: tylko w górze, gdzieś nad drzewami wysoko wzbite i w ciemności niewidzialne brzęczały roje nadnie-meńskich muszek. Było to brzęczenie monotonne, nieustanne, metaliczne; zdawać się mogło, że wydawała je z siebie struna,

<sup>1)</sup> jacycy, jętki długoogonowej.



rozciągnięta i drżąca pomiędzy usianą płomienistemi punktami ciemną wstęgą rzeki a niebem, pod którym wisały obłoki, do rozwiewających się dymów lub podartej krepy podobne.

a. Staw w nocy.

§ 33. Wolno wypłynął księżyc na firmament bez skazy. Skroś rozległej powierzchni stawu strzeliła pręga ognista, drżąca, jakoby droga daleka, grubem szczerzłotem wysłana do onego przedwiecznego kraju gór. Solenna cisza nocy stała nad tym szlakiem, płonącym w nocnej głębi. Olchy wybujałe schylały się ku niej z pod nieba, patrząc weń przerażonemi gałęzmi. Nadbrzeżne wierzby, stojąc w promieniu księżycy, odbiły w wodzie wizerunki swoich pniów strupieszających z zielonemi głowami. Ani jeden wietrzyk nie dotknął wody, ani jeden powiew nie udźwignął schylonych mieczów tataraku. Chwilami lustrzaną toń rozdzierały ostre skrzela grzbietowe okonia. Wrzynały się jak piła w złocistą drogę. Kiedy niekiedy plusnęła płotka, igrając z radosnym blaskiem księżycy. Cieszyła się, gdy szły do niej wolno, rytmicznie a jakby przez sen kręgi lekkie, nicestwiejące, obciążone grubem falistem złotem, i zniknęła w żywiole ciemności. Widać było muchy wodne na szczudlastych nogach z wielkimi stopami, depczące jedwabną głębinę, i daleki, daleki kwiat lilji wodnej, nieruchomo śpiący na brzegu szerokiego liścia. Kropla rosy nocnej świeciła się w złotym lilji kielichu, jak żywa gwiazda.

Czasem z zarośli, z szuwarów, z gąszczów olszowych wydobywał się nieuchwytny głos, echo radości, rozkoszy, rozpacz, walki, głos niewiadomo czyj... Czasem zlatująca woda wydała dźwięk głębszy, który przepłynął okrąg i coś mu nakazywał czy głośił. Słuchacze nadstawili uszu, żeby pochwycić jakowyś szmer z pod fal... Ale już wówczas cisza była wszędy aż do następnego momentu, kiedy znowu we śnie westchnie woda...

b. Staw o świcie.

Stanęli obaj w otwartym oknie.

W dole tuż za płotem ogrodu widać było skroś gałęzi uśpiony staw. Z wód jego białoniebieskich, jak stał, zsiniała od

ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu, opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale, nim ode szły, stały nad nią, jakgdyby w modłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taka właśnie jest nieskończoność. Ale światłość, zdala nadchodząca, pokropiła hyzopem cienie, i na jej wszechwładny znak woda samotna została w dole, a mgły porzuciły jej łono. Zwijały swe cudne, powłóczyste szaty, rozszerzały przezrocyste skrzydła i, mdlejąc, wijąc się z żalu, zginęły w błękicie. Tam, gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych siostry ich śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na płycie wybrzeżu wody były różowe, jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem na płaskim wzgórku stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniąca zasiewem jarego żyta, które już w niwę, żyjącą własnym żywotem, zmieniać się poczęło.

Piotr objął Rafała wpół lewą ręką. I Rafał nieśmiało ogarnął brata również ramieniem. Umilkli. Nieruchomo przetrwali owe świtanie, patrząc się w cudne wody, w niewysłowioną barwę niebios, która zwolna płonąć zaczynała, w żywe jej odbicie na nieruchomych odmętach. Było tak cicho, że wzajem słyszeli, jak życie w każdym z nich płynie...

a. Drzewa polskie i polskie niebo.

§ 34. Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach, Morskich szumach i wiatrach wonnych, i skał szczytach,

Mieszając tu i ówdzie podróznym zwyczajem Śmiech i uraganie się nad ojczystym krajem. A przecież wokół nich ciągnęły się lasy Litewskie, tak poważne i tak pełne krasyl Czeremchy, opłatane dzikich chmielów wieńcem, Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem, Leszczyna jak menada<sup>1)</sup> z zielonemi berły,

<sup>1)</sup> kobieta z orszaku Dionizosa (Bachusa), trzymająca w ręce laskę, owiniętą winogradem.



Ubraniemi jak w grona w orzechowe perły;  
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,  
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.  
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,  
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce  
Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona  
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona  
Wysmukłością kibici i barwy powabem:  
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym, grabem.  
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki,  
Patrzą, siedząc w milczeniu: tu sędziwe buki,  
Tam matrony topole i mchami brodaty  
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,  
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,  
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.  
Pan Tadeusz kręcił się, nudząc niepomału  
Długą rozmową, w której nie mógł brać udziału;  
Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje  
I wyliczać z kolei wszystkich drzew rodzaje,  
Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,  
Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,  
Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,  
Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,  
Tadeusz nie przestawał dąsać się i zżymać,  
Na koniec nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia—  
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:  
„Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie  
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie  
I na południu, w owej pięknej włoskiej ziemi.  
Któżże równać się może z drzewami naszymi?  
Czy aloeś z długimi jak konduktor pałki?  
Czy cytryna, karlica z złocistemi gałkami,  
Z liściem lakierowanym, krótką i pękłą,  
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata?  
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy,  
Co zdaje się być drzewem nie smutku, lecz nudy?  
Mówią, że bardzo smutno wygląda na grobie.  
Jest to jak lokaj Niemiec we dworskiej żałobie,  
Nie śmiejący ręk podnieść ani głowy skrzywić,

Aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić.  
Czyż nie piękniejsza nasza pocziwa brzezina,  
Która, jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,  
Lub wdowa męża — ręce załamie, roztoczy  
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy?  
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!  
Czemuż pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,  
Nie maluje drzew naszych, pośród których siedzi?  
Prawdziwie, będą z pana żartować sąsiedzi,  
Że, mieszkając na żyznej litewskiej równinie,  
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie“:  
„Przyjacielu! — rzekł Hrabia. — Piękne przyrodzenie  
Jest formą, tłem, materją, a duszą natchnienie,  
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,  
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.  
Niedość jest przyrodzenia, niedosyć zapału;  
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!  
Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się!  
Dowiesz się o tem wszystkiem z książek w swoim czasie.  
Co się tyczy malarstwa: do obrazu trzeba  
Punktów widzenia, grupy, ansamblu <sup>1)</sup> i nieba,  
Nieba włoskiego! Stąd też w kunszcie pejzażów  
Włochy były, są, będą ojczyzną malarzów.  
Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle,  
Ale pejzażyści (bo są dwaj Brejgele <sup>2)</sup>),  
I oprócz Ruisdala <sup>3)</sup>, na całej północy  
Gdzież był pejzażysta który pierwszej mocy?  
Niebios, niebios potrzeba“. — „Nasz malarz Orłowski <sup>4)</sup>—  
Przerwała Telimena — miał gust soplicowski.  
Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,  
Że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba.  
Orłowski, który życie strawił w Peterburku,  
Sławny malarz, (mam jego kilka szkiców w biurku),

<sup>1)</sup> zgodności i harmonji całości z artystycznego punktu widzenia.  
<sup>2)</sup> Piotr Breughel (1525—1569) malował sceny z życia chłopów holenderskich, syn jego, Jan, (1568—1625), malował krajobrazy, ożywione scenami mitologicznymi lub rodzajowymi. <sup>3)</sup> Jakób von Ruisdael (1628—1682), malarz holenderski, jeden z najznakomitszych pejzażyistów świata. <sup>4)</sup> Aleksander Orłowski (1777—1832), znakomity malarz rodzajowy, historyczny i sztycharz. Do Petersburga wyjechał z Polski w r. 1802 i bawił tam już do śmierci.



Mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w raju,  
A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił do kraju.  
Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,  
Wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy..."

"I miał rozum! — zawołał Tadeusz z zapalem. —  
To państwa niebo włoskie, jak o niem słyszałem,  
Błękitne, czyste — wszak to jak zamarzła woda!  
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?  
U nas dość głowę podnieść — ileż to widoków,  
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!  
Bo każda chmura inna. Naprzykład jesienna  
Pełźnie, jak żółw, leniwa, ulewą brzemienią,  
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,  
Jak rozwite warkocze: to są deszczu strugi.  
Chmura z gradem jak balon szybko z wiatrem leci,  
Kragła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci.  
Szum wielki słycać wkoło. Nawet te codzienne,  
Patrzcie, państwo, te białe chmurki jak odmiennel  
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,  
A ztyłu wiatr jak sokół do kupy je pędzi:  
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!  
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,  
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie  
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie,  
Wszystkie białe, jak srebro; zmieszały się — nagle  
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,  
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie  
Cicho, zwolna po niebios błękitnej równinie!"

#### b. Droga do Nervi <sup>1)</sup>.

Zwolna bruk uliczny zmienia się w zbitą, pełną kurza-  
wy drogę, po której zaprzężone w jeden za drugim muły cią-  
gną przy odgłosie dzwonek i biczeń dwukolne wozy; domy  
przerywają się, rzadną, widnokrąg się rozszerza. Po bokach  
widać zamiast kamienic stare mury ze zrębem, przybranym  
w kaktusy, w bluszcz, w powoje, w winogrod lub przypo-  
łudniki, których trójgraniaste liście, zwieszane w pękach na-

<sup>1)</sup> Niewielkie miasteczko kąpielowe nad morzem pod Genuą.

zewnątrz, wydają się jakby wielkie grona, przetykane złotem  
albo liljowem kwieciem.

Po chwili widnokrąg jeszcze szerszy. Wszędę pełno  
murów i tarasów. Na stokach wzgórz wśród cieni cyprysów,  
wśród palm, podobnych do strusich piór, lub wśród pinij  
bieleją wille; na trawnikach przed niemi grają fontanny. Na  
dalszych wzgórzach domy i domy, poprzymocowane wszędzie,  
ponalepiane, jak gniazdko mew lub jaskółek, pojedynczo lub  
po kilkanaście razem. Gdzie niegdzie świeci odrapana chata  
wiejska, pomalowana czerwono lub różowo, z nieodłączną  
bielizną i chustkami na sznurze, które porusza wiatr, ale które  
tu już grają w słońcu. I znów mur, przez który kipi zielo-  
ność, znów winogrod, gaje cytryn, pomarańcz, szare i srebr-  
ne oliwniki, pinje, rzucone zuchwale ze szczytów urwisk  
w błękit, jakby ręką biegłego artysty, jabłonie, pokryte kwie-  
ciem jak śniegiem, różowe migdały, brzoskwinie i wszędę  
powódź laurów."

#### a. Zachód słońca.

§ 35. Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,  
Okrag niebios gdzie niegdzie chmurkami zasłany,  
U góry błękitnawy, na zachód różany.  
Chmurki wróżą pogodę, lekkie i świecące,  
Tam jako trzody owiec, na murawie śpiące,  
Ówdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.  
Na zachód obłok, naksztalt rąbkowych firanek,  
Przejrzysty, sfałdowany, po wierzchu perłowy,  
Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,  
Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,  
Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.  
Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło  
I, raz ciepłym powiewem westchnąwszy — usnęło.

#### a. Zachód słońca.

Słońce, już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,  
Czerwoną blaskiem szare barwiło obłoki,  
A złotem drgając światłem po ziemi i wodzie,  
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.



Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,  
 Lecz łagodne, widome rozsiewa promienie  
 I w krótkim pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,  
 Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie.  
 Jeszcze w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem,  
 By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;  
 Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,  
 Jak wzrok tęsknej przyjaźni, co w podróż ucieka,  
 I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,  
 Nurza swe czyste łono w tajniki natury,  
 Gdy noc, zazdrosnym palcem ścierając dnia ślady,  
 Ciemny płaszcz wlecze ztyłu — dla zbrodni i zdrady.

### c. Zachód słońca nad morzem.

Słońce zniżało się coraz bardziej, a wreszcie zanurzyło się w płomienistej wodzie. I z chwilą, gdy zaszło zupełnie, poczęły się odbywać jakby czary. Na niebie i morzu potworzyły się złote, różane i złotozielone smugi, taśmy, frendzle, jakby drogi i jakieś gościńce, któremi wędrowały fantastyczne okręty z ognia ku gmachom z tęczy, opalów, szmaragdów i chryzolitów. Fiolety, róże, purpura, złoto, wszystkie możliwe barwy, wszystkie blaski bengalskich ogní, drogich kamieni i pawich piór grały na niebie i wodzie. Potem jeden purpurowy ton wzmógł się nad inne, ogarniał je, przesłaniał, topił. Wreszcie i sam począł blednąć, omdlewać i zwolna zmieniać się w ton liljowy, i w coraz liljowszy, coraz bardziej nieuchwytny, mistyczny, doskonalszy, niemal nadziemski.

Nie było teraz już widać ni morza, ni nieba, ni tej granicy, gdzie woda styka się z widnokreśmem — nie było widać nic, tylko jedną liljową nirwanę, łagodną, spokojną i kojącą jakimś zaświatowym ukojeniem.

### a. Zamek o poranku.

§ 36. Cwałująca czereda zleciała na błonia,  
 Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.  
 Pierwszy raz widział zamek z rana i nie wierzył,  
 Że to były te same mury, tak odświeżył  
 I upiękniał poranek zarysy budowy.

Zadziwił się pan Hrabia na widok tak nowy.  
 Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca  
 Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,  
 Pod nim błyszczała w kratkach reszta szyb wybitych,  
 Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych.  
 Niższe piętra obiała tumanu powłoka,  
 Rozpadliny i szczerby zakryła od oka.  
 Krzyk dalekich myśliwców, wiatrami przygnany,  
 Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:  
 Przysiągłbyś, że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną  
 Mury odbudowano i znów zaludniono.

### b. Akropol o świcie.

Niegdyś, przed laty już zdarzyło mi się, że, przyjeżdżając morzem o pierwszym brzasku do Pireus, nie podążyłem do pobliskich Aten koleją, ale nająłem powóz, albowiem z powozu można lepiej niż z wagonu podziwiać wschód słońca na równinie attyckiej. Zanim wyruszyliśmy z portu, brzask zmienił się na świt. Od strony Eubei wstała jutrzienka, — ta sama „rózanopalca”, którą ongi podziwiał Homer — i tak samo po tysiącach lat młoda i cudna. Rozległy oliwnik, ciągnący się między wybrzeżem a miastem, zbudził się jakby ze snu w jej promieniach, a przede mną, w nawpół błękitnej, nawpół perłowej oddali zajaśniał w górze Akropol.

Ujrzałem go po raz pierwszy w życiu i wyznaję, iż mało widziałem tak niezapomnianych widoków. Ściany Propylei, Erechtejonu i boskie w swej niedościgłej harmonji kolumny Partenonu — widne jak na dłoni — poczęły się maścić i maść wszystkimi barwami, jakie zawiera w sobie zorza poranna. Szmaragdy, opal, szafiry i rubiny, zanurzone w ogólnej różowej toni, jęły grać, migotać, mienić się, mieszać, nasuwać lekko jedno na drugie, zbiegać się w zagłębieniach marmuru i rozbiegać się na szerszych jego płaszczyznach. Był to poprostu hejnał tonów jasnych, radosnych, jakby świeżo wykpanych w Archipelagu, a wskutek tego niesłychanie rzeźwych i przezroczych. Zdawało się, że zręby ścian, architrawy i kolumny wycięte zostały nie z ciężkiego, kamiennego tworzywa, nie z marmuru, ale z różanego i tęczowego światła. Trwało zaś to dopóty, dopóki



nie weszło słońce i nie pograżyło równiny, miasta i Akropolu w powszechnej złotej topieli.

### c. Świt na Adrjatyku.

Tyle razy już widziałem, „kiedy ranne zorze wstają” na różnych morzach, że podobne zjawiska nie powinny robić na mnie wrażenia, ale świt na Adrjatyku szczególnie jest uroczysty. Zaczyna się on od wody. Gładka toń marszczy się zlekka jakby w łuskę, która stopniowo zaczyna srebrzyć się i błednąć. Woda staje się zwolna jaśniejsza od nieba; coraz więcej blasku wsiąka w ciemności, z tą bladą czystością linii, określanych srebrnymi refleksami. Wierzchnia warstwa wody rozświetla się coraz mocniej, a odbicia jej padają i na twarze ludzkie. Dał morską odśłania się stopniowo, zupełnie jakby kto podnosił z niej zasłonę. Tu i owdzie na horyzoncie widać już trójkątne żagle łacińskie. Lekki powiew, który dochodzi z przestrzeni, zdaje się przynosić z sobą błękit i blaski. Widnieje! Widnieje! Świtanie wygląda jak uśmiech blady i smutny, ale nadzwyczaj łagodny i poprostu niepokalany. Potem od strony Triestu zjawia się różaność złota, i cała cudna gra kolorów porannych; światło tryska, rozlewa się, obejmuje cały widnokrąg, a z przeciwnej strony wynurza się z wody, w tych blaskach i majestacie — Wenecja, „la Bella”.

### a. Burza.

§ 37. Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione, Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę, Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło Z południa, już ich stado pół niebios obległo Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej, Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej, Aż, jedną stroną nawpół od niebios oddarta, Ku ziemi wychylona i wszerek rozpoczęta, Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie, Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy; i powietrze stało Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.

I łany zbóż, co wprzód, kładąc się na ziemi I znowu w górę trzęsąc kłosami złotymi, Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome I pogładają w niebo, najeżywszy słomę. I zielone przy drogach wierzby i topole, Co pierwiej, jako płaczki przy grobowym dole, Biły czołem, długimi kręciły ramiony, Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony, Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby Stoją, naksztalt posągów sybilskiej Nioby. Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powracać leniwe, Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka I, opuszczając stawę, do domu ucieka. Buchaj racicą ziemię kopie, orze rogiem I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogim; Krowa coraz ku niebu wznosi wielkie oko, Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko; A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta, I snopy zboża kradnie, i na zapas chwyta.

Ptactwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy; Tylko wrony, stadami obśtąpiwszy stawy, Przechadzają się sobie poważnemi krokami, Czarne oczy kierują na czarne obłoki, Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli; Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę, Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze. Ostatnia z ptaków, lotem nieścisłym zuchwała, Jaskółka czarny obłok przesywa jak strzała, Wreszcie spada jak kula.

Właśnie w owej chwili Szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyli I chronią się gromadnie w domy i stodoły, Opuszczają plac boju, gdzie wkrótce żywioły Stoczą walkę.

Na zachód jeszcze ozłocona Ziemia świeci ponuro, żółtawo czerwona.



Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,  
Wylawia resztki światła, a za słońcem leci,  
Jakgdyby je pochwycić chciała przed zachodem.  
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,  
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,  
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwały się, porwały się wpoły,  
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły  
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach.  
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.  
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy  
Na wiatr, jako garściami wyrwane włosy,  
Zmieszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,  
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,  
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,  
Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemiu,  
Wznosi się, jak ruchoma piramida, toczy,  
Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,  
Co krok wszędy wydyma się, roztwiera ku górze  
I ogromną swą trąbą otrębuje burze.  
Aż całym tym chaosem wody i kurzawy,  
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy  
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy  
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy  
Jak z sita w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny,  
Krople zwały się razem, to, jak proste struny,  
Długim warkoczem wiążą niebiosą do ziemi,  
To jak z wiader buchają warstwami całemi.  
Już zakryły się całkiem niebiosą i ziemią,  
Noc je z burzą od nocy czarniejszą zaciemia.  
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,  
I anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,  
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem  
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.  
Znowu wzmagą się burza, ulewa nawalna  
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.  
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie,  
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie,  
Aż się uspokoiło wszystko, tylko drzewa  
Szumią około domu i szemrze ulewa.

## b. Burza wiosenna.

Ledwie co wysypali się przed kościół bych nieco ochłodzić  
nać pod drzewami, grosz jaki dziadom wysuplać i zmówić  
się ze znajomkami, kiej pociemniało znagła, daleki grzmot  
zahuczał, i suchy, palący wiaterek zakręcił, że drzewa się za-  
targały, i kurz się podniósł na drogach.

Ludzie z bliższych wsi jęli nagwałt wyjeżdżać:

Ale zrazu ino drobny deszcz przekropił, gorący i rzad-  
ki, że jeszcze parniej się stało i duszniej, zaś słońce paliło  
niemiłosierniej, a żaby nukały ciszej i sennie, jeno co ja-  
koś pomroczniało, dale się przyćmiły, zahuczały znowu grzmo-  
ty, i na posiniąłym wschodzie jęły migotać blade, krót-  
kie błyskawice.

Burza szła od wschodniej strony, kieby sierpem nad-  
ciągały ciężkie, granatowe płachty chmur, opite deszczem  
czy gradem, krótki a hukliwy wiaterek wyrwał się przodem,  
świszcząc po czubach drzew i szarpiąc zbożami, ptactwo  
z wrzaskiem uciekało pod dachy, nawet psy gnały do cha-  
łup, bydło wyrwano z pól, a po drogach już się kręciły  
słupy kurzawy, zaś grzmoty rozlegały się coraz bliżej.

A nie wyszło i dwóch pacierzy, kiej słońce jęło się  
zatapiać w rudych, paskudnych tumanach i przeświecało kiej-  
by z za szyby przepalonej, grzmoty już zahurkotały nad wsią,  
i uderzył taki wicherek, że dziw drzew nie powyrywał, jaże gałę-  
zie i snopki z dachów w cały świat porwał, a pierwsze pioruny  
trzasnęły gdziesik w bory, całe niebo w mig posiniało niby  
wątroba, słońce zgasło, zawyły wichry, i pioruny jęły bić je-  
den za drugim, grzmoty zatrzęsły ziemią, i ognie błyskawic  
oddziaływały schmurzone niebo, oczy wyżerając blaskami.

Domy dygotały od huków, a wszelkie stworzenie przy-  
czaiło się w strachu.

Na szczęście, że burza przewalała się stronami, pioru-  
ny były gdziesik daleko, wichura przeszła, nie poczyniwszy  
szkod, niebo zaczęło się już wyjaśniać, gdy przed nieszpota-  
rami lunął rzęsisty deszcz, i poszła taka nawałnica, że w mig  
położyła zboża, rzeka wezbrała, a ze wszystkich rowów,  
miedzy i bródz waliła spieniona woda.

Uspokoiło się dopiero pod sam wieczór, deszcz prze-  
szedł i na zachód słońce się wykryło z za chmur czerwoną  
i promienistą kulą...



## c. Burza letnia.

Na świecie ciągiem prażyło, zaś czem bliżej ku zniwom, tem jeszcze bardziej wzmagala się spiekota, że już w dzień niesposób się było pokazać w polu, a noce też nie przynosiły ochłody, szły bowiem duszne i nagrzone, że nawet w sadach nie można było wyspać z gorąca, prosto klęska waliła się na wieś, trawy już tak wypaliło, że bydło głodne wracało z paśników i ryczało w oborach, ziemniaki więdły, zawiązały się kieby orzeszki i tak ostały, przypalone owsy ledwie odrosły od ziemi, jęczmiona pożółkły, zaś żyta schły przed czasem, bielejąc płożnemi kłosami. Trapili się tem niemają, ze smutną nadzieją spóźniając w każdy zachód, czy nie idzie na odmianę, ale niebo wciąż było bez chmur i całe jakby w szklanej, białawej połodze, a słońce zachodziło czyste i niby najlżejszym obłoczkiem nieprzycmione.

Nie jeden już skamlał serdecznie przed obrazami do Przemienienia Pańskiego, nic jednak nie pomagało, pola mglały coraz bardziej, uwiędły a niedojrzały owoc opadał z drzew, studnie wysychały, a nawet w stawie ubyto tyle wody, co tartak nie mógł już robić, i młyn również stał zawarty na głucho, więc naród, przywiedziony do rozpacz, złożył się na wotywę z wystawieniem, na którą zebrała się cała wieś.

A modlili się tak gorąco i ze wszystkiego serca, co i kamieńby się ulitował.

I snadź Pan Jezus pofolgował swemu miłosierdziu, chociaż bowiem nazajutrz zrobiło się tak gorąco, znojnje, duszno i parno, że ptactwo padało zemdlone, krowy żałośnie ryczały po pastwiskach, konie nie chciały wychodzić na świat, a ludzie, przemęczeni do ostatka, bez sił, tułali się po spiekłych sadach, bojąc się wyrzeć choćby do ogrodu, ale jakoś w samo przypołudnie, gdy wszystko zdało się już puszczać ostatnią parę w tym białym, rozmigotanym wrzasku, przyćmiło się nagle słońce i zmętniało, kieby weń kto rzucił przygarścią popiołu, a pokrótce zahuczało kajs wysoko, jakoby stado ptactwa wielgachnemi skrzydłami, a napęczniałe sinością chmury nadciągały ze wszystkich stron, opuszczając się coraz niżej i groźniej.

Strach wionął, wszystko przycichło i stanęło w przytajonym dygocie.

Zahurkotały dalekie grzmoty, zerwał się krótki wiatr, po drogach wzniosły się skłębione tumany, słońce rozlało się, kieby żółtko w piasku, ściemniało raptem, i na niebie zaroily się roje błyskawic, jakby kto zamigotał ognistemi postronkami, i pierwszy piorun trzasnął kajs blisko, że ludzie powybiegali przed chałupy.

Naraz skotłowało się wszystko do dna, słońce zgasiło, uczynił się dziki męt, i rozszalała się taka zawierucha, że w skotłunionych mrokach lały się jeno strugi oślepiających jasności, biły pioruny, grzmoty przewalały się po niebie, szumiała ulewa, i jęczały wichry i drzewa.

Pioruny już biły jeden za drugim, że oczy ślepiło, i spadała ulewa, że światła nie można było dojrzeć, zaś stromami poszły grad.

Burza trwała może z godzinę, aż zboża się pokładły, i drogami pociekły całe rzeki spienionej wody, a co przestało na chwilę i zaczynało się wyjaśniać, to znowu grzmiało, jakby tysiące wozów pędziło po zmarzłej grudzi, i nowy deszcz lał jak z cebra.

Z trwogą wyzierano na świat, tu i owdzie już pozapalano lampki, śpiewając: „Pod Twoją obronę“, gdzie znów wynoszono na przyzby obrazy dla obrony przed nieszczęściem, ale dzięki Bogu burza przechodziła, nie wyrządziwszy większych szkód, dopiero kieć się już prawie docna uspokoiło, i padał deszcz coraz drobniejszy, z jakiejś ostatniej chmury, zwieszającej się nad wsią, trzasnął piorun w stodołę wójtową.

## a. Jesień nad Niemnem.

§ 38. Dzień był znowu święteczny i pogodny, ale rozległa równina, z jednej strony w lesiste pagórki, z drugiej w półkoliste koryto Niemna ujęta, wcale inną miała postać, niżeli w świetne, skwarne, mozołne dni ubiegłego już lata. Miała wcale inną postać, bo było to święto wesołe i rześkie jeszcze, w zebrane plony bogate, lecz już niby u wrót rozpoczynającej się jesieni stojące.

Zamiast świeżości, blasku i wrzasku wezbranego życia unosił się teraz nad tą równiną łagodny smutek natury, omdlewającej zwolna i z wdziękiem. Na spasionych miedzach gładkich i puszystych gdzie niegdzie sterczały nagie łodygi cykorji, ciemną czerwienią iskrzyły się bujne kity końskiego



szczawiu, drobne puchy kotków i żółknące dzięcielniny trwożnie przypadały ku stwardniałym krawędom zagonów. Jak okiem zajrzeć, zdeptane przez trzody ścierniska zmartwiała żółtość swoją mieszały z ciemną szarością zoranej gleby i wiedniejącą zielenią kartoflisk, a wszystko to razem wyglądało, jak kobieriec o barwach przygasłych i spłowiałych, na którym tu i owdzie łanki dojrzałe gryki kładły rdzawo-różowe plamy, a majową zielonością odbijał na korczyńskich polach bujający wysoki gaj końskiego zębu. Ścieżki, tajemniczo przedtem na dnie zbożowej puszczy utopione, widocznymi teraz, chociaż mdławymi skrętami przepływały ciemniejszą od nich rolę, której spulchnioną powierzchnię gęsto osiadły wrony, w zadumanych postawach spuszczać ku ziemi żeru szukające swe dzioby. U kraju ściernisk, pod łaskami wzbijały się z małych ognisk pastuszych niskie, nikłe, sinawe dymy; polne grusze, topole i wierzby stały jeszcze w zieleni gęstej lecz szerniałej i bez blasku, a kiedy niekiedy, nie wiedząc, skąd się biorąc, żółty liść przelatywał powietrzem i gdzie niegdzie na polnych krzakach mlecznie białeły płatki pajęczyny. Zamiast upajającej woni kwitnących ziół, skoszonych traw, świeżo ściętej słomy i z drzew ulatniającej się żywicy czuć było naokół jeden tylko mocny, wilgotny, razowe pieczywo przypominający zapach ziemi, głęboko przez pługi wzruszonej. Zamiast ogłuszających śpiewów ptactwa i niezliczonych w różnaitości swej brzęczeń owadów, panowała wszędzie cisza nie śmierci jeszcze, ale wielkiego uspokojenia się istot i rzeczy, wśród której jednak odzywały się w górze ostre krzyki żorawi i klekot bociani, a w dole na mdlejących skrzydłach przelatywały spóźnione motyle, pszczoły nad łankami gryki brzęczały, a powyżej drzew dzwoniła ciągle niewidzialna struna nadwodnych muszek.

W dni powszednie rozlegały się tu jeszcze przewlekłe i posępne lub ochocze i krótkie wołania oraczy; widać także było szybko przesuwające się pługi, z cichym chrzęstem po zoranej roli wlokące się brony, i powoli, równo, w prostych linjach z wyprostowanymi postaciami postępujących siewców, których ręce rytmicznymi prawie ruchy rzucały na zagony obfitą rosę ziaren. Nad tem zaś wszystkim, nad zaświecającym ziemię kobiercem przygasłym i spłowiałym, a gdzie niegdzie tylko rdzawą różowością lub majową zielenią rozweselonym, nad pociemniałymi drzewami, u których stóp wiły się nikłe

dymy, nad rozsianymi zrzadka oraczami i siewcami świeciło wśród czystych, lecz bladych błękitów ciche, przygasłe, blade złote słońce.

#### b. Łazienki w październiku.

Piątego października doktor Judym wyszedł na spacer w Aleje Ujazdowskie. Był to dzień piękny. Słońce rozlewało ciepło łagodne i blask jeszcze jasny, ale już odchodzący za dziesiątą górę, za dziesiątą rzekę. Szereg drzew Alei, których widok tak samo dużo wspomnień nasuwał, okrył się już rdzą czerniejącą. Wdali z pomiędzy koron kulistych jeszcze wysuwały się gałęzie bez liści, jak smutny jakiś drogowszak. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwono-rude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieloność jasno-żółte zniszczenie. Tu liść jeszcze żywy otoczył płomień śmierci jakby obwódka dziwnej żałoby, gdzie indziej strawił go do rdzenia, pozostawiając tylko prążki zielone. Błękit niebieski, rozciągniony nad tą wąską smugą przestrzni, był już nikły, zasnuty przedziwem chmurek zwianych i płynących wiotkimi pasmami w dal niedościgną dla oka.

Doktor minął bramę i wolno schodził w głąb parku. Ogromne liście klonów płynęły z drzew i migały przed oczyma nad ziemią to tu, to tam, jak złote ptaki. Liście orzechów włoskich i drzew octowych plamiły zieloność trawników, niby krew rozlana i skrzepła. Na dnie pustego parku w cieniu sokor królewskich niedostępnych dla słońca spoczywał i wyciągał się mrok chłodny. Daleko, w przecięciach szpalerowych oświetlone czuby żółtawych kasztanów buchały płomieniami, jak jezory żywego ognia. Wszędzie stał rozlany w chłodnem powietrzu miły, ostry zapach liści zwiędłych.

Unikając miejsc ludnych, Judym szedł dawną aleją na koniec parku. Rosły tam najściślejsze, prawdziwie niebotyczne topole, szeleszczące jeszcze twardymi liśćmi; cicho szumiały srebrne długowłose wierzby, co patrzą w obumarłe wody kanałów, — i świerki, jak posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obszedł już wokoło te drzewa i na straży ich postawił wylekłą ciszę.

Dalekie głębie wydawały kiedy niekiedy szmer prędko gasnący, który i człowieka zmuszał do cichego westchnienia.



Gdy w pewnej chwili rozległ się gwar i śmiech dziecięcy, wydał się czemś dziwnem i rzącem wśród surowego szeptu, który mówi o śmierci.

Na gładkie łączki, niby jeziora, śpiące między kępami zarośli, zstępowały smugi światła prawie białego i ostremi rysami przerywały chłodne murawy. Tuż obok drogi, zasłanej liśćmi, tały się baseny wody nieruchomej, ślepej i głuchej, która, przyjmując w siebie poszarpane plamy firmamentu, dawała jakieś kłamlive ich odbicie, brzask srebrzący się a niepochwytny. Rysowały się tam czarne pnie i gałęzie olch nachylonych. Każdy ptak, siadający dla wypoczynku, strącał z nich mnóstwo liści. Chłodne oddechy jesienne niosły te zwłoki skurczone i osadzały na zawsze w cichej powierzchni. Zielona woda płaszczyzn bardziej otwartych pieściła w łonie swem gałęzie kasztanów z liśćmi tak żółtemi, że się wydawało, jakoby płynna jasna farba sączyła się z nich i w głębi odmiennej tonęła. Liście te były zwieszane, przejrzyste, delikatne, a rzuciły na środek wody ruchome odbłaski, które z jej barwą zlewały się w podobiznę przepysznie lśniącego brązu. W jednym miejscu słońce, znalazłszy wśród przeredzonych liści obszerną drogę, rzuciło się w głąb wody, jak wytrysk roztopionego złota o barwie zbyt trudnej dla żrenicy. Między drzewami co chwila migwały błyszczące pułki powozów, pędzących na gumowych kołach. Głuchy turkot ich, przerywający milczenie, był głosem, który z zimnem przyrody harmonizował.

#### a. Śnieg.

§ 39. Skoro jeno przedzwonili na południe, zmrozczało się nieco, i jał padać śnieg dużemi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco, a sypki, i tak już przez całą noc padał.

Na świtanu było już śniegu na dobre trzy piędzie, docna przyokrył kozuchem ziemię i przesłonił świat cały modrawą białością, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskrós tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło,

oniemiało, jakby przed cudem stanęło i, przychylone nieco, zasłuchało się uroczyście w tym ledwie wycutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdręganej i opadającej nieustannie.

Biaława ćma się czyniła, rosła, stawała; biały, migotliwy, niepokalany brzask sypał się, by ta wełna najbielsza, najmiejsza, najśliczniejsza; snuł się gęstwą nieprzeliczoną, by ta zamarzyła poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zakrzępyły w szron, starte lotem podniebnym na proch — świat zasypywały — przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość, w ten oślepiający тумan; a wkońcu nie było dla oczów nic widne prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

#### b. Kurniawa <sup>1)</sup>.

Kurniawa. Między wiatrem, między pędzącym powietrzem, a śniegiem niema rozdziału, — nie wydaje się, że to wiatr niesie śnieg, tylko że leci jakaś biel, wyjąca i szumiąca. Przed oczami migają z zachodu na wschód pasma białych nici — to większe płatki, a z nimi leci pył — para śnieżna, leci, czepia się wszystkiego na drodze, spada na ziemię, na lasy, na dachy i znowu ze świstem porywa się i niesie smugami, rozszerzającemi się w górze i rozpylającemi się w białym tumanie. Wiatr rzeźbi. Niesie śnieg zbitą ławą, wpada na chatę, na szopę, uderza się o nią, cofa się, rozmiata przed sobą długą i szeroką, półkolistą fosę i stoży nad nią coraz wyższą zaspę. Jej brzegi, cudownie podwinięte, zginają się jak łby wstrzymanych nagle rozpędzonych koni, jak grzbiety fal, mających się zwalić w zwojach piany. Jest to pochwyciona i zmaterjalizowana cała logika wiatru, jest to siła i ruch, stężale nagle i wcielone w bryłę materji. Wiatr leci dalej i kłębi rozpylonemi wydrami śniegu. Za płotami stoży olbrzymie zasy, które długimi odkosami przecinają drogi i ogrody, nad potokami przelatuje równo, ubijając gładką powierzchnię, której brzegi, popodwijane w cudowne gzymsy, zginają się białemi ślimacznikami nad

<sup>1)</sup> zawierucha, zamieć zimowa, zadymka.



ciemną wodą. Na dachach domów i szop wszędzie osadza się ta potężna rzeźba skryształizowanego ruchu. Zmarzłe i rozniesione na pył głębiny mórz niosą się z zawrotną szybkością, wdzierając się wszędzie, wypełniając wszystko, zasypują lasy, zawalają turnie, równają wąwozy, zatykają gardła pieczar, pochłaniają potoki i stawy i wszędzie rzeźbią z niezachwianą logiką ten sam kształt skamieniałej fali.

We dnie świat jest lecącą bielą, — w nocy zdaje się, że szary mrok zmienił się w proch, w jakieś lekkie strzępy i leci z szumem, świstem, jękiem i furkotaniem gwałtownem. Promień światła, wykradający się z małego okna, sięga daleko w tę ruchomą cinę i wygląda jak kometa, zbłąkana w wirze zgasłych i zmielonych na lotny pył światów. Po nocy, w której nic nie widać, przychodzi dzień, w którym widać tylko śnieg, tylko biel, tylko te smugi, lecące z zachodu na wschód, tylko te piany, roztrzepane w pył, w parę i tylko stożące się coraz wyżej zasy, tylko potężniejsze ślimacznice, zwinięte nad potokami, na zrębach skał, na strzechach dachów.

Wiatr cichnie, ale śnieg pada dalej, lekko niesiony, wykończy robotę kurniawy. Na lesie zawisa okiść, coraz cięższa, coraz szczelniejsza. Ociężałe gałęzie obwisają coraz bliżej pnia, smreki stają się smuklejsze, spiczastsze, dolne konary przychwytuje i więzi stożący się coraz wyżej od ziemi garb śnieżny. Na małych polankach, na młodym lesie tworzą się dziwaczne szczyty indyjskich pagód i bizantyńskie kopuły, z których jak krzyże sterczą śmigłe wirochowce. Gdzie indziej wyrastają potworne łby białe, wyciągają się ręce w białych rękawicach, tłoczą się jakieś białe cielska, zdaje się, że to jakaś rada przedwiecznych wielmożów brodatych, kołtuniastych zasiada w olbrzymich szubach z białych niedźwiedzi, krytych białym, przetykanym srebrem, aksamitem. Na kominach zwisają olbrzymie czapy, a na każdej tyczce w płocie siedzi kołpak jednako schwyany ku wschodowi, po żerdziach wiją się długie, puszyste, białe węże. W widłach konarów jesionów osiadają potworne, białe gniazda, gałęzie, oblepione śniegiem, rozpinają się w szarem powietrzu, jak strzępy grubych potarganych sieci, jak smugi pian, krążących po miotającej się fali; na kamieniach, sterczących z czarnej, snującej się cicho wody, wyrastają białe, wydęte kępy śnieżyste.

I tak trwa dni kilka, aż któregoś wieczora śnieg spadający rzednie, staje się coraz suchszy, wyraźniej w nim widać kształtne gwiazdki kryształów, — z szarej przędzy, wiszącej na niebie, zaczyna przecierać się złotawa poświata i lazurowy pobrzask — mróz tężeje.

#### Akt miłości.

§ 40. Kocham cię nad życie... Kocham cię w woniach twojej ziemi i w śpiewach twoich ptaków, w szeleście kłosów, w szumach lasów, w dzwonieniu wód, w mgłach nad łąkami.

Kocham cię w kwiatach twoich polnych, ziołach dzikich, kamieniach i krzyżach przydrożnych, w białych całunach śniegu, w czerwonych żarach zachodu, w świtach sinych, zmierzchach smutnych i gwiazdzistych nocach; kocham cię w chmurnych sklepieniach, które stoją nad gorejącym szkarłatem twoich jesieni, w gwiazdach i falach, we wrzosach i różach, w tajemniczym piśmie, którym wiatry okrywają rozłogi twoich białych piasków, w czarnych brózdach, któremi pługi oraczy wyrzeźbiają oblicze twojej roli...

Kocham cię w ludzkich łzach, myślach, czynach, nadziejach, snach złotych i kamiennych dolach, nawet w budzących litość i trwogę błędach, w rozpromienianiu się i przygasaniu twojej chwały, w twoich śpiewnych i bohaterkich duchach...

I nadewszystko, najmocniej, najrzewniej, najwierniej, najdumniej kocham cię w twym nieszczęściu!

#### a. Dwór korczyński.

§ 41. W korczyńskim dworze na rozległym trawniku dziedzińca rosły wysokie i grube jawory, otoczone niższą od nich gęstwiną koralowych bzów, akacyj, buldenezów, jaśminów, spirei i róż. Dokoła starych, niegdyś kosztownych sztachet topole, kasztany i lipy ścianą gęstej zieloności zakrywały drewniane gospodarskie budynki. U zbiegu dwu dróg, okalających trawniki i rosnące wśród nich potężne grupy drzew i krzewów, stał dom drewniany, niepobielony, niski, ozdobiony wijąciami się po jego ścianach powojami,



z wielkim gankiem i długim rzędem okien, mających kształt nieco gotycki. Na ganku pomiędzy oleandrowymi drzewami, rosnącymi w drewnianych wazonach, stały żelazne kanapki, krzesła i stoliki. Naprzeciw gospodarskich zabudowań wznosiła się nad sztachetami gęsta zieloność starego sadu, bo w aleje z grubych drzew wysadzanego, ogrodu. U jednego z krańców tego ogrodu widać było przeświecający przez zieloność wysoki, w słońcu złocisty brzeg Niemna, a z niektórych punktów dziedzińca widzialna była i sama rzeka, szeroka, w tem miejscu okrągłym łukiem skręcająca się za bór ciemny.

Nie był to dwór wielkopański, ale jeden z tych starych szlacheckich dworów, w których niegdyś mieszcili się znaczne dostatki, wrzało życie ludne, szerokie, wesołe. Jak działo się tu teraz, aby o tem wiedzieć, trzeba było dowiadywać się zbliska; ale co w oczy odrazu wpadało, to wielka usilność o zachowanie miejsca tego w porządku i całości! Jakaś ręka gorliwa i pracowita zajmowała się wciąż jego podpięciem, naprawianiem, oczyszczaniem. Sztachety psuły się po wielokroć, ale zawsze je naprawiano, więc choć połatane, stały prosto i dobrze strzegły dziedzińca i ogrodu. Stare również gospodarskie budynki miały silne podpory, a w wielu miejscach nowe strzechy i nowe pomiędzy drewnianymi ścianami słupy z kamieni. Stary dom niski był i widocznie z każdym rokiem więcej się wsuwał w ziemię, lecz z dachem gontowym i jasnymi szybami okien nie miał wcale pozoru ruiny. Rzadkich kosztownych kwiatów nie było tu nigdzie; ale też nigdzie nie rosły pokrzywy, łopuchy, osty i chrzany, a stare drzewa i dawno sadzone, bo potężnie rozrosłe, krzewy wyglądały świeżo i zdrowo... Dworowi temu, w którym widocznie wciąż się coś psuło i naprawiane było, w którym widocznie także nic oddawna nie dodawano i nie wznoszono, ale tylko to, co już stało i rosło, przechowywano, — porządek, czystość i dbałość nadawały pozór dostatku i prawie wspaniałości. Wielkość zajmowanej przezeń przestrzeni, niezmiernie bogactwo napełniającej go roślinności, sama nawet starość niskiego domu i niejaka dziwaczność gotyckich jego okien wywierały wrażenie powagi, wzbudzały same przez się poezję wspomnień. Mimowoli wspomnieć tu trzeba było o tych, którzy sadzili te ogromne drzewa i żyli w tym stuletnim domu, o tej rzece czasu, która nad tem miejscem

przepłynęła, to cicha, to szumna, lecz nieubłaganie unosząca z sobą ludzkie rozkosze, rozpacz i grzechy.

Wnętrze domu posiadało te same, co i cały dwór, cechy dawnego bogactwa, chronionego przez czujne i nieutrudzone starania od rozpadnięcia się w łachmany i próchno. W obszernych, niskich i dobrze oświetlonych sieniach sterczały na ścianach przed wielu już zapewne dziesiątkami lat umieszczone ogromne rogi łosiów i jeleni; pomiędzy nimi wisały uschłe wieńce ze zboża, przetykane zielenią jagód kalinowych i jarzębinowych; naprzeciw drzwi wchodowych wąskie schody, niegdyś wykwintne, dziś tylko ślady dawnej polichromy noszące, prowadziły do górnej części domu. Z sieni dwoje drzwi naoscież rozwartych wiodło z jednej strony do obszernej sali jadalnej, z drugiej — do wielkiego o czterech oknach salonu.

Oba te pokoje dostatecznie zapełnione były sprzętami, które, jak z kształtu i gatunku ich wnosić było można, kupiono sadu przed dwudziestu przeszło laty, i kosztowały wiele; teraz przecież ukazywały się na nich tu i owdzie niewprawną ręką wiejskiego rzemieślnika dokonane sklejenia i naprawy, a drogą materję, która niegdyś okrywać je musiała, zastąpiła zupełnie tania i pospolita. Obicia na ścianach, tak jak i sprzęty, niegdyś kosztowne i piękne, a teraz postarzałe i spłowiałe, błyskały jeszcze gdzieś niegdzie złoceniemi bukietami i arabeskami; zakrywało je zresztą w znacznej części kilka pięknych kopij ze sławnych obrazów i kilkanaście rodzinnych portretów w staroświeckich, ciężkich z wytartą pozłotą ramach. Podłogi były tam woskowane i błyszczące, niskie sufity białe i czyste, drzwi staroświeckie, ciężkie z brązowymi, błyszczącymi klamkami, dywany duże i spłowiałe, w rogu salonu piękny fortepian, u okna ze smakiem ustawione grupy zielonych roślin. Widać było wyraźnie, że od lat dwudziestu nic tu nie przybyło, ale i nic nie ubyło, a to, co brudził, łamał i rozdzierał czas, ktoś ciągle oczyszczał, naprawiał i zaszywał. Sprawiało to wrażenie pilnej pracy, usiłującej zwolnić, może zupełnie powstrzymać stopniowo i nieubłaganie proceder swój wiodącą przemianę bogactwa w nędzę.

W przyległym wielkiemu salonowi pokoju, którego okna, jak i okna salonu, wychodziły na błękitniejący z zaledwie starych klonów Niemen, znajdowało się towarzystwo,



złożone z czterech osób. Pokój ten miał pozór gabinetu kobiety wykwintnej. Wszystko tu było miękkie, ozdobne i wbrew temu, co działo się w innych częściach domu, dość jeszcze nowe. Obicie, osypane bukietami polnych kwiatów, miało pozór nieco sentymentalny; gotownia <sup>1)</sup>, okryta zwojami białego muślinu, połyskiwała kryształowemi i porcelanowemi cackami; na piętrówkach leżały książki, stały zgrabne koszyki i pudełka z przyborami do ręcznych robót. Materja, okrywająca sprzęty, ponsową barwą swoją sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie świetności.

Z temi wszystkimi szczegółami sprzeczała się atmosfera, pokój ten napęlniająca. Była ona duszna i pełna zmieszanych zapachów perfum i lekarstw; ponieważ zaś okna i drzwi od przyległych pokoiw szczelnie były zamknięte, pokój więc ten przypominał pudełko apteczne, oklejone papierem w kwiatki i napęlnione wonią olejków i trucizn.

#### b. Dwór w Soplicowie i pokoik Zosi.

Śród takich pól, przed laty, nad brzegiem ruczaju,  
Na pagórku niewielkim we brzozowym gaju  
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany;  
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,  
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni  
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.  
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,  
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi  
Uzątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.  
Widać, że okolica obfita we zboże,  
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszecz smugów  
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów,  
Orzących wcześniej łąny ogromne ugoru,  
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,  
Uprawne dobrze, nakształt ogrodowych grządek,  
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.  
Brama nawsiąż otwarta przechodniom ogłasza,  
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

<sup>1)</sup> toaleta z wszelkimi przyborami do ubierania się i trefienia włosów.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek  
I, obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.  
Wysiadł z powozu; konie, porzucone same,  
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.  
We dworze pusto, bo drzwi od ganku zamknięto  
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.  
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,  
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.  
Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście  
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.  
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne  
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.  
Też same widzi sprzęty, też same obicia,  
Z którymi się bawić lubił od powicia;  
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały.  
I też same portrety na ścianach wisiły.  
Tu Kościuszkę w czamarce krakowskiej z oczyma,  
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;  
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,  
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów  
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie  
Siedzi Rejtan, żaloszny po wolności stracie,  
W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,  
A przed nim leży Fedon i żywot Katona.  
Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny,  
Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny,  
Stoją na szaniecach Pragi, na stosach Moskali,  
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.  
Nawet stary, stojący zegar kurantowy  
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy  
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,  
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,  
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.  
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione żrenice  
Po ścianach: w tej komnacie mieszkanie kobiece?  
Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty;  
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.  
To nie był ochmistrzyni pokój. Fortepiano?



Na niem nuty i książki; wszystko porzucano  
Niedbale i bezładnie. Nieporządek miły!  
Niestare były rączki, co je tak rzuciły.  
Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjęta  
Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta.  
A na oknach donice z pachnącemi ziołki,  
Gieranjum, lewkonja, astry i fiołki.  
Podróżny stanął w jednym z okien — nowe dziwo:  
W sadzie na brzegu, niegdyś zarosłym pokrzywą,  
Był maleńki ogródek, ścieżkami porznięty,  
Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.  
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płótek  
Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.  
Grządkki, widać, że były świeżo polewane;  
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,  
Ale nigdzie nie widać było ogrodniczki:  
Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzewiczki,  
Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki  
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki.  
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu  
Ślad wyraźny, lecz lekki, odgadniesz, że w biegu  
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnymi  
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

#### c. Wiejskie gniazdo.

Rodzina Oleszów mieszkała w piętrowym lamusie <sup>1)</sup>,  
zwanym „skarbcem“, przerobionym na mieszkanie główne,  
stary zaś, niski dwór wstał w ziemi pod ciężarem omsza-  
łego dachu; dumaly nad nim ogromne lipy i szepem dora-  
dzały go nie tykać, aż póki umrze naturalną śmiercią razem  
z innemi porostami tej ziemi. Zato „skarbiec“ był wyświe-  
żony, opasany dwoma piętrami drewnianych portyków —  
wielki, familijny gołębnik. Był projekt postawienia nowego  
dworu w malowniczym miejscu nad Ptyczą, obrośniętą stare-  
mi drzewami, ale projekt nie dojrzał jeszcze przez ćwierć  
wieku — i Kotowicz odnalazł Kurenicze takie same, jakie je  
przez mgłę pamiętał. Siedziba nie była wcale zaniedbana, tylko  
wszystkie jej ozdoby: kwietniki, gracowane ścieżki, mała fon-

<sup>1)</sup> domu, zwykle murowanym i zabezpieczonym od ognia, prze-  
znaczonym do przechowywania różnych rzeczy.

tanna — zbiegały się do zaludnionego skarbca, stroniły zaś  
od pustego dworu, do którego krzewy i chwasty przystę-  
powały coraz bliżej powodzią ogarniającą.

Niepodobna było odrazu nie polubić tego wiejskiego  
gniazda; spodobało się też Kotowiczowi z zewnątrz, a gdy  
przeszedł progi, objęło go serdecznie świeże ciepło dobrze  
wietrzonego wnętrza, zapach ziół dobrych i półcień szla-  
checkiego muzeum, do którego parę pokoleń dodawało swe  
upodobania estetyczne w meblach i gratach.

#### d. Mieszkanie pana Łęckiego.

Pan Tomasz Łęcki z jedyną córką, Izabelą, i kuzynką,  
panną Florentyną, nie mieszkał we własnej kamienicy, lecz  
wynajmował lokal, złożony z ośmiu pokojów w stronie Alei  
Ujazdowskiej. Miał tam salon o trzech oknach, gabinet  
własny, gabinet córki, sypialnię dla siebie, sypialnię dla  
córki, pokój stołowy, pokój dla panny Florentyny i garde-  
robę, nie licząc kuchni i mieszkania dla służby, składającej  
się ze starego kamerdynera, Mikołaja, jego żony, która by-  
ła kucharką i panny służącej, Anusi.

Mieszkanie posiadało wielkie zalety. Było suche, cie-  
płe, obszerne, widne. Miało marmurowe schody, gaz, dzwon-  
ki elektryczne i wodociągi. Każdy pokój w miarę potrzeby  
łączył się z innymi lub tworzył zamkniętą w sobie całość.  
Sprzętów wreszcie miało liczbę dostateczną, ani za mało,  
ani za wiele, a każdy odznaczał się raczej wygodną prostotą,  
aniżeli skaczącymi do oczu ozdobami. Kredens budził  
w widzu uczucie pewności, że z niego nie zginą srebra; łóż-  
ko przywodziło na myśl bezpieczny spoczynek dobrze za-  
służonych; stół można było obciążyć, na krzesła usiąść bez  
obawy załamania się, na fotelu marzyć.

Kto tu wszedł, miał swobodę ruchu; nie potrzebował  
lękać się, że mu coś zastąpi drogę, lub że on coś zepsuje.  
Czekając na gospodarza, nie nudził się, otaczały go bowiem  
rzeczy, które warto było oglądać. Zarazem widok przed-  
miotów, wyrobionych nie wczoraj i mogących służyć kilku  
pokoleniom, nastrojał go na jakiś ton uroczysty.



## a. Z „Przedświtu“.

§ 42.

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem  
 Rozwieszone Włoch błękity?  
 Nad jeziora włoskim brzegiem  
 Czy pamiętasz Alp granity?  
 Tam — zdaleka — w niebo — przodem  
 Pną się ostrza, kryte lodem,  
 A tu bliżej, a tu niżej  
 Poza wzgórzem spływa wzgórze,  
 Z winnic kapią bluszcz i róże,  
 Jednym rajem gór podnóże!  
 W wieczór, z rana — zwierciadłana  
 Fala pije niebios smug,  
 Na wód dole — na skał czołe —  
 Jedna piękność — jeden Bóg!

## b. Okolice kopalni.

Okolica za miastem sprawiała wrażenie rzeczy, wciąż przetrząsanej i to nie w tym celu, żeby ją uporządkować, lecz dla wydobycia metodą rabunku tego, co zawiera. Wszystko zostające na miejscu było resztką. Co chwila dręczyły oko jamy, rowy, kanały, ścieki.

Gdzie nigdzie stała jeszcze kępa sosen, zrzadka rosnących, jak żyto na piasku. Przez ten las widać było, co się za nim dzieje. Pewne przestrzenie były zarośnięte krzywą sośniną, skarłowaciałym wyrodkiem drzewa, inne — jałowcem. Ogół miejsca był pustką, nieużytkiem.

Na wszystkie strony biegły gościńce, drogi, ścieżki. Co pewien czas koła wozu stuknęły o szyny drogi żelaznej. Wszędzie widziało się kominy, kominy i dymy, ciągnące w dal po lazurowem niebie.

Droga biegła obok przeróżnych zabudowań fabrycznych, które już to łączyły się w dziwne gromady, już rozpryskiwały w szeregi mieszkań ludzkich. W sąsiedztwie tych skupień ukazywały się oczom jamy ogromne, głębokie, w których stała, nie mając gdzie odpłynąć, brudna, splugawiona, żółto-ryża woda. Judyma widok tych dołów przyprawiał o smutek niewysłowiony. Był to bolesny obraz sromoty. Nie może nigdzie odpłynąć, odejść, uciec, ruszyć się ani wtył, ani

naprzód, nie może nawet wsiąknąć i bez śladu, bez pamięci śmiercią zginąć. Nie służy już do niczego, bo ani za napój, ani za środek oczyszczenia jakiegokolwiek ciała. Nie dano jej nawet odbijać w sobie chmur i gwiazd niebieskich. Jak oko wybite, patrzy wgórę ze straszliwym błyskiem, z niemym krzykiem, który goni człowieka. Przeklęta od wszystkich służy za zbiornik zarazy. I tak musi istnieć na swoim miejscu bez końca, bez śmierci.

Wpobliżu takich wyrw wznosiły się hałdy, ogromne zwały piachu węglowego, tworzące istne wzgórza. Gdzieś niedługo rozerwały je deszcze i burze na części i utworzyły między jedną a drugą doliny poprzeczne. Te dziwne nasypy o barwie cegły wypalanej, w których stlił się miał węglowy, połączony z łupkiem, tu i owdzie przerzywały obszar jak krwawe, zaognione obrzęknięcia tej schorzałej, zmaltretowanej ziemi.

## a. Ketling of Elgin.

§ 43.

Drzwi otworzyły się i na tle ciemnej głębi ukazał się oczom dziewczyny jakiś nieznany mężczyzna.

W pierwszej chwili wydało się Krzysi, że widzi obraz, albo że zaśnęła i śni: tak cudne stanęło przed nią zjawisko... Nieznajomy był to młody człowiek, przybrany w czarny strój cudzoziemski z białym koronkowym kołnierzem, spadającym aż na ramiona. Krzysia w dzieciństwie jeszcze widziała raz pana Arciszewskiego, generała artylerji konnej, przybranego podobnie, który też z powodu takiego stroju, jak również dla nadzwyczajnej swej piękności długo jej został w pamięci. Otóż tak był ubrany ów młodzian, tylko że pięknocią gasił i pana Arciszewskiego i wszystkich mężów, chodzących po ziemi. Włosy jego, ucięte równo nad czołem, wity się w jasnych pierścieniach po obu stronach twarzy, poprostu cudne. Brwi miał ciemne, wyraźnie rysujące się na białem jak marmur czołe, oczy słodkie i smutne; płowy wąs i płową spiczastą brodę. Była to głowa niezrównana, w której szlachetność łączyła się z męstwem, głowa zarazem rycerska i anielska.

## b. Neron.

Więc to był on? ten straszny i wszechmocny? Nie widziała go dotąd nigdy, a myślała, że wygląda inaczej. Wy-



obrażała sobie jakieś okropne oblicze ze skamieniałą w ry-  
sach złością; tymczasem ujrzała wielką, osadzoną na grubym  
karku głowę, straszną wprawdzie, ale niemal śmieszna, albo-  
wiem podobną zdaleka do głowy dziecka. Tunika ametysto-  
wej barwy, zabronionej zwykłym śmiertelnikom, rzuciła si-  
nawy odbłask na jego szeroką i krótką twarz. Włosy miał  
ciemne, utrefione modą, zaprowadzoną przez Othona, w czte-  
ry rzędy pukli. Brody nie nosił, gdyż przed niedawnym cza-  
sem poświęcił ją Jowiszowi, za co cały Rzym składał mu  
dziękczynienie, jakkolwiek pocichu szeptano sobie, że, jak  
wszyscy z jego rodziny, zarastał czerwono. W jego silnie  
występującym nad brwiami czole było jednak coś olimpij-  
skiego. W ściągniętych brwiach znać było świadomość  
wszechmocy; lecz pod tem czołem półboga mieściła się twarz  
małpy, pijaka i komedjanta, próżna, pełna zmiennych żąd,  
zalana mimo młodego wieku tłuszczem, a jednak chorobli-  
wa i plugawa. Ligji wydał się złowrogim, lecz przedewszyst-  
kiem ohydny.

#### a. Młoda Litwinka.

§ 44. Podróżny długo w oknie stał, patrząc, dumając,  
Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,  
Oblicze aż na krzaki fiołkowe skłonił,  
Oczyrna ciekawemi po drożynach gonił  
I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,  
Myślał o nich i czyje były odgadywał.  
Przypadkiem oczy podniósł i tuż na parkanie  
Stała młoda dziewczyna — białe jej ubranie  
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,  
Odslaniając ramiona i łabędzią szyję.  
W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,  
W takim nigdy nie bywa od mężczyzn widziana;  
Więc, choć świadka nie miała, założyła ręce  
Na piersiach, przydając zasłony sukience.  
Włos w pukle nierozwity, lecz w węzłki małe  
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,  
Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku  
Świecił się, jak korona na świętym obrazku.  
Twarzy nie było widać, zwrócona na pole,  
Szukała kogoś okiem daleko, na dole;

Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,  
Jak biały ptak, zleciała z parkanu na błonie,  
I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,  
I po desce, opartej o ścianę komnaty,  
Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,  
Nagła, cicha i lekka; jak światłość miesiąca.  
Nucąc, chwyciła suknię, biegła do zwierciadła;  
Wtem ujrzała młodzieńca, i z rąk jej wypadła  
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.  
Twarz podróżnego barwą spłoneńłą rumianą,  
Jak obłok, gdy z jutrenką napotka się ranną;  
Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił. —  
Chciał coś mówić, przeproszać, tylko się uklonił  
I cofnął się: dziewczica krzyknęła boleśnie,  
Niewyraźnie, jak dziecko, przestraszone we śnie:  
Podróżny zląkł się, spojrzął, lecz już jej nie było,  
Wyszedł zmieszany i czuł, że mu serce biło.  
Głośno, i sam nie wiedział, czy go miało śmieszyć  
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzic, czy cieszyć.

#### b. Zosia.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą,  
Stała, trzymając w ręku podniesione sito,  
Do nóg jej biegło ptactwo; stąd kury szurpate  
Toczą się kłębkami, stamtąd kogutki czubate,  
Wstrząsając kolorowe na głowach szyszaki  
I wiosłując skrzydłami przez brózdy i krzaki,  
Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;  
Za niemi zwolna indyk sunie się odęty,  
Sarkając na trzpiotalstwo swej krzykliwej żony;  
Owdzie pawie jak tratwy długimi ogony  
Sterują się po łące, a gdzieś niegdzie z góry  
Upada jak kiść śniegu gołąb srebrnopióry.  
W pośrodku zielonego okręgu murawy,  
Ścisła się okrąg ptactwa krzykliwy, ruchawy.  
Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi  
Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.  
Tu dzioby bursztynowe, tam czubki z koralu  
Wznoszą się z gęstwi pierza, jak ryby z pod fali.  
Wysuwają się i w ruchach łagodnych  
Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych;



Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi;  
Ona w środku wysoko nad ptactwem się wznosi  
Sama biała i w długą bieliznę ubrana,  
Kręci się, jak bijąca wśród kwiatów fontanna;  
Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy  
Ręką jak perły białą gęsty grad perłowy  
Krup jęczmiennych: to ziarno, godne pańskich stołów,  
Robi się dla zaprawy litewskich rosół;  
Zosia, je wykradając z szafy ochmistrzyni  
Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.  
Usłyszała wołanie: Zosiul — to głos cioci!  
Sypnęła razem ptactwu ostatek łakoci,  
A sama, kręcąc sito, jako tanecznica  
Bębenek, i w takt bijąc, swawolna dziewczica  
Jeła skakać przez pawie, gołębie i kury:  
Zmieszane ptactwo tłumnie furknęło do góry.  
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,  
Zdawała się najwyżej bujać między niemi,  
Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,  
Leciały, jak przed wozem bogini rozkoszy.

a. Widok gór ze stepów Kozłowa <sup>1)</sup>.

PIELGRZYM.

§ 45. Tam! czy Allah postawił ścianą morze lodu?  
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?  
Czy Diwy <sup>2)</sup> z ćwierci ładu dźwignęły te mury,  
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!  
Czy Allah, gdy noc chylał <sup>3)</sup> rozciągnęła bury,  
Dla światów, żeglujących po morzu natury,  
Tę latarnię zawiesił wśród niebios obwodu?

<sup>1)</sup> Kozłów - Eupatorja, miasto na zachodnim wybrzeżu Krymu.  
<sup>2)</sup> złośliwe genjusze, które podług mitologii Persów niegdyś panowały na ziemi. <sup>3)</sup> chylał — suknią honorową, którą sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

MIRZA <sup>1)</sup>

Tam? — Byłem: zima siedzi, tam dzioby potoków  
I gardła rzek widziałem, pijące z jej gniazda.  
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,  
Minąłem grom, drzemiący w kolebce obłoków,  
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda.  
To Czatyrdah<sup>2)</sup>

PIELGRZYM.

Aa!!

b. Tatry.

Wdali!... jakby ciągnący ławą huf kresowy  
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków  
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,  
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumnie głowy!

Wielki, jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!  
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,  
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,  
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż, jak siedzib szukające ptaki,  
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni  
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni Tatrzańskal bo na tym obszarze  
Calej mojej ojczyzny — o skalna świątyni! —  
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

<sup>1)</sup> wódz, książę tatarski, Tatar. <sup>2)</sup> najwydatniejsza, chociaż nie najwyższa góra w Krymie, między Symferopolem a Ałusztą. Odosobniony ze wszystkich stron kolos widoczny jest z Eupatorji jako sinawy, jasno na horyzoncie rysujący się namiot. Stąd też pochodzi nazwa jego w języku tatarskim: Czatyrdah — namiot, dagh — góra. Na wierzchołku Czatyrdahu leży śnieg jeszcze w lipcu, — a w wydrążeniach lejkowatych zbierają się wody, które dają początek licznym potokom.



## a. Fiordy podbiegunowe.

§ 46. Krajobrazy te, będące — z wyjątkiem barwnych światów i zmierzchów — mozaiką bieli i czerni (albowiem wobec białości lodów i śniegów wszystko inne staje się czarne), krajobrazy te nie nadają się do ramek naszej zwykłej estetyki. Nie można ich nazwać pięknymi; zbyt bowiem odskakują od zjawisk, na których kanwie tworzy się i rozwija nasze poczucie estetyczne. To jednak mają w sobie na pewno, że raz widziane, nigdy już zapomniane być nie mogą, wżerają się w całą istotę człowieka, na zawsze.

Z tych gór, okutych w srebrne pancerze, tu i owdzie pęknięte, przebite, pocięte — jakgdyby z pod lśniącej bieli wyskakiwały rany i szramy z krwi czarnej; z tych czarnych skał, piętrzących się pionem, z których szczytów w białych kłębach wali się w przepaść śnieg z hukiem gromu; z tych przestworzy nieprzejrzanym białym lądów, lśniącym płaszczem spływających ku czarnej toni i tu w odbiciu przedzierzgających się w jakieś marzenia srebrne, w białe migocące baśnie; z tej ciżby kry oślepiąco białej na tle czarnych jak sadze wód; z tych samotnych zamków i świątyń lodowych, co w zacisznych zatokach stanęły, odpoczywając, jakby na kotwicy; z całego tego zamętu białych blasków i czarnych kontrastów wyłania się jedno zasadnicze wrażenie: wrażenie nieślychanego majestatu, spowitego w jakąś groźną milczenie. I niemasz w tym majestacie nic ludzkiego, nic bliskiego nam, krewnego: żywoły i tylko żywoły, świat ogromnie nam obcy, nie nasz i nie dla nas... I nigdzie człowiek nie umie tak się skupić, tak milczeć, bo nigdzie chyba nie staje tak głęboko, tak naprawdę sam na sam z sobą i wszechświatem... A w tych chwilach skupienia czuje dziwny dreszcz: jakgdyby sam w sobie się zgubił; jakgdyby wszystko to, co dotąd o sobie wiedział, co dotąd w sobie czuł, było czemś przypadkowym, jakimś pyłkiem, błakającym się w otchłaniach ogromnej reszty, w nieznanych mu zupełnie jego własnych głębiach, które ten obcy milczący majestat natury nagle, na chwilę, w nim i przed nim rozwarł...

## b. Piękno pustyni lodowej.

Piękna jest puszcza zamarzłych fal w dzień, cichy, jasny, mroźny! Niebo, niby dzwon z kryształowego błękitu, mieniąc

się fioletem, zdobny w śnieżne lśniące paprocie subtelnych chmur lodowych, co z dwóch przeciwnych krańców widnokregu zdają się wyrastać, niby bukiety olbrzymiego szronu. Powietrze w nieustannych błyskach: mży w niem pył lodowy, niesłychanie drobny, zdradzający swe istnienie ciągiem migotaniem, skrami diamentu. Ta mgła kryształów czasami załamuje w sobie promienie tak, iż maluje naokół słońca kręgi świetlane, a w nich — węzły barwne, gdyby słońca z tęczy, lub też odbija światło w ten sposób, że kreśli poprzez słońce majestatyczny krzyż białego ognia; łuki, plamy i rogi świetlane rysują się na niebie; czasami zdaje się, jakoby z wierzchołka masztu tryskały fontanny światła i barwy.

Nad linią widnokregu wśród pasm i pręg obłocznych unoszą się fata morgana, senne widziadła odległych pól i gór lodowych, niby dawne, dawne wspomnienia, dwojące się, to znowu wywrócone... A biała pustynia bezbrzeżna drga całą we wszystkich punktach, drga blaskami rozróżonego srebra, tryskającego z pod pocałunków słońca! Od blasków tych oczy, nieosłonięte ciemnym szkłem, krwią napływają i puchną. Wtedy to widać we wszystkich szczegółach całą twarz puszczy lodowej, każdą rzeźbę wichrów, każdy ślad bitwy lodów: i te doły, jamy, parowy, pazurem orkanów wydrapane; i te zasy potężne, odwilżą i gołoledzią w łańcuchy skał stężale; i te białe kurhany tam, gdzie kry z krami walczą, boki sobie łamią, odłamy lodu na metr do góry ciskają, tworząc nasypy białych gruzów, które deszcz śnieżny i zamieć otula i spaja. A w cichej nocy księżycowe przestworza lodu przedzierzgają się w jakiś zaczarowany cementarz. Błada srebrzysta dal i mogił białych łańcuchy, rzucających długie, kręte cienie! Na ich szczytach księżyc żywe blaski nieci; wśród nich — okręt w całuniecie szronów, gdyby srebrny upiór.

A gdy nadleci orkan, gdy pazurami swemi zagarnie sypką pokrywę pustyni i ciskać ją pocznie nad masztami, wtedy nic nie widać, nic — nawet własnego ciała; rozpylony wzajemnym tarciem kurzu wciska się w oczy, przenika przez najszczelniejszą tkaninę; czuje się tylko wilgotny piach pod koszulą, a w oczach — białość niezmierną, wirującą, rozjuszoną... Gdy burza ustaje, gdy orkan opada zmęczony, biała pustynia faluje: po jej powierzchni szczerbatej, od widnokregu, gnana zwirotczalym wichrem sunie miljonowa armia żywych węży ze śniegu.



## c. Rzeki Islandji.

Ciągły niepokój łożyska stanowi wybitne piętno rzek Islandji, jakgdyby rzeki te niedawno się narodziły, jakgdyby łód dopiero co się cofnął. Dlaczego wody islandzkie dotąd jeszcze nie zdołały ustalić swych koryt? Odpowiedź jest łatwa: wszystkie te wody, zarówno jak łód, którym się karmią, nie na martwej opoce gospodarują, lecz na żywym ciele wulkanów, którego straszne odruchy w jednej chwili niweczą całą mozolną pracę natury, wszystkie normy, w jakie ułożyć się pragnie życie powierzchni wyspy.

Ogień i lód — dwie najsprzeczniesze potęgi globu — wypowiedziały tu sobie odwieczny bój, i w tych straszliwych zapasach ześrodkowuje się całe życie natury islandzkiej — swoiste, jedyne na globie. Pod tarczą lodów drzemią niewidzialne siły, tylko nieznaczące wpadliny zdradzają groźne czeluście kraterów. Lecz oto drgnęły trzewia ziemi: rzeka z pod tarczy wulkanu płynąca, nagle wysycha; czasami para siarkowa jest katastrofy gońcem. Wtem grzmot wstrząsnął przestrzenią; z lodowca w majestatycznych wytryskach buchnęła woda, z chmurą popiołów, z oślepiającą łuną potoków lawy potwornie sprzężona. Strumienie ognia wciskają się pod brzuch lodowca, liżą go płomiennym językiem; w ziejących ranach kipi lód, tryskając warem w obłoku gorącej mgły. Pryska lodowy grzbiet, podziemną bombą podminywany, strzela naokół na całe mile zamętem świszczących brył lodu. Straszna chwila doszła do szczytu: w wyschłe koryto rzeki wrywa się ryczący potop piany, na całe mile rozpierający się wszerek, skacze w dolinę, ciska w nią gradem olbrzymich pocisków, głazów i brył lodowych, sypie z nich wały milowe, ponad 30 m. wypiętrzone. Wreszcie słabnie paroksyzm wulkanu, napowrót w głąb ziemi się wtula, zasypia na nowo — na czas nieokreślony, aż do fatalnego terminu, którego nauka, niestety, dotąd przewidzieć nie umie.

## a. Hymn.

§ 47. Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?

Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie:

I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie,

Złota też, wiem, nie pragniesz: bo to wszystko Twoje,  
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.

Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,  
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś pan wszystkiego świata, tyś niebo zbudował  
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,

Tyś fundament założył nieobeszłej<sup>1)</sup> ziemi  
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,  
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.

Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,  
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,  
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi.

Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,  
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twojej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,  
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;

Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,  
A Ty każdego żywisz z Twojej szcudrośliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!  
Twoja łaska, Twoja dobroć nigdy nie ustanie!

Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi;  
Jedno zawždy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

## b. Arcy-mistrz.

Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru  
I wszystkie serca nastroił do wtóru,  
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,  
A wodząc po nich wichry i pioruny,  
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:  
A świat dotychczas nie pojął jej wtku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie  
I malowidła odbił na tle fali,  
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie  
I w głębi ziemi odlał je z metali:

<sup>1)</sup> nieobeszły = nie dający się obejść, niezmierny.



A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiele,  
Nie pojął jednej myśli twórcy.

Jest mistrz wymowy, co bożą potęgę  
W niewielu słowach objawił przed ludem  
I całą swoich myśli i dzieł księgę  
Sam wytłumaczył głosem, czynem, cudem.  
Dotąd mistrz nazbyt wielkim był dla świata,  
Dziś świat nim gardzi, poznawszy w nim brata.

Sztukmistrz ziemski! czym są twe obrazy,  
Czem są twe rzeźby, i twoje wyrazy?  
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie  
Twych myśli, i mów, i dzieł nie rozumie?  
Spójrz na mistrza i cierp, boży synu,  
Nieznany albo wzgardzony od gminu.

§ 48. a. *Tetmajer K., Ksiądz Piotr (Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych 39).*

b. *Żeromski St., Siłaczka (Bibl. Un. Lud. 5).*

c. *Górski K., Bibljoman (Bibl. Un. Lud. 88).*

a. Pan Zagłoba w drodze pod Konstantynów.

§ 49. Pan Zagłoba jechał przy Skrzetuskim, ale wiercił się jakoś na kulbace, i widać było, że wobec bliskiej bitwy niepokój go ogarnia.

— Mości panie — rzekł do Skrzetuskiego, szepcząc cicho, jakby się bał, by go kto nie podsłuchał.

— Co waszmość powiesz?

— Czy to husarze pierwsi uderzą?

— Mówiłeś waćpan, żeś stary żołnierz, a nie wiesz, że husarzy konserwuje się do rozstrzygnięcia bitwy, w chwili, gdy nieprzyjaciół najbardziej siły wyteży.

— Wiem ci ja to, wiem, ale się chciałem upewnić.

Nastała chwila milczenia, poczem pan Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej i mówił dalej:

— Czy to Krzywonos z całą potęgą?

— Tak jest.

— A ile prowadzi?

— Razem z czernią sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

— O, do diabła! — rzekł pan Zagłoba.

Skrzetuski uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie myśl waćpan, że ja się boję — szeptał dalej Zagłoba — ale mam krótki oddech i nie lubię tłoku, bo gorąco, a jak gorąco, to już nic po mnie. Bodaj to w pojedynkę sobie radzić! Człek przynajmniej fortelów może zażyć, a tu nic po fortelach! Nie głowa, jeno ręce wygrywają. Tu ja głupi przy panu Podbiępie. Mam na brzuchu te dwieście czerwonych złotych, co mi je książę darował, ale wierzaj mi waszmość, że brzuch wolałbym mieć gdzie indziej. Tfu! tfu! nie lubię ja tych wielkich bitew! Niech je zaraza tłucze.

— Nic waści nie będzie, nabierz ducha.

— Ducha? Tego ja się tylko przecie boję, że męstwo roztropność we mnie zwycięży. Nadtóm zapalczywy. A miałem zły omem: gdyśmy siedzieli przy ognisku, dwie gwiazdy spadły. Kto je wie? Może która moja?

— Za dobre uczynki Bóg waszmości nagrodzi i w zdrowiu zachowa.

— Byle mi za wcześniej nagrody nie obmyślił!

— Czemużeś nie został przy taborach?

— Myślałem, że przy wojsku bezpieczniej.

— Bo i tak jest. Obaczysz waćpan, że to nic wielkiego. My już zwyczajni, a consuetudo altera natura. Ot, już Słucz i Wiszowaty Staw.

Istotnie wody Wiszowatego Stawu, oddzielone od Słuczy długą groblą, zabłyśły w oddaleniu. Wojska zatrzymały się naraz na całej linii.

— Czy to już? — spytał pan Zagłoba.

— Książę szyk będzie sprawiał — odparł pan Skrzetuski.

— Nie lubię tłoku! powtarzam waści, nie lubię tłoku!

— Husarja na prawe skrzydło! — rozległ się głos służbowego, który od księcia przypadł do pana Jana.

Rozwidniło się zupełnie. Łuna zbladła w blaskach wschodzącego słońca, złociste promienie odbiły się w ostrzach husarskich kopij, i zdało się, że nad rycerzami płoną tysiące świec. Po sprawieniu szyków, wojsko, nie ukrywając się już dłużej, zaśpiewało w jeden głos: „Witajcie, podwoje zba-



wienia!” Potężna pieśń rozbiegła się po rosach, uderzyła o bór sosnowy i, odbita echem, wleciała ku niebu.

Nareszcie brzeg po drugiej stronie grobli zaczęli się, jak okiem sięgnąć, chmurami kozactwa; pułki płynęły za pułkami, konni zaporozcy, zbrojni w długie spisy, pieszy lud z samopalmami i fale chłopstwa, zbrojnego w kosy, cepy i widły. Za nimi widać było jak we mgle olbrzymi tabor, niby miasto ruchome. Skrzypienie tysięcy wozów i rzenie koni dochodziło aż do uszu książęcych żołnierzy. Kozactwo jednak szło bez zwykłych wrzasków, bez wycia i zatrzymało się po drugiej stronie grobli. Dwie przeciwne potęgi patrzyły czas jakiś na się w milczeniu.

Pan Zagłoba, trzymając się ciągle przy Skrzetuskim, spoglądał na owó morze ludzkie i mruczał:

— Jezu Chryste, pocóżes stworzył tyle tego tałałajstwa! To chyba sam Chmielnicki z czernią i wszystkimi wszami. Nie rozpusta że to, powiedz mi waszmość? Czapkami nas pokryją. A tak dobrze przedtem bywało na Ukrainie! Walą się i wałają bogdaj was djabli w piekle walili! I wszystko to na naszą skórę. Bogdaj ich nosaczna zżarła...

— Nie klnij waść! Dziś niedziela.

— A prawda, dziś niedziela, lepiejby o Bogu pomyśleć. Pater noster, qui es in coelis... żadnego respektu od tych łajdaków spodziewać się nie można. Sanctificetur nomen Tuum... Co to się będzie działo na tej grobli!... Adveniat regnum Tuum... Już we mnie dech zaparło. Fiat voluntas Tua... Boda-jeście wyzdychali, hamany, mężobójcel... Patrz-no waść! Co to?

Oddział, złożony z kilkuset ludzi, oderwał się od czarnej masy i sunął beładnie ku grobli.

— To harcownik—rzecze pan Skrzetuski.—Zaraz nasi ku nim wyjadą.

— Czy to już koniecznie bitwa się zacznie?

— Jak Bóg na niebie!

— Niech to djabli porwą!—(Tu zły humor pana Zagłoby nie miał już miary). — A waść, to patrzysz jakby na teatr w mięsopust! — wykrzyknął z niechęcią do Skrzetuskiego — jakby nie o waści skórę chodziło!

— My już zwyczajni, mówiłem.

— I pewnie na harce ruszysz?

— Niebardzo to przystoi rycerzom z pod górnych znaków na pojedynek z takim nieprzyjacielem się bić, nie czyni tego,

kto powagę kocha. Ale w tych czasach nikt nie ma względu na godność.

— Idą już i nasi, idą! — wykrzyknął pan Zagłoba, widząc krasną linję dragonów Wołodyjowskiego, posuwających się truchtem ku grobli.

Za nimi ruszyło po kilkanaście ochotnika z pod każdej chorągwi. Poszli między innymi; rudy Wierszuł, Kuszel, Poniatowski, dwóch Karwiczów, a z pod husarskiego znaku pan Longinus Podbipięta.

Odległość między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać gwałtownie.

— Pięknych rzeczy będziesz waść świadkiem — rzekł Skrzetuski do pana Zagłoby. — Uważaj szczególnie Wołodyjowskiego i Podbipiętę. Wielcy to rycerze. Dojrzysz ich waść?

— Dojrzę!

— To patrz, sam się rozłakomisz!

#### b. Pan Zagłoba zdobywa sztandar.

Gdy husarja ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić bez narażenia się na strącanie. Leciał tedy, przymknawszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawiczną szybkością myśli: „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie!” Potem ogarnęła go złość na wojnę, na kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kłać — i modlić się. Powietrze świszczало mu w uszach, tamowało oddech w piersi, — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy i cóż ujrzał: oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów... a wszystko to niewyraźne, niewiedomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekłe. Wtedy porwała go ostatnia pasja na tych nieprzyjaciół, że nie uciekli do djabła, że leżli w oczy i że zmuszali go do bitwy. „Chcecie, to macie!” — pomyślał — i począł ciąć ślepo, na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie uczył, że jeszcze żyje, i to dawało mu nadzwyczajnie otuchy. „Bij! zabij!” — ryczał jak bawół. — Nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu,



a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmyka! — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest! Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to szlachcie stawacie?

I skoczył między uciekających, minął wielu i zamieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przypierali Niżowców do brzegów Słuczy, porosłych dość gęsto drzewami — i gnali ich wzdłuż brzegu do grobli, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyną się pod nim rozpierać, ale jednocześnie spadło na niego coś ciężkiego i obwiązało mu całą głowę, tak że otoczyła go ciemność zupełna.

— Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie zmorzony ciężarem jeźdźcy, jęczał tylko i stał w miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących około siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał, i naokoło nastąpiła względna cisza.

I znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

— Co to jest? co się stało? Jezu Marja! wzięto mnie w niewolę.

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę tak samo, jak on niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu, to dłoń hajdamacka. Ale czemuż go nie prowadzą lub nie zabijają? czemu stoi w miejscu?

— Puszczaj, chanie — krzyknął wreszcie przyduszonym głosem.

Milczenie.

— Puszczaj, chanie! Daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku. Zatknięte bydlę rozkraczyło się tylko szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasja pochwyciła nieszczęśliwego

jeźdźca i, dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie w tył za siebie.

Ale nóż przeciął tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękoma za ową zaslonę, obwijając mu głowę, i zerwał ją w mgnieniu oka.

Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokoło pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących krasnych dragonów Wołodyjowskiego, o kilkanaście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracając ich z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachta nakryła mu głowę.

Ujrawszy to wszystko i zrozumiawszy dokładnie, mąż ów oprzytomniał zupełnie.

— Aha! — rzekł — zdobyłem chorągiew. Jakto? mozem jej nie zdobyć? Jeśli justycja nie polegnie także w tej bitwie, tedy pewien jestem nagrody. O chamy! szczęście wasze, iż koń mi się rozparł. Nie znałem się, mniemając, iż fortelom mogę ufać bardziej, niż męstwu. Mogę się do czegoś więcej w wojsku przydać, niż do zjadania sucharów. O dla Boga! znowu tu jakaś wataha leci. Nie tedy, psułaty, nie tedy! Żeby tego konia wilcy zjedli! Bij! zabij!

§ 50. B. Prus, „Kamizelka“ (Bibl. Un. Lud. 35).

## ROZDZIAŁ II.

### a. W lesie.

§ 51.

Wolno i sennie chodzą  
Po jasnym tle błękitu  
Złocisto-białe chmurki  
Z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy  
Pod słońca blask zukosa  
Jaskółka śmigła, czarna,  
Sunąca przez niebiosy.



Po łące cichej, jasnej  
W srebrne objętej ramy,  
Przez opalowy strumień  
Złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska  
Na ciemnej drzew zieleni  
Lub przez konary rzuca  
Ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,  
Po łąk zielonym łanie  
Przejrzyste, zwiewne idzie  
Błękitne zadumanie.

b. Niewinność.

Obłoki pachną wiosną,  
Wonieje ziemia świętem.  
W powietrzu rannie, rośno...  
Śpiew w sercu wniebowziętem...

Soczysta, mokra trawa...  
Zdźbeł czułe ciała suszy  
Wiatr zdrowy jak zabawa...  
Śmiech w zachwyconej duszy...

Kochane słońce wkoło  
Rozlewa złoto płynne.  
Hen w mgle tak modre sioło,  
Jak miejsce snów rodzinne.

Skowronek, ranka serce,  
W błękitach szczęściem bije.  
Kwieciste łąk kobierce  
Są boże i niczyje.

Precz z głowy myśli ženą<sup>1)</sup>.  
Jak dziecko gdzieś przed laty,

<sup>1)</sup> Gonią, pędzą.

Oczyrna myślę jeno:  
...Niebiosą, słońce, kwiaty...

W Szwajcarji II.

§ 52. W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,  
Gdzie Aar wody błękitnymi spada.  
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.  
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?  
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,  
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmiesza;  
A czasem tylko jakie białe jagnię  
Przez tęczę idzie na skraju doliny  
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;  
Lub jaki gołąb, co wody zapagnie,  
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,  
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.  
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,  
Że z tęczy wyszła i z potoku piany  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;  
Tak jasną była od promieni słońca!  
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!  
Tak rozwidniona żrenicą z błękitu! —  
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,  
To zakochały się w niej moje oczy;  
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,  
Poszło i serce, a za sercem dusza.  
I tak się zaczął prędko romans klecić,  
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;  
Bo się lękałem, że, jak widmo blade,  
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,  
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,  
I roztopi się, i zgaśnie, i zniknie;  
I byłem jak ci, co się we śnie boją,  
Bo jużem kochał, bo już była moja.  
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą  
Pod jasną tęczy różnobarbnej bramą;  
Powiew miłości owiał mię uroczy.  
Stałem przed nią i spuściłem oczy.



a. Nie miejże urazy...

§ 53. Nie miejże urazy do mnie, słonko moje,  
Że ja w blaskach twoich zadumana stoję;  
Nie miejże urazy, słonko brylantowe,  
Że ja mam łzy w oczach i schyloną głowę.  
Ty chodzisz po niebie, po błękitnem niebie,  
Złote chmurki biją gościniec dla ciebie,  
Zorza cię obrzuca różami jasnemi...  
Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi.  
Gdy oczy otworzysz, blaski dnia się złocą:  
A ja wstałam czarną, bez rozświtu nocą...  
Ty wiesz, że gdzie pójdziesz, weźmiesz swe promienie;  
Ja, choć wołam: „Światła!“, niosę z sobą cienie.

Ty kąpiesz swe czoło w jasnym, cichym zdroju,  
A ja myśl swą nurzam w falach niepokoju...  
Ja rozświecam ciernie, ty rozświecasz róże;  
Ty tylko pogodę, ja widziałam burze.

Droga twoja, słonko, równa jak pierścionek...  
Cicho w morzu tonie kończący się dzionek;  
Nie znasz łez tęsknoty, nadziei uśmiechu,  
Zachodzisz bez żalu, wschodzisz bez pośpiechu.

Ja znam błędne blaski i zaćmienia ducha...  
Wiem, że dziś to odłam przeszłości łańcucha;  
Wiem, że jutro wstanie z ścisłością straszliwą,  
Wczorajszego siewu niosąc krwawe żniwo...

Więc drzę i na zachód oczy zwracam z trwoga  
I pytam, gdzie idą, czy cienie przemogą  
Gasnące te blaski, czy wskreszą o świetle,  
I pragnę ust tchnieniem utrzymać ich życie...

Nie bywasz ty, słonko, w ponurej ciemnicy;  
Gdzie nędzny skazaniec zamiera z tęsknicy;  
Nie bywasz, słoneczko, w poddaszu ubogiem,  
Gdzie ściany wilgotne kostnieją za prągiem...

Nie widzisz ty nigdy zbrodni, skrytej w cieniu,  
Nie wiesz, co bezsenna noc mówi sumieniu,  
I ledwo promyczek pierwszych brzasków błądy  
Zasłyszysz żądz mętnych płomienne narady.

Nie widzisz ty, słonko, z wysokiego nieba,  
Jak się sen sprzedaje za kawałek chleba;  
Nie widzisz ty matki schylonego czoła  
Nad kolebką dziecka, co próżno jeść woła...

Nie widzisz, jak walczy, upada, zwycięża  
Ten młody zapaśnik, co urość chce w męża...  
Nie widzisz ty, słonko, jak myśl gorejąca  
Wypala się cicho przy blaskach miesiąca...

Nie widzisz, jak we łzach stoi lilja blada...  
Nie widzisz, jak gwiazda zabłąkana spada...  
Nie słyszysz szelestu drżącego oddechu  
I nie znasz pragnienia, ni walki, ni grzechu...

Ty królewskie czoło podnosisz w błękity  
Nad świat ten złamany, skłócony, rozbity —  
I nie wiesz, ciskając promieni swych słupem,  
Że jesteś gromnicą, zatloną nad trupem!

Więc nie miej urazy do mnie, słonko moje,  
Że ja w blaskach twoich zachmurzona stoję;  
Nie patrz na mnie z dziwem oczyma złotemi...  
Ty chodzisz po niebie, ja — po smutnej ziemi.

b. A jak poszedł...

A jak poszedł król na wojnę,  
Grały jemu surmy zbrojne,  
Grały jemu surmy złote  
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,  
Zaszumiły jasne zdroje,  
Zaszumiło kłósów pole  
Na tęsknotę, na niedolę.



A na wojnie świszczą kule,  
Lud się wali jako snopy,  
A najdzielniej biją króle,  
A najgęściej giną chłopcy.

Szumiały orły chorągwie,  
Skrzypi kędys krzyż wioskowy,  
Stach śmiertelną dostał ranę,  
Król na zamek wraca zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,  
Wyszła przeciw zorza złota,  
I zagrały wszystkie dzwony  
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,  
Zaszumiały drzewa wdali,  
Zadzwoniły przez dąbrowę  
Te dzwoneczki, te liljowe...

#### b. Pomnik Piotra Wielkiego <sup>1)</sup>.

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce  
Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce:  
Jeden, ów pielgrzym <sup>2)</sup>, przybylec z zachodu,  
Nieznana carskiej ofiara przemocy;  
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,  
Sławny pieśniami na całej północy <sup>3)</sup>.  
Znali się z sobą niedługo, lecz wiele —  
I od dni kilku już są przyjaciele.  
Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody,  
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,

<sup>1)</sup> Pomnik kolosalny brązowy na bryle granitu w Petersburgu nad Nową, roboty rzeźbiarza Falconneta. Na nim napis: „Petro Primo Catharina Secunda. (Piotrowi Pierwszemu Katarzyna Druga).  
<sup>2)</sup> Wiersz „Pomnik” jest czwartym z kolei w szeregu, tworzącym „Dziadów” części III Ustęp. W poprzednich poeta mówił o pielgrzymie w Petersburgu (jest nim sam poeta), stąd zaimek „ów”. <sup>3)</sup> Aleksander Siergiejewicz Puszkina (1799—1837), najslawniejszy poeta rosyjski. Młodekiewicz poznał się z nim i wszedł w bliższe stosunki w Moskwie 1826 r.

Choć je na wieki rozerwał nurt wody,  
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,  
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.  
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,  
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:

„Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,  
Druga carowa pamiętnik stawiała.  
Już car, odlany w kształcie wielkoluda,  
Siadł na brązowym grzbiecie bucefała  
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno;  
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,  
W ojczyźnie jemu niedosyć przestronno;  
Po grunt dla niego posłano za morze.  
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży  
Wzgórek granitu; ten na pani słowo  
Płynie po morzu i po lądzie bieży,  
I w mieście pada nawznak przed carową.  
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,  
Car knutowładny w todze Rzymianina —  
Wskakuje rumak na granitu ściany,  
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie  
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,  
Który tem naprzód rozślawił swe imię,  
Że wygnał szpiegów i donosicieli.  
A kiedy dzierców domowych poskromił,  
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu  
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,  
Do spokojnego wraca Kapitolu:  
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło, —  
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;  
Rękę poważnie wznosił, jakgdyby wkoło  
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,  
A drugą rękę opuścił na wodze,  
Rumaka swego zapędy ukraca.  
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze  
I krzyczał: „Cesarz, ojciec nasz, powracal”  
Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem,  
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem;  
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci.



Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,  
 Że wiezie ojca miljonom dzieci,  
 I sam hamuje ogień swej żywości;  
 Dzieci przyjsć blisko, ojca widzieć mogą.  
 Koń równym krokiem, równą stąpa drogą,  
 Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,  
 Widać, że leciał, tratując po drodze;  
 Odrazu wskoczył aż na sam brzeg skały.  
 Już koń szalony wzniósł w górę kopyta —  
 Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta,  
 Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!  
 Od wieku stoi, skacze, lecz nie spada,  
 Jako lecąca z granitów kaskada,  
 Gdy, ścięta mrozem, nad przepaścią zwiśnie...  
 Lecz, skoro słońce swobody zabłyśnie,  
 I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,  
 I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?

§ 54. *E. Orzeszkowa, Ogniwa (Bibl. Uniw. Lud 10)*

a. Pożar stepu.

§ 55. Wnet na trzech punktach stal iskry ciska <sup>1)</sup>)...  
 Iskry, w garść suchej trawy ujęte,  
 Podmuchał wiatru silnie rozdęte,  
 Trzy wśród przestrzeni tworzą ogniska,  
 Co tak pełzają promieńmi mdłemi,  
 Jakby trzy gwiazdy legły na ziemi.  
 Ogień się rzuca na zeschłe zioła,  
 Wiatr go rozdyma, miota, roztrąca...  
 I już się palą trzy wielkie koła,  
 Jakgdyby z niebios spadły trzy słońca.  
 Z tych kół ognistych przez podmuch świeży  
 Żar się wylewa w jasnych potokach,  
 A każdy potok w step czarny bieży  
 W linjach, zygzakach, wężach, przeskokach.—

<sup>1)</sup> Pożar wznieca stary Bij, z którego córką, Dumelą, uciekał mody Kirgiz.

Już wichrem gnane w przestwór daleki  
 Z trzaskiem i z sykiem płyną trzy rzeki,  
 Płyną... wzbierają falą płomieni;  
 Niebo się krwawą łuną czewieni. —  
 „Lubyl... patrz!... jak się niebo oświeca...  
 Czy księżyc wschodzi?...“ — „O, blask księżycy,  
 Droga Demelo, nie takiej mocy...  
 To pewnie błyszczący zorza północy“.  
 Ogień z wściekłością, ciągle rosnącą,  
 Coraz się szerszem korytem leje. —  
 Bucha... iskrami sypie... szaleje...  
 I już trzy rzeki z boków się łączą,  
 I straszny pożar w lewo i w prawo  
 Płomienną, długą, toczy się lawą. —  
 Zbudzony światłem, z pobliskich krzaków,  
 By dzień powitać, leci rój ptaków...  
 Leci... na skrzydłach waży się — śpiewa...  
 I milknie — w paszczy otchłani wrzającej...  
 Paszcza wciąż ziele — a krzaki, drzewa,  
 Gdy je obejmie oddech palący,  
 Stawają w ogniu, i jak gwiazdami  
 Chwilę złotemi trzęsą liśćmi...  
 Przeszło... i drzewa w popiół się sypią...  
 A jako fale wzburzone kipią.  
 Tak huczac, leci powódź płomieni,  
 Niebo się coraz krwawiej czerwieni.

b. Szkoda!

Szkoda kwiatów, które więdną  
 W ustroni  
 I nikt nie zna ich barw świeżych  
 I woni.  
 Szkoda pereł, które leżą  
 W mórz toni;  
 Szkoda uczuć, które młodość  
 Roztrwoni.  
 Szkoda marzeń, co się w ciemność  
 Rozproszą;  
 Szkoda ofiar, które nie są  
 Rozkoszą.



Szkoda pragnień, co nie mogą  
Wybuchać,  
Szkodą piosnek, których niema  
Kto słuchać;  
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie  
Do starcia,  
I serc szkoda, co nie mają  
Oparcia.

c. Iskrę słońca masz...

...Iskrę słońca masz w sobie,  
Nie zdmuchnioną i w grobie:  
Czemu ziębniesz wśród cienia?  
Czemu błąkasz się w nocy?  
Roztlij ją jak pochodnię  
Na twe drogi przewodnie!  
Rozdmuchaj do płomienia,  
Do jasnego ogniska!  
Niech cię grzeje, niech błyska  
Żarem czucia i mocy.

Rozpal ją purpurową  
Do pożaru ogromu,  
Choćby ci dach nad głową  
Spłonąć miał twego domu...  
I w tej potężnej łunie,  
W gromie twej siły, w prawdy twej piorunie  
Stań okowidnie światu,  
Ty — sprawca majestatu  
Własnej twej klęski...  
Ty — duch zwycięskil

Dom odbudują inni, gdy przejdą godziny  
Czasów na niebie,  
Z tej samej gliny,  
Która, o jasny duchu, osypie się z ciebie.

d. Rozmowa z piramidami.

Piramidy, czy wy macie  
Takie trumny, sarkofagi <sup>1)</sup>,  
Aby miecz położyć nagi,  
Naszą zemstę w tym bułacie <sup>2)</sup>  
Pogrześć i nabalsamować  
I na późne czasy schować?  
— Wejdz z tym mieczem w nasze bramy,  
Mamy takie trumny, mamy!

Piramidy, czy wy macie  
Takie trumny, grobowniki <sup>3)</sup>,  
Aby nasze męczenniki  
W balsamowej złożyć szacie,  
Tak, by każdy na dzień chwały  
Wrócił w kraj choć trupem cały?  
— Daj tu ludzi tych bez plamy,  
Mamy takie trumny, mamy!

Piramidy, czy wy macie  
Takie trumny i łzawice <sup>4)</sup>,  
By łzy nasze i tęsknice  
Po ojczystych pól utracie  
Zlać tam razem i ostatek  
Czary dolać łzami matek?  
— Wejdz tu, pochyl blade lice,  
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie  
Takie trumny, zbawicielki,  
Aby naród cały, wielki,  
Tak na krzyżu, w majestacie  
Wnieść, położyć, uspić cały,  
I przechować — na dzień chwały?  
— Złóż tu naród, nieś balsamy,  
Mamy takie trumny, mamy.

<sup>1)</sup> grobowce w kształcie trumny. <sup>2)</sup> stali, doskonale wypolerowanej, szerokiej szabli (tur. pulad=stal). <sup>3)</sup> grobowce. <sup>4)</sup> naczynia, w których poganie, jak błędnie mniemano, przechowywali łzy, wylane na pogrzebie.



Piramidy, czy została  
Jeszcze jaka trumna głucha,  
Gdziebym złożył mego ducha,  
Ażby Polska zmartwychwstała?

— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,  
Bo twój naród nieśmiertelny,  
My umarłych tylko znamy,  
A dla ducha trumna nie mamy!

a. Jak sen.

§ 56.

Woda tak cicha,  
Jak sen...  
Wiatr lekuchno wzdycha —  
Jak sen...  
Łódka tak ucieka —  
Jak sen...  
Myśl taka daleka —  
Jak sen...

b. Księga ubogich XXXI

Pożółkły znużone pola,  
Niebiosa coraz to bledsze,  
Żądnymi piersiami chłonę  
Ciche, jesienne powietrze.

Rozglądam się naokoło —  
Niebujnie tu, niebogato,  
A przecież mi nie żal dzisiaj,  
Że się prześniło lato.

W tej pustce, w wyczerpaniu,  
Które mi w oczach rośnie,  
To samo odczuwam życie,  
Jak w pełnej, kwitnącej wiosnie.

Przystaję na długiej miedzy,  
Ku rzyskom nakłaniam lica,  
Z powiedłych kępek ta sama  
Wyziera mi tajemnica:

Mgły jakieś nieuchwytnie  
Las osnuwają bury,  
Nieśmiało migając w słońcu  
Śniegiem pokryte góry.

Urocza, smętna martwota,  
Zda się, iż śmierć jest gdzieś bliska,  
Na pochyłościach wierchu  
Jesienne dymią ogniska.

Nieletni, wątlą pastuszek  
Okiem mnie wita lękliwie —  
Jeszcze się było pasie  
Na tej wychudłej niwie.

Jeszcze jest jakaś czerstwość  
Na niwie tej wypalanej —  
Z wrzaskiem niesamowitym  
Wkrąg się zwołują wrony.

Gdzieś lecą, gdzieś giną wdali,  
Wzięły ze sobą zmorę —  
Garść pełną zoranej gleby  
Do chciwej ręki biorę.

Upajam się jej zapachem,  
I dzisiaj tak samo on świeży —  
O rodzicielko żywota,  
O święta, płodna Macierzy!

O skarbie ty mój najdroższy,  
Rozstać się z tobą nie mogę —  
Zielone jeszcze sitowie  
Z uśmiechem zaszło mi drogę.

Na gruzem zasłanej miedzy  
Jałowiec krzewi się młody,  
Dziś barwy mu odmieniły  
Fioletowe jagody.

Skąpo się fala toczy  
Potokiem, co wysechł w lecie,



Z pomiędzy chwastów nad brzegiem,  
Samotne żółcieje kwiecie.

Ostatnie to już — zapewne.  
O innych nie usłyszycie,  
Lecz ja w tej pustce dzisiejszej  
To samo odczuwam życie.

W tem wyczerpaniu, co dzisiaj  
Świat tak cudownie mroczy,  
Ta sama wszak tajemnica  
Dziwem otwiera mi oczy.

Powiędły, przymarły pola,  
Niebiosa coraz to bledsze,  
Żądnymi pierściami chłonę  
Ciche, jesienne powietrze.

- § 57. *Mickiewicz A., Pan Tadeusz. Ks. I, II, III; X, XI, XII.*  
*Sienkiewicz H., Ogniem i mieczem. Rozdział I, II, III t. I i XXIX, XXX i epilog t. II.*

a. Rozum i wiara.

- § 58. Kiedy rozumne, gromowładne czoło  
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem:  
Pan je wzniosł w niebo jako tęczy koło,  
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,  
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;  
I gdy mój naród złęknie się potopu,  
Spójrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Paniel mą pychę duch pokory wzniecił;  
Choć górną błyszczy na niebios błękicie,  
Paniel jam blaskiem nie moim zaświecił,  
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!

Przejrzałem niskie ludzkości obszary  
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:

Wielkie i mętne, gdy patrzyć rozumem,  
Małe i jasne przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze.  
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,  
Zamknięci w sobie, jak konchy ślimacze,  
Chcieliście mali obejrzeć krąg świata.

„Konieczność, rzekli, wedle ślepej woli  
Panuje światu, jako księżyc morzu“.  
A drudzy rzekli: „Przypadek swawoli  
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu“.

Jest Pan, co objął oceanu fale  
I ziemię wiecznie kazał mu zamacać;  
Ale granicę wykował na skale,  
O którą wiecznie będzie się roztracać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;  
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie:  
Im wyżej buchnął, tem głębiej upadnie,  
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,  
Na szumnej morza igrając topieli,  
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,  
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzkil tyś mały przed Panem,  
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;  
Świat cię niezmiernym zowie oceanem  
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga;  
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,  
Opływa ziemię, niebios nie dosięga:  
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,  
Otchłanie ryjesz i wgórę się ciskasz,  
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,  
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!



A promień Wiary, którą Niebo wznieca,  
Topi twe krople, zapala twe gromy  
I twe pogodne zwierciadła oświeca;  
Ach! ty bez Wiary byłbyś niewidomy.

b. *Bolesław Prus, Sen. (Arcydziela pisarzy polskich i obcych 38. Brody).*

### Burza.

§ 59. Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,  
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki,  
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,  
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z triumfem zawył; a na mokre góry,  
Wznosząc się piętrami z morskiego odmetu,  
Wstąpił genjusz śmierci i szedł do okrętu,  
Jak żołnierz, szturmujący w połamane mury.

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,  
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,  
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnąć.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie  
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,  
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

a. *Iliada. Pieśń XVIII, w. 35—127,*

(Achilles oplakuje śmierć przyjaciela Patrokla).

§ 60. Stęknął przerażająco: usłyszysz go matka <sup>1)</sup> czcigodna,  
W morza głębinie siedząca przy swoim ojcu sędziwym.  
Płakać poczyną na głos: przybiegają przelekle boginki:  
Wszystkie a wszystkie Nerejdy, żyjące w toniach podwodnych.  
Więc przylatuje Świetliczka, Kwiciarka, Krążniczka i Złudka;  
Więc Jaskiniarka przybiega i fal czarnooka Królowna;  
Więc i Wyspiarka, Brzegówka hałaśna, Laszanka nadrzeczna:

<sup>1)</sup> Achilles był synem Peleusza, króla Ftyi, krainy tesalskiej, i Tedyty, jednej z Nereid, nimf morskich, córek Nereusa.

Rażna Nurzanka, Miodniczka, Wirówka, najszybsza ze wszystkich,  
Doto i Proto, Iskierka, Trzęslica i hojna Rybaczka: [kich,  
Więc i Kryniczka, i Splotka cudowna, i Swarka zawzięta,  
Więc Kolebatka, Panopa, Tryskawka i dwie Falobujki:  
Odbijająca i podbijająca, i Szumka, i Błyszczka;  
Więc Galatea, królowna przepiękna, Zbieraczka i Siewka;  
Ciszka i Rozgonicielka, Gładyszka, Piaskówka i Zwijka;  
Z niemi też inne Nerejdy, żyjące w toniach podwodnych.  
Srebrna się grota całutka wypełnia, i bije się każda  
Dłońmi po piersiach, a zale Tedyta zawodzi przed niemi:

„Och, posłuchajcie, Nerejdy, o siostry moje kochane:  
Wszystkie poznajcie to dziś, jaka żalność w duszy mi ciąży.  
Biadaż mi, biada nieszczęsnej, o biada złej rodzicielce,  
Mnie, com syna powiła dzielnego, nieskażonego.  
Wzrósł jak drzewo wysoki, najtęższy ze wszech bohaterów.  
Gdym go wyhodowała, jak bujną w ogrodzie latorośl,  
Do Iljonu wysłałam na szybkożeglownym okręcie  
Z Trojańczykami wojować i już go teraz nie ujrzę  
U Peleusza w domostwie zpowrotem w progach ojczystych;  
Ależ dopóki mi żyw i na światło patrzy słoneczne,  
Krzywdy ponosi, a ja, choćbym chciała, nie mogę dopomóc.  
Pójdę, obaczę swojego synalka: niechże się dowiem,  
Skąd go bieda dosięgła, pomimo że walki zaniechał“.

Tak powiedziawszy, wychodzi z pieczary; z nią i boginki  
Poszły, łzy wylewając, a fale się morskie przed niemi  
Rozstępowały; a skoro do twardoskibiastej Troady  
Doszły, tam pokolei wychodzą na brzeg, gdzie leżały  
Mirmidończyków okręty dokoła okrętu Achilla.  
Tam do stękającego przybliży się matka czcigodna  
Łzami zalana; i dłońmi synalka za głowę ująwszy,  
Z utyskiwaniem ozwała się wraz z polotnemi słowami:

„Dziecko, czego ty płaczesz, skąd ci w duszy tęsknota,  
Powiedz, w sercu się nie taj; wszystko ci przecie Kronida  
Spełnił, czego żądałeś, podnosząc ręce do nieba.  
Otoć Achejcykowie, do ruf okrętowych przyparci,  
Kłęski podnoszą i twojej pomocy błagają, Achilu“.

Na to, ciężko westchnawszy, odezwał się zwawy Achilles:  
„Prawda, o matko, zadość mi uczynił Zeus Olimpijczyk;  
Co jednakowoż mi z tego, gdy druh mój legł ukochany,  
Boski Patroklos, którego nad wszech towarzyszków cenilem,



Tak jak głowę mą własną; on legł, a zabiwszy go, Hektor Porwał zbroję ogromną, przesliczną, zbroję na podziw, Którą Peleusz od bogów otrzymał sam w podarunku W dniu, gdy ciebie skłonili podzielać łożę z człowiekiem. Był ci razem z nimfami pozostać wiekuistemi W morzu topielach; Peleusz niech pojąłby żonę śmiertelną. Tak zaś nieukocona żałoba i ciebie dosięgnie Ciężka po synu poległym, bo już go teraz nie ujrzysz W progach ojczystych zpowrotem, gdyż w duszy zgoła nie pragnie żyć ani z ludźmi obcować, jeśli w pierwszym spotkaniu [gnie Ze mną Hektor bohater nie legnie przebity orężem I swą głowę nie spłaci za zgon i obdarcie Patrokła“.

Na to, łzy wylewając, odrzekła Tedyta bogini: „Synu, tak zapowiadasz? Niedługo żywota twojego: Wszak twa śmierć naznaczona odrazu po śmierci Hektora“. Do niej, gniewem palając, odezwał się znowu Achilles: „Niechbym zmarł choćby wnet, gdy Patrokła, współtowarzysze drogiego, ocalić nie mogłem. Legł on opodal [sza Ziemi ojczystej, a mnie tam nie było, by zgubę oddalić. Tak więc ani nie wrócę do ojców krainy kochanej, Ani Patrokła nie wyratowałem, ni swych towarzyszy Innych, których tak wielu uległo Hektora potędze; Lecz, jak głaz nieprzydatny na polu, gnuśniej w okrętach, Chociażem taki jak nikt z Achejczyków spiżopancernych W bitwie okrutnej, bo w radzie to lepsi się znajdują ode mnie. Niechże kłótnia i bogom i ludziom na zawsze obrzydnie, Tudzież gniew, który głupstwo i w sercu mądrego wypłodzi, Który narazie od miodu ciekłego wydaje się słodszy, Potem wzmaga się w piersi człowieka, jako dym nad ogniem. Tak też mnie Agamemnon rozsierzdził, wódz bohaterów. [skiem. Ależ się stało, nie może się odstać: mimo zgryzoty Duszę w piersiach gdy zagnała konieczność, uskromić należy. Pójdę, Hektora zabiję mężnego, zgładziciela Głowy kochanej, a potem poddam się śmierci, gdy tylko Zeus ją wieczny i inni bogowie dokonać zamierzą. Nawet—bo sławny Herakles a nie mógł śmierci się odjąć, On, którego Kronida nad wszystkich w sercu ukochał: Dola okrutna i jego przemogła i Hery zawziętość. Jakoż i ja, jeśli Dola podobna i mnie oczekuje, Padnę zabity, lecz wprzód dobieję się sławy szaszczytnej: Jeszcze niejedna z Trojanek i z Dardanek fałdoopasných

Będzie przeze mnie obiema rękoma z rumianych policzków Łzy ocierała gorące, wzdychając i żale zawodząc. Popamiętają Trojanie, że długo na bój nie wychodził. Więc mi walki nie wzbraniaj; choć kochasz, nie możesz mię [wstrzymać“.

Na to rzecze mu znów srebrnonoga Tedyta bogini: „Synu, słuszne, co rzekłeś: należy ze zguby okropnej Wyrwać swych towarzyszy, gdy zewsząd są przyciśnięci; Ależ twoja przesławna zbroica w ręku u Trojan, Rozpromieniona, spiżowa, a Hektor, lśniący się hełmem, Wdźiał ją sobie na barki i dumny; ale nie sądzę, Żeby się długo nią pysznił, bo śmierć stanęła już przy nim. Ty więc bierz się nie w pierw do zapasów Aresa<sup>1)</sup> mozołnych, Aż mnie twe żywe oczy obaczą zpowrotem w okrętach: Przyjdę bo jutro jak brzask, gdy słońko zaświta na niebie, Z rąk od samego Hefesta<sup>2)</sup> przyniosę—ć zbroję przesławną“.

Tak powiedziała i, twarz odwróciwszy od syna mężnego, Do swych sióstr odezwała się morskich, na brzegu stojących: „Wróćcie się, siostry, i w łono się morza głębokiego [pograżcie,

Wszedłszy w domostwo do ojca naszego, morskiego staruszka. Tam opowiedzcie mu wszystko, a ja stąd pójdę na Olimp: Rękodzielnika odwiedzę Hefestę; ubłagać go muszę, Aby mi syna mojego ryszunkiem pięknym obdarzył“.

Tak powiedziała, a tamte ukryły się w toń pod falami; Ta zaś pięknowarkocza Tetyda na Olimp wysoki Poszła, żeby dla syna przesławną zbroję pozyskać.

a Iljada. Pieśń IX, w. 393—416.

(Achilles odmawia pomocy Grekom).

„Skoro ocali mnie bóg, i powrócę w progi ojczyste, Sam mi wtedy Peleusz sędziwy narai małżonkę. Albo to brak Achejanek urodnych w Helladzie i Ftyi, Cór właścicieli bogatych, obronne grody mających? Z nich zaś, którymby sobie podobną, żoną ją nazwę. Tam z utęsknieniem wrywa się wciąż moja dusza niezłomna:

<sup>1)</sup> syna Zeusa i Hery, boga wojny, rozkoszującego się walką, przelewem krwi. <sup>2)</sup> syna Zeusa i Hery, boga rzemiosła kowalskiego i płatnerskiego.



Pojąc miłą dobraną niewiastę współtowarzyszkę,  
 Żyć i w nagromadzone przez ojca opływać dostatki.  
 Alboż to mogą za życie wystarczyć choćby i wszystkie  
 Skarby, które, jak mówią, w Iljonie mieściły się ludnym  
 Niegdyś, czasu pokoju, nim z wojną Danaje nie przyszli;  
 Choćby wszystkie bogactwa, złożone w kamiennym przybytku  
 Strzelca, jasnego Apolla, w Pytonie wysokoskalistej?  
 Można ci wprawdzie zagrabić barany i woły rogate,  
 Wziąć trójnogi przydatne i konie z grzywami złotemi,  
 Ależ duszy człowieczej nie możesz ani zagrabić,  
 Ani uchwycić, jeżeli raz z poza zębów się wymknie.  
 Wszak srebrnonoga mówiła mi matka, Tetyda czcigodna,  
 Iż mię Dola podwójna prowadzi do kresu żywota:  
 Jeśli z wami tu będę dobywał murów trojańskich,  
 Nie masz mego powrotu, lecz sława zostaje mi wieczna:  
 Gdy zaś wrócę w domostwo do miłej krainy ojczystej,  
 Wtedy sława ma szczerzenie, lecz wiek mój długo a długo  
 Potrwa; prędko nie przyjdzie mi wstąpić w śmierci granice..."

#### b. Thetys i Achilles.

Równy z jutrznią pośpieszną, co na niebie już wschodzi,  
 Thetys smutna i blada na perłowych konch łodzi  
 Z głębi morza wypływa. Przed nią fali błękity  
 Rozsuwają się cicho, i szlak, złotem nabity,  
 Znaczą drogę, po której perłowa łódź przejdzie.  
 Każda fala się kłania modrookiej Nerejdzie  
 I całuje jej stopy, bielsze jeszcze od piany,  
 Którą lekko okraś pierwszy promień różany.  
 Brzmienia słodkie, łagodne, jak amfijońskiej głos liry,  
 Towarzyszą jej w drodze przez te płynne szafiry,  
 A na muszli najcichszy syn Eola z uśmiechem  
 Białą żagiel wydyma swoim wonnym oddechem.  
 Wkoło rzesza delfinów, ssąc powietrze w swe płuca,  
 Wodotryski srebrzyste ponad fale wyrzuca.  
 Złotowłosych cór morza, śpiewnych Nerejd gromada  
 Igra z falą lub z wdziękiem na delfinów grzbiet wsiada,  
 Zakwitając różowo w złotym deszczu promieni,  
 Co ich ciała przejrzyste tchem rozkoszy rumieni.  
 Towarzyszą Thetydzie oceanu dziewice:  
 Jedna sterem kieruje, druga trzyma kotwicę:

Owa piersią swą śnieżną w biegu wstrzymać chce fale,  
 Inna z morza dobywa promieniste korale,  
 U tej w ustach pobudką śpiewająca brzmi koncha,  
 A ta znowu schylona dziwny morski kwiat wacha,  
 Inna drażni delfiny, inna łowi od rana  
 Siecią rybki skrzydlate... Thetys smutna, stroskana,  
 Na to wszystko nie zważa; towarzyszek nie pieści,  
 Pełna gorzkich rozmyślań i głębokiej boleści,  
 Myśli tylko o synu, o Achillu, na którym  
 Przeznaczenie zawisło swym wyrokiem ponurym.  
 Śpieszy właśnie do niego szafirowych fal drogą,  
 By los groźny odwrócić macierzyńską przestroga;  
 I tak płynie przez błękit zamysłona, milcząca,  
 A perłowa łódź chyżo ciche fale roztrąca.

Nad wezglowiem Achilla Thetys siadła strapiona  
 I objęła pierś jego w swoje śnieżne ramiona.  
 Z dumą matki, choć razem z myślą dziwnie żalobną,  
 Postać męża podziwia, bogom tylko podobną,  
 I widokiem się poi bohaterskiej postaci,  
 Której nic nie wyrówna, której nic nie opłaci.  
 Pocałunkiem to jasne, czyste czoło pokrwia —  
 Razem dumna i trwożna, zrozpaczona, szczęśliwa.

— „O Achillu! — zawołała — nie gardź bogów przestroga!  
 Jeśli prośby twej matki nic nad tobą nie mogą,  
 Słuchaj niebios ostrzeżeń i w rodzinne wróć strony,  
 Gdzie cię czeka twój ojciec, starzec biedny, stęskniony.  
 Wszakże dosyć masz sławy; ta na wieki ci starczy,  
 Możesz cicho więc w domu miecz zawiesić na tarczy  
 I, pod cieniem ojczystej spoczywając oliwy,  
 Ród Pelidów utrwalić. Maż twój ojciec sędziwy,  
 Bezpotomnie, samotnie rzucać świat ten na wieki,  
 Bez pożegnań ze synem, bez najczulszej opieki,  
 Bez uczczenia popiołów przez rycerskie igrzyska,  
 Bez dziedzica dla mienia, swojej władzy, nazwiska?  
 Maż twa matka tak rychło, w samym kwiecie młodości  
 Widzieć ciebie schodzącym w nieprzebyte ciemności?  
 I utracić skarb drogi, co zaledwie przez chwilę  
 W całym blasku widziała, i piękności, i siły?



Ach, ty nie wiesz, jak wielka strasznych męczarni przyczyna  
Nieśmiertelnej i wiecznej śmiertelnego mieć syna;  
Jak okropnie jest widzieć niezblaganą konieczność  
I nie móc jej odwrócić, i tak zostać na wieczność!“

— „Matko!—Achill odrzecz—co nam pomoc jest w stanie  
Na zagubę skazanym, naszych losów badanie?  
Prędzej, później paść musim w otchłań, dla nas otwartą;  
Chwilę mogę odwlekać, lecz czyż odwlec ją warto —  
Żeby stracić walk naszych i poświęceń korzyści,  
Z drzewa życia spadając, jako suchy proch liści?  
Nieśmiertelność bez walki — bogów tylko udziałem!  
Oni jedni panują nad istnieniem nietrwałem,  
Oni jedni niezmienni, bez boleści i troski,  
Rozlewają strumieniem życie jako dar boski.  
Nieśmiertelność jest bogom przyrodzoną... My, ludzie,  
Ją zdobyć musimy w krwawym znoju i trudzie  
Życiem całem, na szalę losów świata rzuconem,  
Wytrwałością niezłomną, bohaterstwem i zgonem!  
Nam potrzeba bez trwogi wkroczyć w cienie Erebu <sup>1)</sup>,  
I wyjść stamtąd zwyciężąc — żeby wydrzeć je niebul  
Więc, gdy taka konieczność, bezskuteczny żal — naco?  
Naco rady troskliwe, które wartość swą tracą,  
Nic odmienić nie mogą? — Tak więc, matko, daremnie  
Swoim żalem i smutkiem budzisz gorzką myśl we mnie,  
Tę myśl, która mnie także dręczy często boleśnie:  
Żem jest tylko śmiertelnym i że umrę przedwcześnie!“

— „Nacóż ginąć przed czasem, — smutno Thetys odpowie—  
Gdy ci żywot najdłuższy obiecują bogowie,  
Byłeś tylko odstąpił, póki jeszcze jest pora,  
I nie szukał triumfu w krwawym zgonie Hektora?  
Dopóki on nie padnie, jesteś jeszcze bezpieczny!...  
Tak brzmi wyrok przeznaczeń niewzruszony a wieczny.  
Ale szala ta sama, co zwycięstwo ci skłania,  
Razem czas nam odważa wieczystego rozstania.  
Więc powstrzymaj, o synu! zapęd miecza zwycięski.  
Co ci przyjdzie z Hektora poniżenia i klęski?  
Co ci przyjdzie, że, życiem bohaterów rozrutny,

<sup>1)</sup> podziemia, gdzie według Greków męczyły się dusze zmarłych.

Nową pošlesz ofiarę Persefonie <sup>1)</sup> okrutnej?  
Że ją wydrzesz rodzinie i rozkoszy, i chwale,  
Tyle szczęścia niweczając — gdy sam losów swych szalę  
W czarny Hades przeważysz z wieczną matki swej szkodą  
I na głowę twą ściągniesz śmierć tak smutną, tak młodą?“

— „Matko moja, Thetydo! — Achill znowu rozpocznie —  
Naszym losem i każdym z naszych czynów widocznie  
Wyższe prawo rozrządza. Kto ma w sobie swej siły  
I wielkości pocucie, kogo mlekiem karmiły  
Nieśmiertelnych bóstw piersi—ten się cofnąć z swej drogi,  
Choćby zechciał, nie może. Bez litości, bez trwogi  
Musi ciągle iść naprzód, niosąc z sobą miecz krwawy;  
Jak niewolnik swych czynów, swej wielkości i sławy,  
Musi zdeptać, co słabsze, i po ciałach tysiąca  
Bohaterów przejść z wzgardą, jak potęgą niszczącą,  
Z każdą sławą się mierząc, która zazdrość w nim budzi,  
I nie znosząc równego wśród półbogów i ludzi —  
Póki jeden nie stanie ponad światem wszechwładnie,  
Jako pomnik na przyszłość, lub dopóki nie padnie!  
Na tem właśnie polega nasza wielkość i chwała.  
By dokonać wszystkiego, co nam tylko wskazała  
Moc wewnętrzna, nie dbając, co i kiedy nas czeka —  
Bez litości nad sercem i nad losem człowieka!  
Prąd nas zmusza, silniejszy ponad żale chwilowe,  
Pędzić dalej a dalej po zdobycze wciąż nowe.  
Przez triumfy i klęski, przez orężne zatargi  
Całych plemion, przez stosy ciał poległych, przez skargi  
Biednych starców i niewiast, przez ruiny i zgłiszczce —  
Tak zdążamy do kresu! Każdy mniema, że zyszcze  
Nieśmiertelność dla siebie, i nie troszczy się wiele  
O przeznaczeń wyroki i o skryte ich cele.  
Ostateczny cel jaki? Nikt się tego nie dowie  
Z nas śmiertelnych, zaledwie znać go mogą bogowie“.

<sup>1)</sup> małżonce Plutona — Hadesa, królującej w Hadesie, krainie zmarłych.



### CZEŚĆ III.

#### a. Cisza morska.

§ 61. Już wstążkę pawilonu wiatr za ledwie muśnie,  
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;  
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,  
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,  
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem  
Kołysa się, jakgdyby przykuty łańcuchem;  
Majtek wytchnął, podróże rozśmiało się grono.

O morzel pośród twoich wesółych żyjętek  
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,  
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,  
Co śpi wpośród złych losów i namiętej burzy;  
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

#### b. Ajudah.

Lubię spoglądać, wsparty na Judahu skale,  
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi  
Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi,  
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,  
Jak wojsko wielorybów, zalegając brzegi,  
Zdobędą ład w triumfie i, napowrót zbiegi,  
Mieczą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!  
Namiętność często groźne wzburza niepogody;  
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,  
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,  
Z których wieki upl tą ozdobę twych skroni.

#### c. Podczas burzy.

Dołem wichur ciężkie chmury niesie,  
O skaliste roztrąca urwiska;  
Burza huczy po szerniałym lesie  
I gromami w głąb wąwozów ciska;  
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,  
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota  
Nieraz burza szaleje nad głową,  
Wichur nami nad przepaścią miota,  
A grom ciemność oświeśla grobową;  
Jednak wyżej widać błękit nieba..  
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

#### d. Przypowieść o okrętach.

Płynęły po morzu okręty wielkie wojenne i statek jeden  
mały rybacki. A był czas burzliwy, jesienny, w tym czasie  
im okręt większy, tem bezpieczniejszy, a im mniejszy, tem  
niebezpieczniejszy.

Rzekli więc ludzie z brzegu: „Błogosławieni żeglarze  
okrętów wielkich! biada żeglarzom w statku rybackim czasu  
jesiennego!”

Ale nie widzieli ludzie z brzegu, iż na okrętach wielkich  
popili się majtkowie i zbuntowali się, i potłukli narzędzia,  
przez które sternik uważa gwiazdy, i skruszyli iglicę żeglarską  
magnesową. A wszakże okręty zdawały się napozór równie  
potężne, jak pierwsi.

Ale statek rybacki, patrząc na niebo i na iglicę, nie błądził i doszedł do brzegu; a chociaż rozbił się przy brzegu, ura-



towali się ludzie i uratowali narzędzia swe i iglicę swą.  
A okręt znowu odbudują.

I pokazało się, że wielkość i moc okrętów dobre są, ale bez gwiazdy i kompasu niczem są.

A gwiazdą pielgrzymstwa jest wiara niebieska, a iglicą magnesową jest miłość ojczyzny.

Gwiazda świeci dla wszystkich; a iglica kieruje zawsze na Północ.

A wszakże z tą iglicą można żeglować i na Wschodzie i na Zachodzie, a bez niej i na morzu północnem przyjdzie błąd i rozbitcie.

Więc z wiarą i miłością wypłynie statek pielgrzymi polski, a bez wiary i miłości ludy wojenne i potężne zabłądzą i rozbiją się. A kto z nich wyratuje się, nie odbuduje okrętu.

a. Limba.

§ 62.

Wysoko na skały zrębie  
Limba iglastą koronę  
Nad ciemne zwiesiła głębie,  
Gdzie leżą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,  
Prawie ostatnia już z rodu,  
I nie dba, że wrzące fale  
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żałobą  
Chyli się ponad urwisko,  
I widzi w dole pod sobą  
Tłum świerków, rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,  
W ściśniętym krocząc szeregu,  
Z dawnych ją siedzib wyparły  
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze  
Pełzają dalej na nowol  
Ona się w chmurach kołysze,  
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,  
O życie walczyć nie będzie:  
Wciąż tylko wznosi się wyżej  
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu  
Na triumf rzeszy poziomej:  
Woli samotnie z błękitu  
Upaść, strzaskana przez gromy.

b. Obielił nam...

Obielił nam nasze chaty  
Nowy dzionek złoty;  
Widniej, widniej teraz ludziom,  
Co w niej do roboty.

Do roboty — grodzić płoty,  
Okopywać rowy,  
Strzec na siłę, co nam miłe,  
Na ten roczek nowy!

Do roboty — lepić ściany,  
Gdzie się która pada,  
Boć ta chata stoi lata,  
Jeszcze od pradiada!

Do roboty — bić wyloty  
Na słoneczną stronę;  
Niech uderzy dzionek świeży  
W te ściany omszone!

Do roboty — przede wroty  
Umieść czysto progi,  
Wyrwać chwasty, cień kolczasty,  
Co nam rani nogi!

Do roboty — walić w młoty  
O kowadło życia...  
W huku, w trzasku, w iskier blasku  
Krzesać serca bicia!



Do roboty — trząść wymioty,  
Co plewa, co ziarno...  
Mieć na chleby z własnej gleby  
Mąkę, choćby czarną.

Do roboty — na kłopoty  
Mieć pociechę w sobie...  
Zdarzy dola, co jej wola:  
Ja, com winien, robię!

a. Legenda żeglarska.

§ 63. Był okręt, który zwał się „Purpura“, tak wielki i silny, że się nie bał wichrów ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną pierśią potworne haki, na których rozbijały się inne statki — i płynął wdał z żaglami w słońcu tak szybko, że aż piana warczała mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

— To pyszny statek! — mówili żeglarze z innych okrętów. — Rzekłbyś: lewjatan fale porzeł!

A czasem pytali załogę „Purpury“:

— Hej, ludziel dokąd jedziecie?

— Dokąd wiatr żenie! — odpowiadali majtkowie.

— Ostrożnie! tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrożę wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej, jak burza sama:

„Wesoło płynimy, wesoło!“

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na „Purpurze“ każdy robił co chciał.

Życie tam płynęło ustawicznym światem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. Niema (mówiono) takich raf, ni takich burz, któreby „Purpurę“ rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze — „Purpura“ popłynie dalej.

I „Purpura“ płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Prze-

chodziły lata całe — a ona nie tylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwiali w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. — „Purpura“ sama popłynie — mówili. Poco pracować, poco baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? poco żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek jak bóstwo — nieśmiertelny?

„Wesoło płynimy, wesoło!“

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie z upływem czasu załoga zniewieściała zupełnie, zaniedbała obowiązków, i nikt nie wiedział, że statek począł się psować.

Słona woda przeżarła belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, maszty popróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić:

— Strzeżcie się! — mówili niektórzy majtkowie.

— Nic to! płyniemy z falą! — odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem pewnego razu wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry mieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na „Purpurę“, straszne, spienione, wrzące. Dopadły statku, wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwały znów na dno. Pękły zwątlące wiązania statku, i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie:

— „Purpura“ tonie!

I „Purpura“ tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała, jak ją ratować.

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem, chwyciwszy co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić „Purpurę“.

Wspaniała była walka tej rozpaczliwej ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą — ale



walczyła jeszcze. Zalani, nawpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale, po krótkim spoczynku, znów zrywali się do walki.

Nakoniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastąpiła chwila głuchej rozpacz. I poglądali na się ci żeglarze jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

— O zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujecie. „Purpura“ jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa drgnęli ci nawpół umarli i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli prace od spodu.

I pracowali od rana do nocy w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną bezczynność i zaślepienie wynagrodzić!...

#### CZĘŚĆ IV.

##### Śpiewak tęskniący.

§ 64.

Nigdyż serce stęsknione  
Mar minionych nie prześni?!  
Wiecznie w jedną gdzieś stronę  
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,  
Z lutnią moją podróżną  
Zmieniam miejsca, widoki,  
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle...  
Każdy niemal zakątek,  
Wszystkie, wszystkie tu chwile  
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!  
Jak czujące dziś mało:  
Indziej było tak żywo,  
Tak płomiennie kochało.

Ach przed mokrą powieką  
Darmo dzień mi tu płoniel  
Wzrok, jak pieśni... daleko,  
Wiecznie w jednej tkwi stronie.

Ku niej tęsknię z wieczora,  
Z jutrznią tęsknię i płaczę...  
Bom pożegnał nie wczora  
I nie jutro obaczę!



Fragmenty wiosenne.

III.

Kto policzy, ile siły  
Zużył polny kwiat ten lichy,  
By się wydrzeć z swej mogiły,  
Aby przebić grób swój cichy  
W zmartwychwstania dzień  
I rozplonąć drobną głową  
W barwę świtu purpurową  
Ponad noc i cień?

Kto wie, jakich pragnień żary  
Przepaliły pień ten stary,  
Zanim puścił pędy młode  
Na wiosennych tchnień swobodę,  
Na poświęty burz?  
Kto policzył tętna bicie  
W drobnym krzewie, kiedy skrycie  
Wiąże pęki róż?

Kto zaprzeczyć się odważy,  
Że rzucone ziarno marzy  
O przyszłości plonu żniwa?  
Że się własnym rzutem zrywa  
I podżwiga w kłos?  
Kto mi powie, jak łan długi,  
Co tu łask, a co zasługi,  
Ile łąz, a ros?

O zaprawdę wiosna puka  
Do wrót tylko tych cmentarzy,  
Gdzie się ciepłych tchnień doszuka,  
Gdzie pod ziemią życie gwarzy,  
Gdzie jest puls i ruch...  
I tam tylko zmarłe wskrzesza,  
Gdzie na ustach się zawiesza  
Niewystygły duch!

O zaprawdę! bez pragnienia  
Bytu, bez prac dobrej woli  
Nie powróci wiosna tchnienia  
Jednej trawce z czarnej roli,  
Nie w jej mocy cud!  
Ona tylko tam zakwita,  
Gdzie od dębu do żdźbła żyta  
Czuje żywy trud.

A gdzie zbraknie takiej siły,  
Co rozżarza proch mogiły,  
Co z iskierki jednej ducha  
Płomień wskrzesi i rozdmucha  
Na ognisko dusz:  
Nie przeleca tam komety  
Na popiołach wić bukiety  
Gorejących róż.

Gdzie zabraknie takiej mocy,  
Coby słońce wykrzesać  
Z czarnych włosów cichej nocy,  
Gdy na gwiazdach stoi biała  
Wśród mlecznych dróg:  
Tam nie przyjdzie żadna zorza  
Ni z za góry, ni z za morza  
Przez srebrzysty próg.

Gdzie zamilkło żywe słowo,  
Co służyło jako hasło,  
Aby w długą noc zimową  
Serce w piersiach nie zagasło,  
Nie straciło tchu:  
Tam nie przyjdzie żadna wiosna!  
Pieśń zwycięska, pieśń radosna  
Nie rozbudzi snu!

a. Pieśń o domu.

§ 65. Kochasz ty dom, rodzinny dom,  
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,  
Szumem twych lip wtórzy twym snom,  
A ciszą swą koi twe izer?



Kochasz ty dom, ten stary dach,  
Co prawi baśń o dawnych dniach,  
Omszałych wrót rodzinny próg,  
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń  
Skoszonych traw i płowych zbóż,  
Wilgotnych olch i dzikich róż,  
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,  
Co szumów swych potężny śpiew  
I duchów jęk, i wichrów chór  
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,  
Co wpośród burz w zwątpienia dnie,  
Gdy w duszę ci uderzy grom,  
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz  
Życ pod tym dachem, chleb jeść zbóż,  
Sercem ojczystych progów strzeż,  
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

b. *Orzeszkowa E., Śmierć domu. (Bibl. Uniw. Lud. 136).*

a. Daremne żale.

§ 66. Daremne żale, próżny trud,  
Bezsilne zlorzeczenia!  
Przeżytych kształtów żaden cud  
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,  
Zniknionych mar szeregu;  
Nie zdoła ogień ani miecz  
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,  
Po życie sięgać nowe,

A nie w uwiedłych laurów liść  
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fall  
Nic skargi nie pomogą:  
Bezsilne gniewy, próżny żal  
Świat pójdzie swoją drogą.

b. Orfeusz i bachantki <sup>1)</sup>.

*Chór bachantek.*

Dyjonizos boski, boski  
Przyszedł na świat uśmiechnięty,  
By przemienić lzy i troski  
W młodocianych żądz ponęty;  
W złotej czarze  
Przyniósł w darze  
Upojenia słodki szal  
Dla spragnionych dusz i ciał!

Z jego przyjściem prorocत्व ciemnych  
Ustała cześć i trwoga,  
Ustał mściwy rząd Podziemnych,  
Stonecznego mając boga,  
Ziemia cała  
Zapomniła  
O żałobie przeszłych dni,  
I o szczęściu tylko śni.

<sup>1)</sup> Orfeusz, syn trackiego króla, Ojagrosa, i muzy poezji bohaterskiej, Kaliopy, według podania greckiego był największym muzykiem i pieśniarzem świata starożytnego. Poślubił najadę, nimfę źródeł i ruczajów, Eurydykę, i po jej zgonie zstąpił do Hadesu, by uprowadzić stamtąd ukochaną małżonkę. Bogowie podziemni, wzruszeni jego rozpaczą i cudownym śpiewem, pozwolili mu zabrać Eurydykę pod warunkiem jednak, że wolno mu będzie spojrzeć na nią dopiero po wyjściu z podziemia. Stęskniony małżonek nie mógł przemóc siebie, i Eurydyka na zawsze zniknęła mu z oczu. W głębokiej boleści błądził odtąd po świecie samotny Orfeusz, aż pewnego dnia spotkał rańdodne towarzyszkę boga wina, Dionizosa, bachantki. Gdy nie chciał wziąć udziału w ich weselu i towarzyszyć im pieśnią, szalone w uniesieniu gniewu zabiły pieśniarza. Rzeka poniosła głowę i lutnię wieszczka do morza, którego fale wyrzuciły je na brzegi wyspy Lesbos, słynnej ojczyzny poetów i poetek greckich.



Orfeusz! lirę swoją  
Do słodkiego nastrój brzmienia,  
Niech jej dźwięki rozkosz zdwoją,

Co nam piersi rozplómienia,  
Niech się w serca nasze leje,  
Niech zapala ogniem krew,  
Niechaj z nami wraz szaleje  
Słodki śpiew!

Świeżej wiosny śpiewaj wdzięki,  
Niezmaconą życia radość,  
I ciał naszych powab miękkie,  
I namiętnych pragnień bladość.  
Nowych światów pieśń weselną,  
Pieśń zmysłowych ponęt stwórz,  
Daj ją nagą i bezczelną  
W wieńcu róż!

*Orfeusz.*

Powróciłem z podziemnej otchłani,  
Z posępnego umarłych królestwa,  
I wciąż widzę, jak cierpią skazani,  
Widzę wieczność męki i nicesstwa...  
I straciłem u piekielnych progów  
Pamięć szczęścia i słonecznych bogów.

Zostawiłem za straszliwą bramą  
Mej miłości i walk moich ślady,  
A wyniosłem ból i rozpacz samą,  
Gdy w objęciach cień jej zniknął blady,  
A jam nie mógł powrócić przebojem  
Po jej życie, które było mojem.

Wtedy pękły struny w mojej lirze,  
Struny serca, co tak dźwięczne były,  
I w piekielnym utonęła wirze  
Przeszłość, pełna słodyczy i siły,  
A jam odszedł, okryty żałobą,  
Zostawiając wszystko poza sobą.

Nie żądajcie więc pieśni ode mnie,  
Bo ja z wami w szeregu nie stanę,  
By na gruzach przeszłości nikczemnie  
Wielbić świata jaskrawą przemianę,  
I przed waszym schylając się bogiem,  
Wydrzeć z serca, co było mi drogiem.

Wszystkie wasze pragnienia i cele,  
Wszystko, co was upaja i pieści,  
I serc waszych bezwstydne wesele,  
Wszystko mojej urąga boleści,  
I pogardzam kłamiwą rozkoszą  
I bóstwami, co ją wam przynoszą.

*Chór bachantek.*

Czy słyszycie? czy słyszycie?  
Naszych bogów czcią pomiata,  
I znieważa nasze życie,  
Odrodzeniem gardząc świata;  
A więc pocóż z myślą chorą  
Wśród kwiecistych życia łąk  
W drodze stawać ma zaporą?  
Niechaj ginie z naszych rąk!

*Dionizos.*

Coście zrobili!... Potrzaskana lira  
I śpiewak martwy u stóp waszych leży,  
W ręku bachantek, pod ciosem satyra  
Ucichł na zawsze źródł melodji świeży.

I krwawym laurem uwieńczono skronie  
Tego, co wyraz ludzkiej dał rozpacz,  
Wyraz tak śpiewny, że długo po zgonie  
Przemawiać będzie do smutnych słuchaczy.

Taką jest zwykle sprawiedliwość świata,  
Która dawniejsze bożyszczą obala,  
Taką dla natchnień minionych zapłata,  
Kiedy kierunek zmieni rwąca fala.



Trudno! nie można powstrzymać strumienia  
Ani młodzieńczych uniknąć nadużyć,  
Kroczące naprzód nowe pokolenia  
Kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć.

Świat żywych musi niewdzięcznym pozostać  
Dla tych, co sercem z przeszłością związani,  
Znikniętą wiecznie oplakując postać,  
Myślą do ciemnej wracają otchłani.

Musi zapomnieć ziemia o swych stratach,  
Aby na nowo stanęła w rozkwicie...  
W namiętym szale i weselnym szatach  
Musi biec dalej odmłodzone życie...

Pobojowiska, gruzy i cmentarze  
Muszą się pokryć kwiecistą zasłoną,  
I słodki napój musi szumieć w czarze,  
I pić nowych biesiadników grono.

I słusznie rzesza żywych się domaga,  
By dla niej z pieśni nowa jasność biła,  
Świeża chęć życia i świeża odwaga,  
Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

§ 67. a. *A. Mickiewicz, Pan Tadeusz.*

b. *Al. Fredro, Zemsta za mur graniczny.*

## CZĘŚĆ V.

§ 68. a. *Jan Matejko, Bitwa pod Grunwaldem.*

b. *Grunwald.*

(Przed obrazem Matejki.)

Z drogi, z drogi tej przeszłości,  
Co z zamierzchu i z nicości

Cała krwawa

Zmartwychwstawa,

Jak zwycięstwa duch!

Oto grzmiać jak orkan, leci

Zawierucha tych stuleci,

Co pod zbroją

Wrzące stoją,

Śledząc mieczów ruch...

Uskrzydłona i pancerna <sup>1)</sup>,

Hasłom bratnim jak śmierć wierna

W pole kłęski

Zastęp męski

Z różnych wiedzie dróg...

I nie zgadnie wróg krzyżacki,

Czy go miecz dosięże lacki,

Czy go ramię

Czecha złamie <sup>2)</sup>

U Litwina nog.

Stał goreje, oszczep chrzęści,

Topór warczy w chrobrej pięści...

<sup>1)</sup> Jazda polska miała z tyłu na barkach do zbroi (pancerza) przymocowane szyny żelazne, pokryte piórami, t. zw. skrzydła dla osłony od ciosów. <sup>2)</sup> pod Grunwaldem (15 lipca 1410 r.) walczył także oddział czeski.



Tam pierś naga  
 Tchnieniem smaga,  
 Nim dłoń zmierzy cios...  
 Okrzyk walki w przestrzeń bucha;  
 Szum krwi w żyłach, wrzenie ducha,  
 Rozmach ręki,  
 Zgrzyty, jęki,  
 W jeden zlewa głos.  
 Hej!... zapłata to odmienna,  
 Niż Dobrzyńska ziemia <sup>1)</sup> pszenna!  
 Krzywdy stare  
 Poza miarę  
 Wykipiały krwią..  
 Precz z drużyną stąd służalczą!  
 Nieśmiertelni tutaj walczą;  
 W szczęku, w pyle  
 Na tę chwilę  
 Kładą pieczęć lwia!  
 Któż prawnucze serce zmierzy  
 Z wielką piersią tych rycerzy,  
 Grzmiących w blasku,  
 W zgiełku, w trzasku,  
 Jako orłów ród?...  
 Kto dziś zdzierzy takie boje,  
 Taką sławę, takie zbroje?  
 Drzewce stare,  
 Żywą wiarę?...  
 Kto dziś stworzy cud?...  
 Las zielony patrzy zdala,  
 Jak ta burza się przewala;  
 W krwi i w dymie  
 Wielkie imię  
 Dzień ten daje mu...  
 Pył, co leci w błękit żywy,  
 Szum sztandarów, świst cięciwy  
 W dziejach karty  
 Niezatarły  
 Pomnik wpiszą chrztu.

<sup>1)</sup> w 1409 r. wszczęli Krzyżacy spór o ziemię Dobrzyńską.

Z drogil z drogil... Któż dotrzyma  
 Rozpędowi sił olbrzyma,  
 Co w dniu chwały  
 Zbrojny cały  
 Pogromem się zwał?  
 Walczy—miecz się zrasta z dłonią...  
 Pędzi—żywą jest „pogonią“... <sup>1)</sup>  
 On przez wieki  
 W świad daleki  
 Sławę niesie wwał!

# § 69. a. Artur Grottger, Lithuania.

## b. Z teki Grottgera.

Nigdy ja tego nie wypowiem słowy,  
 Co mi sędzono zaznać za żywota.  
 Ani miesiąc ten, co wschodzi nowy,  
 Jak wyostrzony sierp, ni gwiazda złota,  
 Ni ta zoreńka, co na niebie pała,  
 Nie ujrzą tego nigdy, com zaznała.  
 W uwiedłej głowie kądziel jakaś krwawa  
 Snuje a snuje swoją nić czerwoną...  
 Siadę, taj rosą taję, jak ta trawa,  
 Co ją minęły kosy niekoszoną...  
 Noc ze mną gada i wiatr ze mną wzdycha,  
 A serce we mnie, jak cierń, co usycha.

— — — — —  
 Chatę my w lesie mieli. Była cała  
 Od sosen ciemna, od brzóz białych biała  
 I drobnem liściem na wiosnę szumiąca,  
 I od poświstów ptaszych cała brumiąca.  
 W las ja chodziła po drwa; skarpy <sup>2)</sup> smolne

<sup>1)</sup> Aluzja do herbu Litwy „Pogoń“ (rycerz z wyciągniętym  
 ieczem, pędzący na koniu). <sup>2)</sup> pieńki drzewa, karcze.



Paweł od rana, bywało, mi ciesze...  
 A w chacie było dzieciątko swawolne,  
 Już gruchające, jak gołąb na strzesze,  
 Już różanemi uśmiechy różane  
 I jak jagoda od słońca podane...  
 Paweł leśniczył w borach. Przez dzień cały  
 Z kniei, od granic na czuj duch <sup>1)</sup> szty strzały,  
 A nocą, ledwie przyśnie, jużci rwie się  
 I chrusty pali, i huka po lesie.  
 A jak zazula <sup>2)</sup> hukał... a całował...  
 Jezu ty Chryste, jak on mnie miłował!...

— — — — —  
 Aż raz w południe pod Zielone Świąta  
 Cichość się wielka po boru obwiodła.  
 Wyrzę ja z progu, ażci owinięta  
 W lekuchne chusty, wysoka jak jodła  
 Osoba z wiatrem płynie, z jasną kosą,  
 Spartą o ramię, jako chłopci niosą  
 Na kosowicę <sup>3)</sup>...

A bór w onej dobie  
 Czarny był jeszcze na późne podwiośnie.  
 A taka widność była w tej osobie,  
 Że wskroś niej mogłeś liczyć wszystko sośnie <sup>4)</sup>...  
 I tylko rąbek powlekał się długi  
 Po pniach, jak opar, co idzie ze strugi...  
 Strach mną zatrzęsł zimny. Sięgnę czoła,  
 Niby się żegnać, niby do pacierza,  
 A tu mnie w tył coś ciągnie, coś mnie woła,  
 Aż się dzieciątka płacz rzucił z alkierza...  
 Więc biegłam tulić piersią ów płacz wielki,  
 Lecz w piersi mleka nie było kropelki.

— — — — —  
 Wieczorem wrócił Paweł. Padł na ławę,  
 Jakby mu nogi odjęło. Ni słowa  
 Do mnie, do dziecka, nie spojrzał na strawę  
 I tylko wzdychał... aż zwiła mu głowa  
 I zasnął. Myślę: „Ot tobie, nieboże.  
 Ni jednej nocki nie zażyć po woli“...

<sup>1)</sup> baczność. <sup>2)</sup> kukulka. <sup>3)</sup> kośbę. <sup>4)</sup> liczba poj. strp. so.

A tak się smucę czegoś, tak się trwożę,  
 Tak mi na sercu coś cięży, coś boli,  
 Że czego dotknę, to z ręki mi leci...  
 Aż północ przysła, i kur zapiał trzeci.  
 Więc jęłam zwłóczyć ze siebie już szmaty,  
 Szepcząc pacierze przed świętą Panią...  
 Kiedy wtem piasek zaskrzypiał u chaty,  
 A ręka jakaś stuknęła w okienko...  
 O moi ludzie! różne ja widziała  
 Ręce na świecie, od kiedym jest żywa,  
 A żadna przecie nie była taka biała  
 I taka jasna, taka wyraźliwa,  
 Jak ta, co przysła nocą budzić śpiące,  
 A miała palce jakby wołające  
 Na wielki Boży sąd..

Krzyknęłam z trwogi,  
 A Paweł ocknął i skoczył na nogi.

— — — — —  
 Lasy — wy, zielone — wy, zielone bory!  
 Oj, biły po was wichry onej wiosny...  
 Chodziły po was tęczę i kolory,  
 I w wielkich ogniach stały wasze sosny...  
 I wielkie szumy po was się nosiły,  
 I wasze gąszcze zrobiły się jasne,  
 I dziwne się w was jagody zrodziły,  
 I były od nich mchy i trawy krasne...  
 Oj, kukały wam kukulki żalosne,  
 Oj, ciągły do was żórawie na wczasy...  
 Oj, miałyście wy żniwa już na wiosnę —  
 Bory — wy, bory — wy, zielone lasy!

— — — — —  
 Jak stał — tak poszedł. W tej lnianej koszuli  
 I w owym pasie i w postołach <sup>1)</sup> z łyka,  
 Jak ten ptak z gniazda... A w lesie słowiki  
 Słychać, gdy miesiąc w pełnię się roztuli...  
 Jak stał, tak poszedł.. I tylko od proga  
 Obrócił na mnie oczy bolejące...

<sup>1)</sup> chodakach, łapciach z kory.



Oj, była, ludzie, nademną moc Boga,  
Oj, widziała ja gwiazdy padające,  
A żadna taka nie była żalosna,  
Jak to wejście...

...Wiosnaż była, wiosna!

W chacie, jak gdyby trumnę kto pod wrota  
Zakopał, taka pustka i tęsknota.  
Jak urzeczone dzieciątko mi kwili,  
Śpiewam a śpiewam, i tulę a tulę!  
W dzień jeno myślę: Tu byli... tam byli...  
A w wieczór ogień niecę...

Aż raz, czuj!.. po lesie  
Jakby pioruny były. Myślę: „Blisko  
Chryste ty Paniel“ — myślę... aż tu psisko  
Nagle się wyciem jak płaczem zaniesie,  
A dziecięczo zakała w kolebce,  
I od drzwi powiał wiatr — i coś szepcze...  
Więc mnie lęk jakiś zatrząsie zimnicą.  
Chwyć na ręce synaczka mojego,  
Spójrz — o! niech mnie święci pańscy strzegą!  
Spójrz — a w progu, pociemniałe lico  
Na mnie zwróciwszy, z oczyma, co w głowę  
Uciekły kędyś, zastygłe, surowe,  
Z raną na piersiach szerniała, odkrytą,  
Krwawą koszulą odziany i switą,  
Stoi mój Paweł...

O Jezu ty Chryste!  
Ogień się po mnie rzucił siarczyste,  
Chciałam biec, wołać, krzyczeć, i u proga  
Runęłam ciężko jak pień.

Imię Boga!

Ach, imię Boga nad nami wszystkimi!  
I choćbyś poszedł w sam głąb i wskroś ziemi,  
I choćbyś wszystkie przewędrował kraje  
I wszystkie rzeki, i wszystkie Dunaje,  
I choćbyś zaszedł tam, gdzie morze ciecze,  
Jeszcze ty w mocy jego jest, człowiecze!

Jakie ja zorze widziałam w tej drodze,  
Jakie miesiące krwawe, jakie słońca!  
Dziwięćioraka skóra mi na nodze,  
Jak węża łuska, opadła kołaca;  
Dziwięćiorake poty na mnie były,  
A ja szłam, taj szłam. Zbielały mi włosy,  
Oczy pływały we krwi, chusty zgały.  
A co ślad w piasku odcisnął się bosy,  
To muchy krwawe siadały i piły. —  
Aż i pod ziemię szłam, gdy brakło ziemi,  
A precz od słońca bieżała ta droga...  
I co myślicie?.. Nad nami wszystkimi  
I tam, i wszędzie, jak tu — Imię Boga!

...Przeszły lata.

Tak się wytliłam, jako ten kaganek,  
Zatknięty w ziemię, w ciemnicy bez końca.  
Już mi się nie śni ni dziecko, ni chata;  
Już nie rachuję, co noc, a co ranek,  
I tylko skała, pod młotem jęcząca,  
Zagada do mnie... Aż raz coś oświłło  
W lochu i jakby różami zakwitło...  
O święta Panno O Matuchno Boża!  
Chcę ja się zerwać i padam, i płaczę.  
A tu przede mną stoi jasna zorza,  
A tu mi serce jak dzwonek kołacze...  
O! utajona nad nami moc Boska!  
Owo z Dzieciątkiem ze szramą przez lice  
Królowa nasza, Pani Częstochowska  
Zaszła tu do mnie przez wszystkie ciemnice...  
I patrzy na mnie smętna, i blask sieje...  
A tu już zboża pachną, łąki, kwiaty...  
Jezu ty Chryste! co się ze mną dzieje?!  
To las!.. to wioska!.. to dach naszej chaty!..

§ 70. a. Antoni Malczewski, *Marja*.

b. Elwiro Andriolli, *Ilustracje do Marji Malczewskiego*.



a. Święty Boże.

§ 71. Zagrały organy głośny finał i umilkły. Powstały gęstsze dymy od ołtarza z rozrzuconych kadzielnic. Cisza, która zaległa, wyrwała się do pieśni. I ukląkł kapłan przed stopniami ołtarza i rozwiązał pragnące usta tłumy, intonując samotnym głosem:

— Szwintas Diewel <sup>1)</sup>

Nuta padła na klęczący zastęp męski, jak pierwszy podmuch orkanu. Zbudziła ton czysty, już potężny, ale płynący niby z oddalenia, rosnący w chóralską moc. Wzmacniał się coraz harmonijny duch suplikacji, przelewał się już grzmiotem i poczał się znowu rozptywać decrescendem olbrzymiego westchnienia.

Jeszcze nie skończył pod wysokim stropem, gdy nutę w wyższej oktawie podchwyciły głosy kobiece, jakby na falę, dopiero grzmiającą, która umilkła, zleciała świegotliwa chmura ptactwa i, chwyciwszy ton, niosła go wyżej rozetkanym lamentem.

Przeleciała — i wybuchły znowu grzmoty chóru męskiego, nastrojone zgodną spiżową potęgą.

A milknące wołanie mężów nowym zgietkliwym wybuchem podtrzymały niewiasty:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny  
Zachowaj nas, Panie!”

I niosła się pieśń ogromna dwoma hufcami, mocując się z Panem Zastępów przemożną modlitwą.

Wspomniał Kazimierz, że o tej samej godzinie grzmiała sama pieśń dzisiaj z milionów piersi na przestrzeni od Karpat aż po Niemen i Dźwinę. I rzucił się w chór wołający mężów całą siłą głosu swego męskiego, całym zapalem duszy swej, pragnącej uszczęśliwienia milionów.

Nieśli pieśni w górę aniołowie trębacze wysoko, przez ukośne strugi słoneczne, poza sklepienia; a gdy przebrzmiało wołanie ostatnie, przysiedli na górnych gzymsach aniołowie ciszy.

<sup>1)</sup> Święty Boże.

a. Polonez Szopena.

§ 72. Nagle... zasypiający dzień drgnął wyborną muzyką, tak częstą na Litwie... Potężne akordy poloneza Szopena wtargnęły do salonu i powiały przez senne dusze obecnych. Kto paplał, ucichł; kto drzemał, otrząsnął się. Wśród ciszy działy się dziwy tej muzyki arcy-polskiej.

Rokszycki, przeszedłszy na palcach do kąta mniej oświetlonego w pobliżu fortepianu, usiadł i słuchał w skupieniu. Miał przed sobą chudy profil grającego młodzieńca, podobny nieco do Szopena; za tym profilem w głąb — część pokoju, nie zajęta przez ludzi, obraz jakiś, źle zwrócony do światła, więc mętny: długi szmat materji, mieniący się wypłowiałą barwą, i pusty otwór drzwi do sąsiedniego pokoju.

Powoli nikła mu z przed zamglonych oczu plastyka rzeczywistości, zostawała melodyjna plastyka marzenia. Z wojowniczych akordów wiała groza walki, rozpęd zastępu, rzuconego w orgię bitwy, młot rytmiczny piersi, wyłożonych ku pogłębieniu sił nienawistnych, zamaszystość ramion rąbiących, zapamiętałość poświęceń. — Bohaterzy, jeżeli zwyciężą — arlekiны, jeżeli zginą!

I czuł się Kazimierz niesionym przez bojowy szal ojców i praojców, słyszał chrzęst skrzydeł, osadzonych w stali, i furkanie proporców. Starożytna дума rośnie w młodą potęgę, odwieczny żar wybucha zięjącym ogniem. — — —

Ściera się furor ataków ludzkich o góry kresowe przeznaczeń, gaśnie pożoga zapalów w syczącym zalewie losu. — — — Przebrzmiały dni walki, krwią gorące i nadzieją rozkoszne. Pobożowisko i żal! W żalu jęczy дума narodu stracona, tęgość zmarnowana, szlachetność, wydana na pośmiewisko. Nie dostrojone do grzmiącego wtóru powodzeń, samotne, ogromne pragnienie boli. — — — Ale w bólu wieszczka ocalała siła i piękność — i piękność wznosi się znowu do potęgi: woła głos jeden za miliony...

b. Gra Jankla na cymbałach.

Było cymbalistów wielu,  
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu  
(Jankiel przez całą zimę niewiedzieć gdzie bawił,  
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).



Wiedzą wszyscy, że nikt mu na tym instrumencie  
Nie wyrówna w biegłości, w guście i talencie.  
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;  
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały.  
Odwykt od grania, nie śmie i panów się wstydzi;  
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,  
Podbiega i na białej podaje mu dłoni  
Drażki, któremi zwykle mistrz we struny dzwoni;  
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,  
I dygając: „Jankielu, mówi, jeśli łaska!  
Wszak to me zaręczyny, zagrajże Jankielu!  
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu?”

Jankiel niezmiernie Zosię lubił, kiwnął brodą  
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,  
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,  
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą  
I z dumą; jak weteran, w służbę powołany,  
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany;  
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,  
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,  
Stroją na nowo struny i próbując, brzęczą;  
Jankiel z przymróżonemi na poły oczyma  
Milczy i nieruchome drażki w palcach trzyma.  
Spuścił je, zrazu bijąc taktem tryumfalnym,  
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawałnym;  
Dziwią się wszyscy, — lecz to była tylko próba,  
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drażki oba.

Znowu gra. Już drżą drażki tak lekkimi ruchy,  
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,  
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.  
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.  
Spojrzał zgóry, instrument dumnym okiem zmierzył,  
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drażki uderzył:  
Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiele  
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela

Ozwała się z dzwonekami, z zelami, z bębenki:  
Brzmi Polonez Trzeciego Maja! — Skoczne dźwięki  
Radością oddychają, radością słuch poją;  
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoja —  
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,  
W owe lata szczęśliwe, gdy Senat i posły  
Po dniu Trzeciego Maja w ratuszowej sali  
Zgodzonego z narodem króla fetowali,  
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat Król kochany!  
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża;  
A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża,  
Jak zgrzyt żelaza po szkłe: przejął wszystkich dreszczem  
I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.  
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili:  
Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?  
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca  
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyję zmaca,  
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,  
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany;  
Aż klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica  
I krzyknął: „Znam! znam głos ten! To jest Targowica!”  
I wnet pękła ze świstem struna złowrożąca...  
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaca,  
Porzuca prymy, bieży z drażkami do basów.

Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów,  
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,  
Jęk dzieci, płacze matek... — Tak mistrz doskonały  
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,  
Przypominając sobie ze łzami boleści  
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i z powieści,  
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkimi  
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,  
Znowu muzyka inna — znów zrazu brzęczenia  
Lekkie i ciche, kilka cienkich strunek jęczy,  
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.



Lecz strun coraz przybywa, już rozpierzchłe tony  
Łączą się i w akordów wiążą legijony,  
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,  
Tworząc nutę żalosną tej sławnej piosenki:  
O żołnierzu tułacz, który borem, lasem  
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,  
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,  
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.  
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła  
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła  
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie  
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie  
Zanucili tę piosenkę i poszli w kraj świata;  
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata  
Po ładach, morzach, piaskach gorących i mrozie,  
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie  
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.  
Tak rozmyślając smutnie pochyłili głowy.

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,  
Natęża, takty zmienia, coś innego głosi,  
I znowu spojrzął z góry, okiem struny zmierzył,  
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył;  
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,  
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,  
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,  
Marsz tryumfalny: „Jeszcze Polska nie zginęła“  
Marsz Dąbrowski do Polskil — I wszyscy klasnęli,  
I wszyscy „Marsz Dąbrowski“ chórem okrzyknęli!

## C Z Ę Ś Ć VI.

§ 73. *H. Sienkiewicz, Latarnik z Aspinwallu. (Bibl. Un. Lud. 13).*

a. W małej piosnce...

§ 74. W małej piosnce siły wiele,  
Kto ją sercem gra...  
W niej jest uśmiech — gdy wesele,  
W niej — gdy smutek — ża...

Mała piosnka zapamięta  
Każdy polny kwiat,  
Czarodziejsko w niej zamknięta  
Wiosna dawnych lat.

Piosnka idzie jak sierota,  
Jak tęskniący duch,  
I kołace w ciche wrota,  
Gdzie jest brat, gdzie druch...

Piosnka ze snu serca budzi,  
Gdy je drętwi cień,  
I przed świtem woła ludzi  
Na słoneczny dzień.

Z wiatrem leci echem chyżem  
Do rodzonych stron  
I nad mogił drogich krzyżem  
Bije w srebrny dzwon!

b. *E. Orzeszkowa, Moment. (Arcydzieła polskich i obcych pis. 38. Brody).*



a. W dzień złożenia zwłok Mickiewicza  
na Wawelu.

§ 75. Gdy na ziemię padł sztandar zdeptany  
Znak królewski z orłem i pogonią,  
Gdy go wodze i dumne hetmany  
Już przed wrogów zniewagą nie bronią,  
Gdy go w strzępki stargała niewola  
I pokryła noc milczenia głucha...  
On go pierwszy uniósł z walki pola  
I zamienił w jasny sztandar ducha,  
I nad Polską rozwinął w błękanie,  
Dając w pieśni nieśmiertelne życie.

b. Na śmierć Jana Matejki.<sup>1)</sup>

Trzy miecze skrzyżujcie, niech zbłysną się w grom,  
I nieście przed trumną w wieczysty mu dom.  
W trzy tarcze uderzcie, niech spadnie z nich pleśń,  
I Bogarodzicy zawieźcie mu pieśń.

Przyłbicę na marach połóżcie na znak,  
Z sztandaru niech biały powiewa mu ptak,  
Na kopjach znizonych spuszczaście go w grób,  
Bo sławie ślubował i strzymał swój ślub!

Nie czciciel potęgi, nie żebrak jej łask,  
To rycerz odchodzi za czynów swych blask,  
To rycerz odchodzi, to mężny syn twój,  
Co wskrzesił, o Polsko, twych sławnych dni bój!

Na duchów strażnicy wódz wielki dziś legł,  
Co hartu zbroicy i serc hartu strzegł,  
Stu bitew w świat poniósł huk, wrzawę i pył,  
Dał moc ci twą uczuć, krwi dolał do żył.

<sup>1)</sup> Ur. 1838. um. 1893. Poetka mówi tu w dalszym ciągu o obrazach Matejki: Bitwa pod Grunwaldem, Hołd Pruski, Odsiew wiedeński, Rejtan.

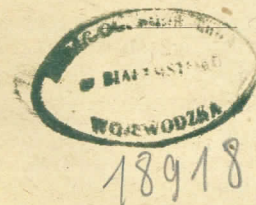
Raz jeszcze z twej piersi odrzucił on precz  
Grunwaldzkim pogromem krzyżacki ów miecz,  
I pruski hołd wznowił u skutych twych nóg,  
I z klęczek przed tobą nie wstanie już wróg.

— — — — —  
Nad prochy i dymy, i martwych stos ciał  
Zwycięstwo pod Wiedniem on znowu ci dał  
I złotym łańcuchem na wieki on skuł  
Dla gości nielubych piastowy twój stół.

Z troistej ciemnicy, gdzie każn i gdzie zgrzyt,  
On wiódł cię, o Polsko, na dzień i na świt  
I kamień odwalił, stoczony na grób,  
I ducha tchnął w piersi, mdlejące wśród prób.

Dziejowych twych dzierżaw, dziejowych twych praw  
Prastare pieczęcie wydobył na jaw,  
Jak Rejtan na krzywdy położył się próg  
Z wieczystym protestem: Niech sądzi nas Bóg!

Trzy miecze skrzyżujcie, niech zbłysną się w grom,  
I nieście przed trumną w wieczysty mu dom;  
Na tarczach znizonych spuszczaście go w grób,  
Bo sławie ślubował — i strzymał swój ślub.





## Skorowidz autorów.

**Askenazy Sz.**, str. 34  
**Asnyk A.**, str. 177, 188, 193, 194,  
202, 203, 220.

**Dębicki Zdz.**, str. 32, 36.  
**Dobrowolski A.**, str. 160 — 162.  
**Dygasiński A.**, str. 67.

**Gorecki A.**, str. 1, 3, 5.  
**Górski K.**, str. 164.

**Homer-Mleczo**, str. 184.

**Kasprowicz J.**, str. 180.  
**Kochanowski J.**, str. 162.  
**Konopnicka M.**, str. 34, 45, 91, 172,  
173, 178, 180, 195, 200, 201,  
207, 209, 219, 220.  
**Krasicki I.**, str. 2, 3.  
**Kraśiński Z.**, str. 154.  
**Kraszewski J. I.**, str. 113.  
**Kubala L.**, str. 89.

**Lemański J.**, str. 35.

**Malczewski A.**, str. 133, 209.  
**Mickiewicz A.**, str. 1, 5, 6, 15, 19,  
51, 72, 93, 129, 133, 134, 136,  
150, 156, 158, 163, 174, 182,  
184, 192, 193, 206, 215.

**Niemcewicz J.**, str. 20.  
**Nowicki Fr.**, str. 159.

**Orzeszkowa E.**, str. 73, 120, 126,  
141, 147, 176, 202, 219.

**Potocki W.**, str. 4, 6.  
**Prus B.**, str. 153, 169, 182.

**Reymont St.**, str. 96, 98, 103,  
139, 144.

**Sienkiewicz H.**, str. 12, 13, 16, 25,  
37, 46, 51, 76, 79, 85, 100, 116, 122,  
132, 134, 135, 136, 155, 164, 182.

**Słowacki J.**, str. 23, 171, 179.  
**Smoleński Wł.**, str. 41.  
**Staff L.**, str. 170.

**Tetmajer K.**, str. 164, 169.  
**Trembecki St.**, str. 3, 10.

**Weysenhof J.**, str. 95, 152, 214,  
215.  
**Witkiewicz St.**, 44, 124, 125, 145.  
**Wodzicki K.**, str. 62.  
**Wybicki J.**, str. 42.

**Zawistowska K.**, str. 33.  
**Zieliński G.**, str. 177.

**Żeromski St.**, str. 12, 104, 128,  
143, 154, 164.  
**Żuławski J.**, str. 93.